

Jennyfer Greene
Słodycz czekolady

Przełożyła:
Wiktoria Mejer



Tytuł oryginału: Blame It on Chocolate

Pierwsze wydanie: HQN Romance, 2006

Redaktor serii: Grażyna Ordega

Korekta: Ewa Popławska

© 2006 by Alison Hart

© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2006 r.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy MIRA jest zastrzeżony.

Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4

Skład i łamanie: COMPTExT®, Warszawa

Druk: ABEDIK

ISBN 83-238-3062-2
978-83-238-3062-7
Indeks 324531

MIRA 3

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ledwie w poniedziałek rano zadzwonił budzik, Lucy Fitzhenry wyskoczyła z łóżka. Czekała na tę chwilę z utęsknieniem, ponieważ szkoda jej było czasu na spanie, kiedy życie wydawało się takie ekscytujące! Od samego rana tryskała energią i była naprawdę gotowa zawojować cały świat.

Zdażyła zrobić dwa kroki, gdy poczuła gwałtowne nudności. Na szczęście zdołała dobiec do łazienki, nim zaczęła wymiotować. Po wszystkim ukłękła na zimnych płytkach podłogi i bezsilnie oparła się łokciem o brzeg muszli. Nie miała siły wstać, torsje prawie wywróciły ją na nice. To już trzeci raz w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Musiała spojrzeć prawdzie w oczy - dostała wrzodów żołądka. Zdrowa dwudziestoosmioletnia kobieta, której przewód pokarmowy nigdy nie

sprawał najmniejszych problemów, nie wymiotuje jak kociak, zupełnie bez powodu. Nabawiła się choroby wrzodowej z powodu stresu. Nic dziwnego.

Nieuleczalna perfekcjonistka, która przejmowała się każdym drobiazgiem, czuła się odpowiedzialna za wszystkich dookoła i dokładała starań, by byli szczęśliwi, siłą rzeczy musiała przejść poważny kryzys, kiedy postanowiła stać się kobietą zepsuta. Na początku zupełnie jej to nie wychodziło, gdyż było wbrew jej naturze, lecz mimo licznych niepowodzeń przykładała się do tego z całych sił. Jednak ta kompletna przemiana osobowości została okupiona ciężkim stresem.

Podniosła się wreszcie, weszła do kabiny prysznicowej, odkręciła wodę. Założone w poprzednim tygodniu całkowicie przezroczyście drzwi kabiny oraz fakt, że nauczyła się spać nago, były dwiema wyraźnymi oznakami, że zaczynała odnosić pewne sukcesy na nowej drodze życia. Trzeci dowód to nowiutka pościel z przepięknej fiołkowej satyny. Chwilowo co prawda Lucy nie miała komu udowadniać, jaka jest wyzwolona i zepsuta, ale powolutku, powolutku osiągnie cel. Już i tak jej żołądek zaczął się buntować przeciw tyłu rewolucyjnym zmianom.

Kiedy wychodziła spod prysznic, odzyskała już zupełnie wigor. Nie ubierając się, pobiegła do

kuchni, wrzuciła pieczywo do tosterka, potem popędziła do sypialni, błyskawicznie przerzuciła zawartość szafy. Ponieważ dziewięćdziesiąt procent ubrań konsekwentnie kupowała w sklepach swojej ukochanej marki, prawie wszystko pasowało do wszystkiego, co niezwykle ułatwiało życie i pozwalało zaoszczędzić czas.

Tego dnia zdecydowała się na najprostszy zestaw - T-shirt, sportowa bluza i dżinsy. Wskoczyła w nie w mgnieniu oka, pobiegła znów do łazienki, włożyła szkła kontaktowe, pociągnęła wargi błyszczkiem, szybko rozczesała blond włosy. Były delikatne i cienkie, wysychały więc błyskawicznie, co przy jej trybie życia stanowiło zaletę.

Kuchnia, tost w zęby, energiczny sprint do drzwi wejściowych. Sprint po - uwaga! - białym chodniku. Tak, białym. Absolutnie niepraktycznym. Cudownie grubym i mięciutkim. Wymarzonym. I jeszcze niespłaconym. Podobnie jak niespłacona była wisząca nad kominkiem reprodukcja obrazu przedstawiającego orła, który szybował na szeroko rozpostartych skrzydłach nad srebrozłotymi wodami. Lucy zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia i koniecznie, ale to koniecznie musiała go mieć.

Zarówno chodnik, jak i reprodukcja stanowiły kolejne dowody na to, że jej przemiana w zupełnie

inną osobę wkraczała na właściwe tory. Powoli uczyła się, jak mieć kaprysy i dogadzać sobie. Tylko tak dalej!

Więcej rzeczy w domu Lucy zostało kupionych na kredyt, sam bliźniak też, lecz i tak uczyniła ogromny krok do przodu, ponieważ już nie musiała gnieździć się w jakiejś wynajmowanej klitce. Nareszcie była u siebie! Ta upragniona niezależność kosztowała ją kilka lat wytężonej pracy, lecz w wieku dwudziestu ośmiu lat Lucy mogła zacząć korzystać w życia i właśnie to robiła, czerpiąc z niego pełnymi garściami!

Pospiesznie ściągnęła z wieszaka kurtkę, którą dostała na Gwiazdkę od rodziców - białą, więc w jej pracy kompletnie niepraktyczną, lecz cudownie ciepłą, co doprawdy potrafiła docenić. Pierwszego marca w Minnesocie wciąż leżała spora warstwa śniegu, a powietrze było tak mroźne, że aż oczy łzawiły.

Wyskoczyła na dwór, przekreśliła klucz w zamku, jednocześnie drugą ręką naciągając na głowę ciepłą białą czapkę w żółte kwiatki. Będzie miała przez nią przez cały dzień beznadziejnie przyklepane włosy, lecz nie przejmowała się tym zbyt. I tak po godzinie pracy wyglądała jak ofiara katastrofy kolejowej, więc martwienie się o fryzurę byłoby czystą stratą czasu, a tego Lucy nie tolerowała.

Wciąż trzymając między zębami gorącego tosta, usiadła za kierownicą wysłużonej czerwonej hondy, wsunęła kluczyk do stacyjki i nieco niewyraźnie wymamrotała prośbę, by wóz zechciał zapalić. Poskutkowało. Poranne modły do samochodu, zwłaszcza zimą, stały się niemal drugą religią Lucy. Na nowy samochód nie było jej stać, a staruszka miała już sporo ponad trzysta tysięcy kilometrów przebiegu. Należało jej zatem dogadzać ze wszystkich sił, by nie postanowiła umrzeć i pójść do samochodowego nieba. Toteż Lucy często zmieniała olej, sumiennie odkurzała wnętrze dwa razy w tygodniu, jeździła do myjni, zamawiając za każdym razem nie tylko mycie, ale i woskowanie.

Mieszkańcy Rochester, gdzie się urodziła i dorastała, doskonale wiedzieli, co to są godziny szczytu i korki na drodze, lecz w Eagle Lake znano to jedynie ze słyszenia. Miasteczko sprawiło sobie, co prawda, sygnalizację świetlną, lecz głównie chyba w tym celu, by nie uchodzić za ostatnią dziurę. Dopiero kiedy Lucy dojechała do trasy szybkiego ruchu, pojawiło się w zasięgu jej wzroku kilka samochodów.

Osiedliła się w Eagle Lake z dwóch powodów. Po pierwsze, miała w miarę blisko do rodziców, ale zarazem wystarczająco daleko. Po drugie, w okolicy przeważali młodzi ludzie, często

single, więc czuła się w tym środowisku jak ryba w wodzie.

Dokończyła tosta i włączyła radio, poszukała stacji, która nadawała najbardziej żywiołową muzykę, i jechała, wyśpiewując, co sił w gardle. Nagle odbiło jej się potężnie, w jednej sekundzie zrobiło jej się niedobrze, oblał ją zimny pot. Ledwie zdążyła zjechać na pobocze, wcisnąć hamulec, drżącymi rękami otworzyć drzwiczki od strony pasażera i przewiesić się przez fotel, wystawiając głowę na zewnątrz.

I nic. Tost został w żołądku. Chyba pomógł mroźny wiatr, który natychmiast owionął jej policzki i trochę ją otrzeźwił. Wyprostowała się ostrożnie, odchyliła głowę na zagłówek, oddychając ciężko. Czuła się parszywie. Rozsądek nakazywał jak najszybciej skontaktować się z lekarzem.

To niesprawiedliwe, że zachorowała! Czym ona sobie na to zasłużyła? Owszem, usilnie starała się przestać być porządna aż do bólu, ale lista jej przewin była wciąż śmiesznie mała. Raz w życiu poszła na wagary. Myślała paskudne rzeczy o cioci Mirandzie - ale kto w całej rodzinie tego nie robił? Raz poszła na prywatkę bez majtek. Za długo pobłażała Eugene'owi. Pożyczyła sobie kaszmirowy sweter swojej siostry Ginger, zaplamiła go i nigdy się nie przyznała. No i jeszcze zrobiła jedną rzecz.

Na swój prywatny użytek nazwała ją Nocą Czekolady.

Ledwie jednak pojawiło się to wspomnienie, natychmiast wepchnęła je do szufladki z napisem: „Nic podobnego nie miało miejsca” i zatrzasnęła ją na głucho. Jeśli Bóg istniał - a Lucy wierzyła, że tak - nie mógł jej tak srogo pokarać chorobą za tę jedną jedyną rzecz. Już i tak przyszło jej to odcierpieć.

W sumie dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięćdziesiąt dziewięć procent życia spędziła absolutnie przykładnie, niemal jak święta. Wycierała kurz pod lodówką, nigdy nie przywłaszczyła sobie ani centa, choćby ktoś się pomylił na jej korzyść, regularnie czyściła zęby nitką po każdym posiłku. Jej rodzina pokpiwała sobie, że skończy jako pedantyczna stara panna, a w dodatku stanie się nią jeszcze przed trzydziestką i jakoś nikomu nie przychodziło do głowy, jak bardzo podobne docinki ranią uczucia Lucy.

Nieoczekiwana i, jak widać, niezasłużona choroba trochę komplikowała jej życie, jednak parę wizyt u lekarza z pewnością załatwi sprawę i wszystko wróci do normy. Już czuła się znacznie lepiej, więc powrócił też optymizm. Przekręciła kluczyk w stacyjce, wrzuciła pierwszy bieg, ruszyła, na początku dość ostrożnie, potem pewnie. Tym razem nie włączała już radia i nie

śpiewała na całe gardło, jak to miała w zwyczaju. Po co kusić licho? Czasem była przesadna i nie zamierzała się tego wstydić.

Dwadzieścia minut później, gdy ujrzała ogrodzenie tysiączakowej posiadłości, czuła się już wyśmienicie. Skręciła przy stylowym drogowskazie, na którym widniało tylko jedno słowo: „Bernard's”. Nawet nie trzeba było umieszczać na nim pełnej nazwy firmy, czyli „Bernard Chocolate”, ponieważ każdy na czterech kontynentach - a przynajmniej każdy, kto kochał wyśmienitą czekoladę - doskonale rozpoznawał markę.

Ogromne zakłady były drugim domem Lucy, lecz codzienne dotarcie do pracy było niemal trudniejsze niż dostanie się do CIA. Najpierw należało włożyć kartę identyfikacyjną do czytnika w filarze głównej bramy. Zaraz za nią droga rozwidlała się. Wstążka asfaltu biegnąca w prawo prowadziła do zakładów produkcyjnych, środkowa wiodła do rodzinnej rezydencji Bernardów, Lucy zaś jak zwykle skręciła w lewo. Droga wiła się przez blisko kilometr pośród bujnych drzew starannie wypielęgowanego parku. Potem znajdowało się kolejne ogrodzenie pod napięciem, wysokie na pięć metrów. Brama była zamknięta, strzeżona przez strażnika dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Witam, panno Fitzhenry - rzekł Gordon, wychodząc z budki strażniczej. - Już miałem dzwonić na policję, spóźniła się pani całe siedem minut, bałem się, że przydarzyło się pani coś złego.

Psiakość! Czy była aż tak przewidywalna?

- Na szczęście nic się nie stało. Jak minął weekend?

- Dziękuję, dobrze. Zabrałem moją do kina, a w niedzielę mieliśmy wnuki u siebie. Aha, obaj panowie Bernard są w domu, prosili, żeby pani przyszła do nich o dziesiątej.

- Dziękuję za informację. Miłego dnia - rzekła z sympatią, podkreślając opuszczoną szybę.

Serce podskoczyło jej gwałtownie - na szczęście serce, a nie żołądek. Oczywiście nie było sensu się denerwować, przecież spodziewała się od jakiegoś czasu, że Bernardowie wezwą ją na poważną rozmowę. Jej ostatnie eksperymenty zostały uwieńczone sukcesem, i to tak wielkim, że miały szansę wpłynąć na przyszłość całej firmy. Spotkanie nie oznaczało więc nic nieprzyjemnego, przeciwnie. Zazwyczaj jednak omawiała podobne sprawy z Orsonem Bernardem, a nie z jego wnukiem. Wszystkie raporty składała na piśmie założycielowi firmy i świetnie jej się z nim pracowało. Uwielbiała tego starszego pana, ale on miał już ponad siedemdziesiąt lat

i chociaż wciąż jeszcze podejmował wiele decyzji, coraz bardziej przekazywał stery wnukowi. Wszyscy wiedzieli, kto podpisuje listy płac.

Problem nie leżał w tym, że Lucy nie lubiła Raula Nicholasa Bernarda. Ależ lubiła! Wszyscy go lubili, gdyż inaczej się po prostu nie dało. Dysponował całym wachlarzem zalet, był czarujący, nie wspominając już o tym, że nieodparcie seksowny.

Wprawiał ją w zakłopotanie. Wiedziała o tym. On niestety też. Ba, pewnie już nawet wróble na dachu o tym ćwierkały. Lucy przyłapała się na tym, że zaczęła w zamyśleniu przygryzać kciuk, którego to nawyku pozbyła się wiele lat temu. Zakazała sobie dalej o tym myśleć i szybko położyła ręce na kierownicy.

We wstecznym lusterku podchwyciła życzyliwy uśmiech Gordona i przyjazne skinienie dłoni. Nie mogła nie uśmiechnąć się na ten widok. Strażnik wyglądał wypisz, wymaluj jak dobroduszny święty Mikołaj i nic nie zdradzało, że przez lata był komandosem. Cały czas bawiło ją i dziwiło zarazem, że pracuje w tak pilnie strzeżonym miejscu. A jeszcze zabawniejsze i dziwniejsze wydawało się to, że należała do grona osób, którym ochroniarze podlegali. Ona, która nie potrafiła zapanować nad własnymi włosami, wypić kieliszka szampana, by nie zacząć głupio

chichotać, a do tego z największym trudem osiągała wagę pięćdziesięciu kilo.

Wzięła ostatni zakręt i ujrzała swoje miejsce pracy - duży kompleks zabudowań. Z przodu znajdował się nowoczesny budynek biurowy, smukły, przeszklony, prosty i doskonale funkcjonalny. Za główną przestrzenią biurową znajdowało się olbrzymie laboratorium, używane przez wszystkich, dalej rozciągała się sieć pomniejszych laboratoriów, a na samym końcu stały, zupełnie niewidoczne z drogi, szklarnie. Królestwo Lucy. Jej dom. Jej dziecko.

Zostawiła samochód na parkingu i wbiegła do głównego gmachu. Z samego rana wszyscy znajdowali się w swoich pokojach, zajmując się papierkową robotą i dopiero gdy się z nią uporali, udawali się do swoich właściwych zajęć. W pierwszym z brzegu siedziała Reiko, która zawołała z serdeczną troską do przechodzącej Lucy:

- Hej, czy coś się stało?

Lucy zatrzymała się na moment, zamieniła z koleżanką dwa zdania, zapytała o jej synka, za którego chętnie by wyszła, gdyby nie miał zaledwie czterech lat, i popędziła dalej. To znaczy, miała taki zamiar. Następne pokoje zajmowali Fritz i Fred, którzy poprzedniego roku ukończyli uniwersytet stanowy. Nigdy żaden z nich nie splamił się uczesaniem włosów czy

wpuszczeniem koszuli w spodnie. Nawet przez przypadek. Umysły mieli obaj ostre jak brzytwy, lecz w kontaktach międzyludzkich każdy zachowywał się jak ostatni bęcwał, w dodatku ich mało wyrafinowane poczucie humoru pozostawiało sporo do życzenia. Pewnie żaden z nich w życiu nie był na randce, bo która dziewczyna chciałaby się z kimś takim umówić? A najdziwniejsze było to, że Lucy przepadała za nimi.

Jednocześnie pojawili się w otwartych drzwiach swoich pokoiów i zaczęli się przekrzykiwać:

- Lucy, zachorowałaś? Ktoś umarł? Świat się nie zawali przez twoje spóźnienie?

- Dajcie spokój. Zachowujecie się, jakbym nigdy w życiu się nie spóźniła.

Cóż, faktycznie nigdy jeszcze jej się to nie zdarzyło, dotąd można było według niej regulować zegarki, ale to przecież jeszcze nie powód, by uważać ją za osobę łatwą do zasufladkowania, która nigdy nie przekracza zakreślonych przez siebie granic.

Bo też ich nie przekraczała. Tylko ten jeden jedyny raz...

Do licha, czemu tego dnia ciągle jej się to przypominało?

Weszła do swojego biura, rzuciła kurtkę na wieszak, włączyła komputer. Pokoik był maleńki,

lecz pomalowane na bladobrzoskwiniowo ściany i zwisające wokół okna kilkumetrowe pędy bluszczu czyniły go optycznie nieco większym. Przy jednej ze ścian stały szafy na dokumenty, na przeciwnej wisały plakaty ze starymi reklamami czekolady i kakao, oczywiście wyłącznie amerykańskimi. Jakakolwiek reklama francuska została w zakładach Bernarda uznana za taki akt bluźnierstwa jak wykrzykiwanie wulgarnych słów w kościele.

Ulubiony plakat Lucy przedstawiał kobietę ubraną w sukienkę z czekolady. Wystarczyło na niego spojrzeć, by człowiekowi zaczęła lecieć ślinka...

Lucy sprawdziła pocztę, odpisała na kilka e-maili, skoczyła do kuchni, zrobiła sobie herbatę i udała się do swojego właściwego miejsca pracy.

W głównym laboratorium panował jeszcze zupełny spokój i cisza. Cała przestrzeń była zalana światłem potężnych lamp, biała podłoga lśniła czystością, spokojnie dałoby się z niej jeść, długie nowoczesne blaty przypominały meble kuchenne zaprojektowane przez awangardowego designera - skojarzenie całkiem uprawnione, ponieważ laboratorium było w pewnym sensie wielką kuchnią. Chociaż kadzie do konchowania i urządzenia do temperowania czekolady stały jeszcze beczynnymi, w powietrzu i tak unosił się

cudowny zapach miazgi i masła kakaowego, zdaniem Lucy znacznie bardziej zmysłowy niż perfumy Chanel Nr 5.

Zostawiła za sobą główne laboratorium, potem pomniejsze, dotarła do oranżerii, minęła te, gdzie wdrażali swoje projekty Reiko i Fred, stanęła przed trzecią z nich, swoim ukochanym królestwem, cenniejszym w jej oczach od słynnego salonu Tiffany'ego ze wszystkimi zgromadzonymi w nim cackami. Wystukała numer kodu i weszła do środka. Natychmiast znalazła się w zupełnie innym świecie, w którym z miejsca zapominała o upływie czasu.

Laik zapewne nie ujrzałby żadnego porządku ani sensu w jej planie nasadzeń, myślałby, że pomieszała wszystko ze wszystkim, podczas gdy w rzeczywistości pozorny chaos stanowił część bardzo starannie przemyślanego planu. Lucy specjalnie sadziła młodsze kakaowce wśród starszych, starając się wytworzyć specyficzny mikroklimat, którego potrzebowała dla swego eksperymentu.

Sprawdziła temperaturę, poziomy wilgotności gleby i powietrza, czując całym swoim jestestwem, że znajduje się w raj. Kiedy w wieku siedemnastu lat szła do college'u, nie miała sprecyzowanej idei, kim chciałaby zostać. Kimkolwiek, byle nie lekarzem. Biologia wydawała

się wystarczająco odległa od medycyny, a więc i bezpieczna. Lucy jednak ani przez moment nie podejrzewała, dokąd ją to zaprowadzi.

Kto by przypuszczał, że zakocha się w drzewach, i to tak szczególnych? O kakaowcach wiedziała dosłownie wszystko. Protoplastka istniejących obecnie odmian pojawiła się na Ziemi jakieś piętnaście tysięcy lat temu, naukowcy ochrzczili ją *Theobroma cacao*. Jej dalecy potomkowie różnili się mocno od swojej dość prymitywnej mamy znad Amazonki, ale pewne rzeczy nie uległy zmianie w ciągu tysięcy lat ewolucji. Kakaowce rosły i owocowały jedynie w lasach tropikalnych. Koniec, kropka. Wszelkie próby zaadaptowania ich do innego klimatu spełzły na niczym.

W szklarni Lucy nie było ani gorąco, ani parno, ani wilgotno, ani cieniście. Gleba nie przypominała żyznej, próchniczej ziemi z dżungli, pochodziła z Minnesoty, jedynie została wzbogacona o pewne składniki. Dzieci Lucy rosły w warunkach, w jakich nie miały prawa się udać.

Oczywiście jej eksperymenty mogły zakończyć się kompletnym fiaskiem. Kakaowce powinny zmarnieć, a nawet jeśli nie, to jakoś ich ziaren nie powinna pozwolić na wytworzenie naprawdę dobrej czekolady.

Czasem jednak to, co niemożliwe, stawało się

prawdą. Czasem kobieta musiała wziąć sprawy w swoje ręce i zrobić to, czego zrobić się nie dało - choćby po to, by przekonać się, na co ją stać.

Zabrzączał interkom i rozległ się łagodny głos Reiko:

- Lucy, Wielki Dom cię szuka. Nick i pan Bernard domyślili się, że grzebiesz się w ziemi i zapomniałaś o całym świecie, dobrze cię widać znają... Prosimy, by ci przypomnieć o spotkaniu. Już po dziesiątej.

Niemożliwe, przecież dopiero co weszła do oranżerii! Spojrzała na zegarek - i faktycznie! Dwanaście po dziesiątej! A ona przecież nigdy się nie spóźniała, nawet mimo swojej tendencji do zapamiętywania się w pracy. Na szczęście jej żołądek uspokoił się zupełnie i nie sprawiał kłopotów, gdy wybiegła z głównego budynku i na złamanie karku popędziła na przełaj przez park, wiedząc, że tak dotrze na miejsce szybciej niż samochodem.

Siedem minut później wpadła jak bomba do rezydencji Bernardów, jak zwykle używając tylnego wejścia. Już od roku nie korzystała z drzwi frontowych, mogła swobodnie wchodzić kuchennymi, przy których nie musiała czekać, aż służba jej otworzy.

Jej rodzice z całą pewnością nie klepali biedy, lecz bogactwo Bernardów przerastało wszystko,

co Lucy kiedykolwiek widziała. Liczący sobie sto lat dom zbudowano na wzór francuskiego zamku - miał trzy piętra, niezliczone wieżyczki, balkони, krużganki, pokoje służące jako sypialnie, salony, gabinety, garderoby oraz pokoje, których w przeciągu wieku nikt do niczego nie używał. Przez pierwsze pół roku Lucy gubiła się w tym labiryncie, ilekroć próbowała znaleźć łazienkę, a potem drogę powrotną do miejsca, z którego wyszła.

Powiesiła kurtkę na wieszaku, zrzuciła zabrudzone buty i weszła dalej. Słyszała, jak gospodyni podśpiewuje w pralni, a pokojówka odkurza w którymś z pokoiów na piętrze, lecz nie potrzebowała ich pomocy, ponieważ doskonale znała obyczaje Bernardów i wiedziała, gdzie ich szukać. Małe spotkania w gronie zaledwie paru osób nieodmiennie odbywały się na oryginalnej oszklonej werandzie zbudowanej na planie sześciokąta. Kamienne mury wznosiły się do wysokości talii, wyżej szklane płyty nachylały się pod kątem i zbiegały wysoko nad głowami w jednym punkcie.

Orson uwielbiał to miejsce, więc Lucy oczywiście zastała go przechadzającego się od jednej szklanej ściany do drugiej i cieszącego oczy widokiem, który go nigdy nie nużył. Szef firmy był wysoki, szczupły, łysy jak kolano, jego

pociągłą, prostokątną twarz pokrywała gęsta sieć zmarszczek. Mimo swoich siedemdziesięciu lat z okładem miał w sobie więcej życia i pasji niż dziesięciu mężczyzn w wieku Lucy.

Rozpromienił się na jej widok, jak zwykle otoczył ją ramieniem i uścisnął z całą serdecznością, w ogóle nie przejmując się tym, czy szef firmy powinien w taki sposób witać się z pracownikiem.

- Witaj, moja droga.

Odwzajemniła uścisk.

- Ogromnie przepraszam za spóźnienie. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, bo wiedziałam od Gordona, że mam tu przyjść o dziesiątej. Po prostu zasiedziałam się w szklarni.

- Chyba jej wybaczymy, prawda, Nick? Na stole jest kawa i herbata, nalej sobie, na co masz ochotę i zaczniemy naradę wojenną.

Wzięła się mocno w garść, potem obróciła się, by przywitać się z Nickiem.

Na szczęście miał na sobie garnitur, a kiedy był ubrany formalnie i elegancko, Lucy trochę łatwiej radziła sobie ze swoją reakcją na jego widok, ponieważ różnica między jego nienagannym wyglądem a jej brudnymi od grzebania w ziemi rękami natychmiast uświadamiała jej, jaka przepaść ich dzieli. Gorzej, gdy chodził w T-shircie i dżinsach, bo wtedy serce natychmiast zaczynało

bić jej mocno, zamiast siedzieć cicho i nie przeszkadzać.

Wystarczył jednak moment, by Lucy zorientowała się, że tego dnia nic jej nie uratuje - nawet jego śnieżnobiała koszula i granatowy garnitur, który nosił z nieco nonszalanckim wdziękiem młodego Cary'ego Granta. Nick miał podobnie jak dziadek pociągłą twarz, mocno zarysowaną szczękę, wysokie kości policzkowe oraz niewiarygodnie niebieskie oczy. Jego gęste ciemne włosy, nawet starannie uczesane, zawsze układały się w trochę zawadiacki sposób, dodając mu dodatkowego uroku. Jedno spojrzenie na niego, i wykres pulsu Lucy przypominał trajektorię liścia miotanego wiatrem.

Nigdy nie przejmowała się swoim wyglądem. Praca w szklarni ani praca w laboratorium nie wymagały od niej znakomitej prezencji, więc nie zaprzatała sobie tym głowy. Nick był jedyną osobą na świecie, w obecności której natychmiast uświadamiała sobie z bolesną oczywistością, że jest płaska jak deska i musi kupować dżinsy w sklepach z odzieżą dziecięcą, bo gdy kupi je w sklepie z odzieżą damską, to będą wisały jej na siedzeniu jak worek, a nogawki przyjdzie jej zawinać dwa razy. Od razu przypominała też sobie o swoich nieszczęsnych włosach. Choćby wmasowała w nie tonę odżywek, i tak byłyby

delikatne jak puch. Do tego zawsze błyskawicznie zjadała szminkę, jedyny kolorowy kosmetyk, jakiego używała. Krótko mówiąc - ostatnia sierota. No i w porządku, nie każdy musi być wytworny. I tylko przy jednym Nicku żałowała, że brak jej klasy.

Marzyła o nim przez całe życie. Owszem, spotkała go dopiero wtedy, gdy zatrudniono ją w Bernard Chocolate, ale to nie zmieniało faktu, że od zawsze nawiedzał ją w snach, był bohaterem jej romantycznych fantazji. Na sam jego widok robiło jej się gorąco i jakoś tak dziwnie boleśnie. Gdy znajdował się w zasięgu wzroku, każda komórka jej ciała ogłaszała stan alarmowy. Jeden jego uśmiech wytwarzał w niej taką tęsknotę, że mogłaby nią obdzielić połowę ludzkości.

Strasznie to było męczące.

- Witaj. Jak ci się zaczął tydzień? - spytała ciepło.

- Trochę wariacko. A tobie?

- Mnie też.

Nalał jej herbaty, bez pytania wsypał jedną łyżeczkę cukru, podał Lucy filiżankę. Spotykali się przecież nie po raz pierwszy. I nie po raz pierwszy zachowywał się wobec niej tak miło. Nie musiał pamiętać, co ona zazwyczaj pije, a pamiętał.

Niestety, nawet jego grzeczność dodatkowo

podsycała jej pożądanie i czyniła ją jeszcze bardziej półprzymrotną w jego obecności.

Na początku trochę ją to wszystko bawiło. Przez lata nikt jej się nie spodobał aż tak bardzo, a Nick był niesamowicie seksownym facetem, nic więc dziwnego, że wpadł Lucy w oko. Z czasem jednak nauczyła się dostrzegać w nim znacznie atrakcyjniejsze cechy niż wygląd, przez co zaczęła naprawdę się rozpraszać w jego obecności, co było wyjątkowo nie na rękę. Zależało jej, by postrzegano ją jako osobę odpowiedzialną i traktowano poważnie. Nick tak ją właśnie traktował, nie chciałaby tego utracić. Właściwie było jej głupio, że reaguje jak zadurzona nastolatka na kogoś, kto zachowywał się wobec niej jak mądry starszy brat. Nick Bernard był co prawda dopiero po trzydziestce, lecz gdy chodziło o doświadczenie, klasę i obycie, wydawało się, że dzieli ich dobre sto lat.

Podobnie jak Orson usiadła w fotelu, tymczasem Nick zajął miejsce na kanapie i zaprosił gestem dziadka, by ten zaczął rozmowę.

- Lucy, jak wiesz, jakoś ziarna z tych eksperymentalnych roślin przekroczyła wszelkie nasze oczekiwania. Na razie nie planujemy wykonywać żadnych gwałtownych posunięć w związku z tym faktem, ponieważ nie zamierzamy ryzykować przyszłości firmy i stawiać wszystkiego na jedną

kartę. Zaczniemy od wybudowania pięciu czy sześciu dodatkowych szklarni, by uzyskać więcej surowca. Jeśli nasz nowy produkt odniesie sukces, a mam nadzieję, że tak, kupimy więcej ziemi i założymy plantację kakaowców, na razie jednak musimy działać dyskretnie i utrzymać całą sprawę w ścisłym secrecie.

- Oczywiście, proszę pana.

- Mówimy o milionowych zyskach, a może miliardowych - dodał. - Na razie nic nie jest przesądzone, chociaż potencjalnie odkryliśmy coś, co wygląda na żyłą złota. Produkt nie został jednak jeszcze do końca przetestowany.

Odstawiła filiżankę, zbyt przejęta, by cokolwiek przełknąć.

- Wiem. Zgadzam się w zupełności ze wszystkim, co pan mówi.

- To dobrze, bo ta nowa odmiana kakaowców to twoje dzieło.

- Raczej moje dziecko... Ale przecież wszyscy troje dobrze wiemy, że nie mogą sobie przypisywać takiej zasługi! To nie ja zaczęłam ten eksperyment, ja go tylko kontynuuję.

- Właśnie. Bez twojej pracy i twojego oddania nic by z niego nie wyszło. To ty doprowadziłaś całą sprawę do końca.

- Wyłącznie dzięki temu, że miałam tak wspaniałego nauczyciela jak Ludwig.

Zawsze z najgłębszą wdzięcznością wspominała starego botanika, pracującego przez kilka dekad u Bernarda. Najpierw bezlitośnie wyśmiał jej dyplom z biologii, a potem nie szczędził czasu, by przekazać jej rzetelną wiedzę praktyczną i wprowadzić w arkana zawodu.

- Nie pora na skromność, Lucy. Znam zasługi Ludwiga, ale jestem też świadom wielkości twojego wkładu przez ostatnich kilka lat. A jeszcze ważniejsze jest to, że możemy na tobie kompletnie polegać. Zgodzisz się ze mną, Nick, prawda?

Zerknęła na Nicka i spostrzegła, jak jego przystojna twarz przybiera chłodny wygląd. Cokolwiek Orson zamierzał, wnuk wyraźnie tego nie aprobował.

- Tak. Ufamy ci, Lucy.

Nie dodał żadnego „ale”, mimo to ono i tak zawisło w powietrzu, choć niewypowiedziane.

- Za kilka lat wypuścimy na rynek poważne partie nowego produktu, lecz na razie musimy dalej nad nim pracować, nie zdradzając się z tym przed nikim - kontynuował Orson. - Trzeba zainwestować w badania zakrojone na szerszą skalę, jednocześnie nie ryzykując niepotrzebnych strat. - Oparł się wygodniej, założył nogę na nogę. - Ile jesteś w stanie wziąć na siebie, Lucy?

- Ja?

- Tak, ty. Chcę, żebyś poprowadziła cały

projekt. Znajdziesz odpowiednich ludzi do pracy w nowych szklarniach, zaplanujesz dla każdej projekt nasadzeń kakaowców, postarasz się o nowe sadzonki i tak dalej.

- Ja? - powtórzyła.

- Nie rozumiem, co cię tak dziwi. Zdaniem całego zespołu umiesz nimi wszystkimi świetnie kierować.

- Ale przecież jestem tylko jedną z nich - zaoponowała. - Odkąd Ludwig oszczędł, zespół nie ma szefa, pracujemy na równej stopie. Nigdy nie myślałam o sobie jako o osobie, która nimi kieruje. Nie śmiałabym! Reiko jest ode mnie starsza, a Fritz i Fred są tacy kochani, że nie sposób nimi komenderować. Ja naprawdę nie wydaję nikomu poleceń.

Orson uśmiechnął się.

- Owszem, wydajesz, ale w sposób, który inni potrafią docenić. Dlatego jestem zupełnie spokojny, że świetnie się sprawdzisz. Szczerze powiedziawszy, nie widzę w tej roli nikogo innego.

Gdy wymienił wysokość wynagrodzenia, jakie miałyby otrzymywać na nowym stanowisku, prawie zleciała z fotela. Najchętniej zerwałaby się na równe nogi i zaczęła skakać po całej werandzie, wrzeszcząc ze szczęścia, ale oczywiście nie mogła sobie na to pozwolić.

- Panie Bernard, z największą przyjemnością

podejmę się tego zadania. Uczynię wszystko, by nie zawieść pańskiego zaufania.

Ledwie mogła usiedzieć na miejscu, rozpieła ją radość. Kupi sobie nowy samochód! Proszę, a już przypuszczała, że skoro tydzień zaczął się tak podle, będzie już tylko gorzej. Nie mogła się bardziej pomylić. Przeciwnie - powinna była się spodziewać, że lada dzień sukces jej eksperymentu zostanie doceniony przez pracodawców. Lata naprawdę ciężkiej pracy zaowocowały i nareszcie życie zaczynało układać jej się tak, jak chciała. Zasłużyła na to.

W tym momencie popełniła błąd i zerknęła na Nicka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nick stał przy szklanej ścianie sześciokątnej werandy i patrzył za biegnącą przez trawnik Lucy. Oczywiście psy już jej dopadły, dziwne było tylko to, że jakimś cudem przeoczyły jej przyjście. Baby była pięknym dogiem niemieckim czystej krwi, zaś Bubu... Bubu to zupełnie inna historia. Baby, chociaż pochodziła od znakomitego czempiona i sama również zdobywała medale, miała tendencję do wyszukiwania sobie partnerów na własną łapę - bez żadnej troski o zachowanie czystości rasy. W rezultacie na świat przyszła Bubu o sylwetce i umaszczeniu charakterystycznych dla doga niemieckiego, lecz do tego miała oklapnięte uszy, ogon nie taki, jak trzeba i zdecydowanie głupi wyraz pyska.

Każdy z psów był tylko trochę mniejszy od

Lucy, a już na pewno każdy przewyższał ją masą i mógłby z łatwością powalić na ziemię. Im szybciej biegła, tym zajadlej wydawały się ją ścigać, co stanowiło element zabawy, gdyż w rzeczywistości szalały dookoła niej w dzikich podskokach, uradowane. Uwielbiały ją.

Kiedy Bubu chwyciła ją dla zabawy za rękę, nigdy nie zostawiała śladu zębów. Kiedy lizały Lucy po twarzy, nie przejmowały się jej piskami i krzykami, wiedząc, że ona wcale się nie gniewa. Machały ogonami jeszcze mocniej i lizały bardziej zapamiętale.

Nick aż pokręcił głową. Ich genialny botanik, dzięki któremu firma Bernardów mogła osiągnąć krociowe zyski, miał czerwony od mrozu nos, oblizaną przez psy twarz, dzinsy z dziurą na kolanie i idiotyczny kapelusz w kwiatki, który właśnie wylądował w śniegu.

- Jest za młoda - powiedział do dziadka.

Orson stanął za jego plecami.

- Rzeczywiście wygląda bardzo młodo, ale przecież niewiele jej brakuje do trzydziestki. W jej wieku zarządzałeś już całą produkcją.

- Ponieważ nie miałem wyjścia. Rodzice nie żyli, ty zachorowałeś, a Clint nie umie odróżnić bilansu od bilardu.

- Twój brat jest równie bystry jak ty i gdyby się przyłożył, a do tego miał odrobinę ambicji,

poradziłby sobie. Gdyby nie tamta dziewczyna i ta nieszczęsna ciąża, wszystko potoczyłoby się inaczej. Wyszedłby na ludzi.

No tak, stara śpiewka. Dziadek byłby gotów wybaczyć wnukom najróżniejsze przewiny i głupstwa - rozbicie samochodu, utratę paru milionów dolarów, burdy po pijanemu, ba, pewnie nawet narkotyki i napad na bank, ale gdy w grę wchodziło dobro kobiety, wyznawał staromodne zasady i nie zamierzał od nich odstąpić choćby na pół kroku. Gdy kobieta zachodziła w ciążę, mężczyzna nie miał prawa jej zostawić. Koniec, kropka. Niestety, Clint właśnie tak uczynił, czego Orson nigdy mu nie wybaczył, chociaż młodszy wnuk niejednokrotnie podejmował się mediacji między zwaśnionymi stronami. Kończyło się to zawsze tak, że tamci dwaj mieli pretensje do Nicka.

- Nie rozmawiamy o Clincie, tylko o Lucy. Nie możesz jej porównywać ze mną. To nie to samo.

- Fakt. Ale przecież nie zlecamy jej przeprowadzania żadnych poważnych operacji o zasięgu międzynarodowym.

Dziadek był uparty, a do tego uwielbiał się spierać, udowadniać swoje racje i stawiać na swoim. Nick często mu ustępował i w każdej innej sytuacji uznałby, że w końcu to Orson uczynił z Bernard Chocolate prężną i znaną firmę,

więc jeśli chce utopić trochę pieniędzy w jakimś zwariowanym eksperymencie, to jego sprawa. Tym razem jednak zachodziły pewne dodatkowe czynniki.

- Ona doskonale rozumie, że ta nowa odmiana kakaowca może przynieść nam prawdziwą fortunę. Odpowiedzialność za powodzenie projektu jest więc ogromna, a co za tym idzie, stres również. Lucy nie wie, co to znaczy stresująca praca, nikt jej nigdy nie uczył, jak sobie radzić z podobnymi zadaniami i dlatego składanie takiego ciężaru na jej barki jest nie do końca w porządku - oznajmił, nie odrywając wzroku od oddalającej się postaci.

Niedługo Lucy dotrze do zagajnika i zniknie pomiędzy gałęzmi błękitnych świerków, które zasłaniały dom od strony biur i oranżerii. Mokry od śniegu kapelusz niosła w ręku, jej włosy w świetle zimowego słońca wydawały się prawie srebrne. Fruwały dookoła twarzy nawet przy najmniejszym ruchu głowy.

Trudno było pamiętać, że ma się do czynienia z dorosłą kobietą, gdy widziało się kogoś, kto miał najwyżej metr sześćdziesiąt, a do tego włosy puszyste i mięciutkie jak mała dziewczynka. Nigdy nie widział jej umalowanej. Może robiła się na bóstwo, kiedy wychodziła na miasto, ale malowanie się do pracy w jej przypadku

faktycznie nie miało najmniejszego sensu. Po godzinie spędzonej w szklarni wszystko by spły-
nęło. Zresztą po co zakrywać taką ładną skórę?

Ale najwspanialsze miała oczy - w odcieniu orzechów laskowych, złociste, tajemnicze i kuszące. Mężczyzna mógł się w nie zapatrzyć, zabłąkać się w nich jak w lesie i już nigdy nie znaleźć drogi powrotnej. Kiedy Nick z nią rozmawiał, to patrzył w te oczy i patrzył, aż zapomniał, jak bardzo są różni i jak wiele ich dzieli.

- Ona naprawdę nie ma wystarczającego przygotowania do tak odpowiedzialnych zadań - rzekł zdecydowanie.

- Nie? - spytał z ironią Orson. - A niby czego jej brakuje? Pchnęła eksperymenty, które zapoczątkował Ludwig, na zupełnie nowe tory. Jest niezwykle twórcza, ma wyjątkową intuicję, a do tego pracuje za trzech. A jeśli chodzi o poczucie odpowiedzialności, to nie znalazłbym nikogo, kto by ją przebił pod tym względem.

Nick zachnął się lekko.

- Wiem o tym wszystkim nie od dzisiaj.

Orson, nie zwracając uwagi na słowa wnuka, dalej wygłaszał pochwałę Lucy:

- Wszyscy ją uwielbiają. Widzą, że jest urodzonym liderem, chociaż ona sama tak siebie nie postrzega, gdyż jest na to zbyt skromna. Potrafi wszystkich zorganizować bez antagonizowania,

natchnąć ludzi entuzjazmem, zarazić ich swoją pasją do pracy. Czego chcesz jeszcze?

- Dziadku, całkowicie się zgadzam z tym, co mówisz. Ja też ją lubię. Ale... - Rzadko mu się zdarzało, by nie wiedział, jak ubrać swoje myśli w słowa, lecz tym razem właśnie tak było.

Nie umiał precyzyjnie sformułować, czemu ten pomysł budził jego obiekcje. I co z tego, że wszyscy lubili Lucy? To było równie oczywiste jak to, że niebo jest niebieskie. Wnosiła ze sobą energię i pogodę, działając na ludzi jak promień słońca, jak powiew świeżego powietrza. Umiała mówić mądrze i w sposób podnoszący na duchu. Umiała też słuchać. Boże, jak ona umiała słuchać!

Tymczasem Orson zastanawiał się nie nad samą Lucy, tylko nad całym projektem.

- Oczywiście niektóre decyzje pozostaną w naszej gestii - zauważył. - Kwestia bezpieczeństwa jest absolutnie kluczowa. Mimo rozbudowy i zatrudnienia nowych ludzi nic nie może przedostać się na zewnątrz. Rozumiem, że zajmiesz się tym i będziesz nadzorował działania Lucy?

- Twoim zdaniem jeszcze mam za mało do roboty? - burknął Nick.

Dziadek popatrzył na niego spokojnie.

- Znajdziesz na to czas, ponieważ tak samo jak ja całą duszą popierasz ten projekt.

- Może i popieram... - przyznał niechętnie.
 - A myślałeś, że to tylko mrzonki starego człowieka! Że wyrzucam pieniądze w błoto, kontynuując eksperymenty. Że zupełnie nic z nich nie będzie. Tymczasem uzyskaliśmy czekoladę, której walory przewyższają wszystko, co dotychczas zostało wyprodukowane.

- Dobra, nie miałem racji, ale nie musisz mi o tym w kółko przypominać.

- Lucy nie tylko słusznie dostała awans i wyższe wynagrodzenie za jej dokonania, lecz również znakomicie nadaje się do tej roli. Przede wszystkim ufam jej w zupełności, a mogę to powiedzieć zaledwie o kilku osobach. Ta dziewczyna jest bezwzględnie prawym człowiekiem. Nie potrafiłaby sobie przywłaszczyć nawet jednego centa.

- Właśnie dlatego uważam, że jest za młoda. Wciąż nie wyrosła z naiwnego idealizmu.

- Je też nie - zauważył łagodnie Orson.

Nick na moment oderwał wzrok od okna, by z uśmiechem zerknąć na dziadka.

- Tak, ale ty jesteś moim dziadkiem i ciebie mogę chronić przed skutkami twojego idealizmu, czy ci się to podoba, czy nie.

Orson uśmiechnął się również, lecz po chwili spowaźniał i przyjrzał się wnukowi z głębokim namysłem.

- Czy twój protest przeciw powierzeniu Lucy

projektu, jak również przeciw waszej współpracy nie wynika z jakichś powodów osobistych?

- Skąd! Oczywiście, że nie - zaprzeczył zdecydowanie, chociaż faktycznie miał pewien osobisty powód, dla którego wolałby nie współpracować z Lucy.

Podobał jej się. Może nawet podkochiwała się w nim. W jego obecności natychmiast się peszyła, traciła rezon, a co gorsza, osoby postronne od razu to zauważały. Dla swego własnego dobra powinna widywać go jak najrzadziej. Nie zamierzał jednak mówić tego dziadkowi, bo to mogłoby postawić Lucy w kłopotliwej sytuacji. Jego samego zresztą też.

- Jeśli naprawdę widzisz ją w tej roli, to w porządku - ciągnął. - Ale ja nie mogę jej nadzorować, bo nie dam rady się rozerwać. Mam bardzo napięte plany w ciągu najbliższych kilku miesięcy, w dodatku będę często latał do Europy. Poszukam ci kogoś, kto mnie zastąpi przy nadzorowaniu nowego projektu.

- Obaj doskonale wiemy, że to jest coś, co może zrewolucjonizować cały przemysł wyrobu czekolady. I ty chcesz powierzyć to komuś obcemu?

- Rozumiem twoje obiekcje, ale nie widzę innej możliwości. Znajdę odpowiednią osobę.
 - Sprawdził godzinę. - Muszę iść. Rozumiem, że Madris zawiezie cię dziś po południu do lekarza?

- Wykończycie mnie obaj! Jesteście jak psy pasterskie, a ja jak owca, którą zaganiacie z miejsca na miejsce. Mam już tego serdecznie dosyć!

Nick dopiero w tym momencie odwrócił się do dziadka, koncentrując na nim całą uwagę.

Chwilę wcześniej Lucy znikła w zagajniku.

Kiedy wróciła do domu w ten pamiętny poniedziałek, który zaczął się fatalnie, a jeszcze przed południem stał się absolutnie cudowny, ściągnęła kurtkę i... po raz pierwszy w życiu rzuciła ją na podłogę. Potem ściągnęła buty, cisnęła je do kąta. A na koniec - pod wpływem nagłego impulsu, ściągnęła wszystko, zostając jedynie w majteczkach.

W podskokach pobiegła do pokoju, włączyła telewizor, znalazła ulubioną stację muzyczną, nastawiła głośniej i tańcząc jakieś szalone boogie-woogie, podążyła do kuchni, gdzie nalała sobie pół kieliszka wina. Wypiła je, nie przerywając tańca.

Awans! Co za piękne słowo! Co za cudowne słowo! Słowo mieniające się kolorami tęczy. Słowo mieniające się zerami na dolarowych banknotach. Oznaczające nowy samochód. Oznaczające spłatę rzeczy kupionych na kredyt - białego chodnika, reprodukcji obrazu z orłem, kanapy, fiolkowej satynowej pościeli.

Lucy będzie wreszcie... no, może nie bogata, ale przynajmniej wyślafalna.

Co ważniejsze, odegra rolę w historii. W historii czekolady. Cóż, nie wynajdzie lekarstwa na raka ani nie przyczyni się do zaprowadzenia pokoju na świecie, ale czy nie wystarczy, że dokona rewolucji w produkcji czekolady? Kakao-wce, które nie muszą rosnąć w lasach tropikalnych... Czekolada o niebiańskim smaku, najlepsza na świecie... Jej dziecko.

W płaschach dotarła do biurka, wysunęła szufladę. Należała jej się jedna trufla, tego dnia wszystkie jej zasady poszły do kąta. Och, gdyby mogli ją teraz widzieć ci, co mieli ją za obsesyjną pedantkę i perfekcjonistkę! Oto delektowała się czekoladową truflą przed obiadem, popijając wino, biegała po domu półnaga, ubrania rzuciła na podłogę, nie robiła nic pożytecznego, cieszyła się życiem.

Ha! Jeszcze nie znają Lucy Fitzhenry!

Ledwie przełknęła ostatni łyk wina, natarczywie odezwał się dzwonek u drzwi. Zamarła na moment, potem obróciła się gwałtownie, niechcący kopiąc przy tym krzesło, syknęła, skrzywiła się, pospieszyła do sypialni, skacząc na jednej nodze.

- Chwileczkę! - krzyknęła, co sił w płucach.

Złapała pierwsze rzeczy, które nawinęły jej się pod rękę - bluzę od dresu i spodnie do ćwiczenia jogi. Wciągnęła je na siebie, pokuśtykała ku wejściu, zerknęła przez wizjer i szczęka jej opadła. Czym prędzej otworzyła drzwi.

- Tato, co ty tu robisz?!

Właściwie nie musiał odpowiadać, gdyż i tak widziała, że przydarzyła się jakaś katastrofa. Stał bezradnie, trzymając w ręku walizkę, której wieko przytrzasnęło trzy skarpetki - jedną białą i dwie czarne.

- Tato? - powtórzyła nieco łagodniej Lucy i wciągnęła go do środka, bo inaczej chyba stałby tak do końca świata.

- Twoja matka wyrzuciła mnie z domu. I zabroniła mi pokazywać jej się na oczy.

Stało się więc to, czego tak bardzo się obawiała. To właśnie z tego powodu tak długo zostawała w domu przy rodzicach, zamiast usamodzielnic się i rozpocząć własne życie, choć ogromnie tego pragnęła. Bała się jednak, że rodzice skłócą się na amen, gdy jej zabraknie i nie będzie miał kto łągodzić sporów.

- Zdejmij płaszcz, powieszę go - poprosiła Lucy.

Ojciec stał w korytarzu, półprzytomnie patrząc na córkę. Był kardiochirurgiem, jednym z najlepszych, ale w tym momencie wyglądał nie jak znakomity lekarz, lecz jak zagubiony szczeniak. To po nim Lucy odziedziczyła niski wzrost i drobną budowę ciała. Luther Fitzhenry nie miał nawet metra siedemdziesięciu, chudy był jak szczapa, za to serce miał ogromne, co od razu

dawało się odgadnąć po łagodnych rysach i niebieskich oczach o ujmującym wejrzeniu.

- Mówi, że nigdy mnie nie ma w domu, że dla mnie liczy się tylko praca, że staliśmy się sobie obcy, więc równie dobrze mogę już w ogóle nie wracać.

- Dobrze, zaraz porozmawiamy, ale najpierw rozbierz się, usiądź i dojdź do siebie.

- Nie mam się gdzie podziąć, Lucy. Czy mógłbym tu przenocować? Dziś i jutro?

Ogarnęła ją lekka panika. A jeśli to potrwa dłużej?

- Nie będę dla ciebie ciężarem, obiecuję.

- Wiem, że nie będziesz.

- Nie wiem, gdzie indziej mógłbym pójść.

Zaprowadziła go do pokoju dziennego. Usiadł na sofie i rozejrzał się takim wzrokiem, jakby nie wiedział, gdzie jest. Jego gęste jasne włosy, nieco już siwiejące, sterczały dziwacznie we wszystkich kierunkach.

- Kocham twoją matkę, Lucy.

- Może coś mocniej szego dobrze by ci zrobiło?

- Przecież wiesz, że nie piję... Chociaż może tym razem... Dasz mi szkockiej z lodem?

- Tato, nie stać mnie na kupowanie whisky. Możesz dostać wino albo piwo.

- A gdybym ci dał pieniądze, skoczyłabyś po szkocką? Nie, co ja wygaduję? Zapomnij, że to

powiedziałem. Nie chcę ci robić kłopotu. Nie chcę być dla nikogo ciężarem. Ja...

- Już dobrze, tato. Zaraz pójde po tę whisky. Żaden problem.

- Kocham twoją matkę, Lucy.

- Wiem, tato. Już to mówiłeś.

- Podobno nie doceniam, co ona robi. Niczego nie zauważam. Myślę tylko o swoich sprawach. Nigdy o niej. Nie wiem, co ją naszło...

- Może znowu zapomniałeś o jej urodzinach?

- Nie. Kupiłem jej ten zegarek, który tak jej się podobał.

- To było w zeszłym roku.

- Nie, nie chodziło o urodziny, to coś innego...

Może zmieniła krzesła albo obicie kanapy, czy ja wiem? Wróciłem do domu, a ona robiła się coraz bardziej nerwowa... - Spojrzał na nią wzrokiem zbitego psa. - Ale nie wyjdiesz tylko ze względu na mnie, prawda?

Lucy stłumiła westchnienie, ubrała się i poszła kupić ojcu whisky. Kiedy wróciła, spał w butach na jej nowiutkiej sofie. Ściągnęła mu buty, przykryła go kocem i pobiegła do pokoju, w którym stały dwa łóżka i inne meble, którymi uszczęśliwili ją rodzice, gdy się wyprowadzała. Ponieważ nikt nie składał jej dłuższych wizyt, Lucy przechowywała w tym pokoju rower, narty, kijki, zimowe ubrania i tego typu rzeczy. Musiała je

teraz wszystkie wynieść do garażu, by tata mógł się rozgościć. Właśnie obracała trzeci raz, gdy żołądek podjechał jej do gardła.

Och, nie! Nie teraz! Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie dwie rzeczy - nie umówiła się do lekarza i nie zjadła żadnego obiadu, tylko jedną trufkę czekoladową. Niestety, czekolada chyba coś ostatnio jej nie służyła.

Ta myśl była tak straszna, że momentalnie wyrzuciła ją do kosza i mocno zatrzasnęła wieko. Cichutko przemknęła do kuchni, zrobiła sobie bułkę z żółtym serem, potem pościeliła tacie w dodatkowym pokoju, a wreszcie swoim zwyczajem wykonała dwa wieczorne telefony - jeden do swojej siostry Ginger i jeden do swojej najlepszej przyjaciółki Merry. Ledwie skończyła rozmawiać, zadzwonił Russell, jej kuzyn, by uprzedzić, że niedługo wpadnie. Coś wydarzyło się w jego życiu, nie chciał jednak powiedzieć nic bliższego. Na koniec zadzwoniła mama.

- Jest u ciebie?

- Tak. Dać ci go?

- Nie. Nie będę z nim rozmawiać. I nie powtarzaj mu, że dzwoniłam. Potrzebowałam się tylko upewnić, czy mu się nic nie stało.

Eva westchnęła do słuchawki, a Lucy od razu ujrzała ją oczami wyobraźni - piękną blondynkę o zawsze starannie ułożonych włosach

i z nienagannym makijażem, elegancką w każdej sytuacji.

- Wyrzuć go.
- Mamo, nie mogę!
- Owszem, możesz. Pewnie cię namówił, żebyś go dziś przenocowała, więc pozwól mu zostać do jutra, ale potem wykop go za drzwi, inaczej zadręczy cię swoim gadaniem. Wysie z ciebie całą energię, zobaczysz. Ale wcale nie musisz go słuchać ani niańczyć, jest dorosły. Wyrzuć go i nie czuj żadnych wyrzutów sumienia.

Po zakończeniu rozmowy Lucy spojrzała na zegarek. Prawie północ. Uświadomiła sobie, że nie powiedziała nikomu o swoim awansie - po prostu nie miała szansy! Machnęła na to ręką i poszła się położyć, a czuła się tak zmęczona, że po raz pierwszy w życiu nie wyczyściła zębów nitką. Właśnie zasypiała, gdy do jej pokoju zajrzał ojciec.

- Śpisz?
- Prawie. - Usiadła na łóżku. - Coś nie tak?
- Masz może coś do jedzenia? Oczywiście nie chcę ci sprawiać kłopotu, po prostu powiedz, gdzie co jest i idź spać.
- Zajrzyj do lodówki - poradziła. - Obok niej na blacie znajdziesz czekoladę, ciastka i banany.
- A nie masz może lodów pistacjowych?
- Nie.

- Twoja matka zawsze trzyma lody pistacjowe w lodówce.

- Tato, jeśli myślisz, że pójde w środku nocy szukać dla ciebie lodów pistacjowych...

- Nie, córeczko, nawet mi to do głowy nie przyszło! Nigdy bym nie śmiał prosić cię o coś podobnego!

- To dobrze, bo rano muszę wstać do pracy. Jutro jest bardzo ważny dzień. Potrzebuję się wyspać.

- Ja też. Ale chyba przez parę dni nie pójde do pracy. Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło, w tej sytuacji jednak... Nie powinienem operować, czuję się taki rozbity. Pewnie dlatego nie mogę przestać myśleć o lodach pistacjowych. To głupie, wiem. Naprawdę wiem...

Lucy nie dziwiła się. Tata rzeczywiście miał za sobą ciężkie przejścia, bał się, że Eva tym razem mówiła serio i zaczął panikować. Prawdopodobnie nie przeżyłby, gdyby się rozwiedli. Nie, nawet nie z rozpaczy. Genialny na sali operacyjnej, był absolutnie bezradny w codziennym życiu.

Wstała więc i poszła poszukać dla niego tych lodów.

Kiedy o drugiej w nocy runęła na łóżko, zdążyła jeszcze zdumieć się tym zwariowanym dniem. Tyle rzeczy się wydarzyło - i wspaniałych,

i męczących. Aż prawie nie miała czasu myśleć o Nicku Bernardzie.

To postęp, pomyślała. Prawdziwy postęp.

Przez to jednak, że poświęciła mu tę jedną, ostatnią myśl, śniła o nim przez calutką noc. To znaczy, przez tę jej część, którą zdołała przespać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nick chętnie przeszedłby się do laboratoriów, lecz w południe miał samolot i nie chciał wsiąść do niego w obślinionym i oblepionym psią sierścią garniturze, wsiadł więc do swojego lotusa, przejechał ten kawałek, lecz niewiele mu to pomogło, gdyż obie suki popędziły za samochodem jak szalone.

- A ja myślałem, że was przechytrzę. Głupio myślałem, co? - spytał z rezygnacją, kiedy otworzył drzwi, a dwie szalejące z radości wariatki rzuciły się na swego pana, by okazać mu uczucie.

Baby skoczyła mu mokrymi łapami na spodnie i lizała go po rękach, Bubu, wcielona diablina, próbowała wepchnąć się do wozu, gdzie niechybnie podrapałaby pazurami skórzane siedzenia. Gdy jej się to nie udało, też przejechała mu

jęzorem po dłoniach, a potem odbiegła z rękawiczką Nicka w zębach.

Nick spojrział na swoje zaplamione spodnie.

- Kobiety! - mruknął wymownym tonem.

Oczywiście nie zamierzał obrażać całego żeńskiego rodzaju, zwłaszcza tej części, która żyła w psiej skórze. Co innego jednak gdy chodziło o ludzkie samice...

Rano zadzwoniła Linnie, a on do tej pory miał ciężki niesmak po tej rozmowie. Kiedy się poznali, dałby głowę, że trafił na babkę, o jakiej marzy każdy facet. Sama na siebie zarabiała. Nie miała żadnych zasad ani żadnych zahamowań. I w łóżku, i w życiu chętnie próbowała wszystkiego. Była kompletnie nieprzewidywalna. Kiedy wybierali się na przyjęcie, nigdy nie wiedział, co ona na siebie włoży, a czego nie włoży, co zakryje, a czego nie...

To był zupełnie zwariowany romans, który Nick musiał w pewnym momencie zakończyć. Ani przez moment nie przypuszczał, że ona się tym przejmie, przecież tylko dobrze się razem bawili, nic ich poza tym nie łączyło. Linnie miała też w tym czasie innych facetów, co Nickowi nie przeszkadzało, gdyż zazdrość o nią byłaby po prostu śmieszna. Przestał się z nią widywać wyłącznie z braku czasu. Był zapracowanym człowiekiem i naprawdę nie mógł sobie pozwolić

na nieustanne balowanie i bieganie po imprezach, na branie wolnego, gdy tylko naszedł ją taki kaprys. Zapropozował, by pozostali przyjaciółmi, co wydawało mu się uczciwym wyjściem, nie był jednak przygotowany na reakcję, jaka nastąpiła.

Linnie urządziła mu straszliwą scenę, w dodatku nie poprzestała na tym i od czasu do czasu wydzwaniała do Nicka, korzystając z jego obietnicy przyjaźni i domagając się spotkań, choćby pod pozorem towarzyszenia jej na jakimś przyjęciu, na którym nie chciała pokazywać się bez partnera. Tego ranka znów potrzebowała jego eskorty, lecz musiał odmówić, gdyż naprawdę nie miał czasu, w odpowiedzi na co zrobiła histeryczną awanturę.

Przez całe życie - to znaczy, od przedszkola - kobiety uganiały się za nim, więc był przyzwyczajony. Ba, lubił to. I dopiero ostatnio zaczął się czuć z tym nie najlepiej i rozumieć, że to chyba do niczego nie prowadzi...

- Nie, nie możecie iść ze mną do szklarni - oświadczył stanowczo psom, które pobiegły za nim do drzwi, machając ogonami. Wiedziały, że tam jest Lucy.

Wolałby uniknąć tego spotkania, miał już dość kłopotów z kobietami jak na jeden dzień. Niestety, trzeba było pilnie omówić wiele spraw związanych z nowym projektem, w końcu to

Nickowi przypadło nadzorowanie jej poczynañ i współpraca z nią - przynajmniej dopóki nie znajdzie kogoś innego, kto go zastąpi w tej roli.

W ogóle najchętniej obchodziliby Lucy szerokim łukiem, ponieważ czuł się wobec niej winien od tamtego wieczoru, który miał miejsce niecałe dwa miesiące wcześniej, kiedy to zadzwoniła do niego z elektryzującą wieścią o sukcesie eksperymentu. Właśnie wtedy przyszło mu doświadczyć, do jakiego stopnia była w nim zadurzona... Od tamtej pory reagowała na jego obecność tak nerwowo, że już chyba całe otoczenie zdążyło to zauważyć.

To wszystko jego wina. Nie miało znaczenia, co zrobiła Lucy - on, jako starszy i daleko bardziej doświadczony, ponosił całą odpowiedzialność. Przez tych kilka tygodni uważał na każde słowo, gest i spojrzenie, lecz nic nie pomagało, ona wciąż peszyła się i traciła rezon na sam jego widok. Pozostawało mu jedynie żywić nadzieję, że gdy zaczną ze sobą współpracować, ich stosunki unormują się jakoś.

Starając się myśleć optymistycznie, wszedł do biurowca. O tak wczesnej porze jeszcze prawie nikogo w nim nie było, lecz Lucy zawsze zjawiała się pierwsza, więc musiała już przyjść do pracy. Minał puste biura, zajrzał do jej pokoju, lecz nie zastał nikogo. Nim zdążył się zdziwić, usłyszał

znajomy głos dobiegający z kuchni, więc ruszył w tamtym kierunku. Lucy akurat skończyła mówić i odezwała się Reiko:

- Powinnaś iść do domu i odpocząć. Przecież ty jesteś wykończona!

- Kiedy w domu nie mam najmniejszej szansy odpocząć! On nie poszedł do pracy, więc gdybym wróciła, zaczęłoby się na nowo.

Nick zatrzymał się przy samych drzwiach kuchni. Oczywiście nie chciał podsłuchiwać, ale również nie chciał przerywać tej bardzo osobistej rozmowy. Lucy ewidentnie miała poważny problem, a Reiko starała się jej doradzić. Nick poczuł się dziwnie. Serce ścisnęło mu się na myśl, że u Lucy mieszka jakiś mężczyzna, do którego ona boi się wracać i przez którego jest wykończona. Pewnie nie dał jej zasnąć przez całą noc...

- A może nie powiedział ci całej prawdy? - zagadnęła Reiko. - Może ma romans?

- On? To niemożliwe. - W głosie Lucy brzmiało straszliwe znużenie. - Nawet sobie nie wyobrażasz, co to znaczy żyć z nim pod jednym dachem. Co godzinę przychodził do mojej sypialni i za każdym razem domagał się czego innego.

- Nie możesz harować od świtu do nocy, a potem od wieczora do rana skakać dookoła niego, bo długo tak nie pociągniesz.

- Wiem, ale co miałam zrobić? Przecież nie

mogłam go wyrzucić za drzwi, on nie ma gdzie się podziąć. W dodatku nie wiem, czy powinnam starać się im jakoś pomóc, czy trzymać się z dala od ich problemów.

- Mieszkałaś z nimi bardzo długo. - Tonacja głosu Reiko, jego melodyjność i łagodność, a jednocześnie wewnętrzna siła, zdradzały japońskie pochodzenie. - W kraju mojego ojca dorosłe dzieci mają obowiązek troszczyć się o rodziców i angażować się w problemy całej rodziny, ale my żyjemy w Ameryce. Tu każdy jest odpowiedzialny sam za siebie, a małżeństwo nie może wciągać nikogo w swoje spory.

- Teoretycznie tak. Niestety, odkąd się wprowadziłam, tam są ciągle awantury.

— To nie twoja wina, tylko ich.

— W porządku, ale co ja mam zrobić teraz? Wyrzuciłabyś za drzwi własnego ojca?

Dopiero w tym momencie Nick, coraz bardziej zdumiony tą rozmową, wszystko zrozumiał. Mówiła o ojcu, a nie o kochanku! Nie mieszkał więc u niej żaden mężczyzna, który po nocy wykańczał ją swymi nieustannymi erotycznymi żądaniem... Odetchnął z ulgą, starając się uspokoić. Serce biło mu dziwnie szybko i mocno, musiało mu nieźle skoczyć ciśnienie. Tylko czemu miałyby się tak przejąć sprawą, która go zupełnie nie dotyczyła? Reiko spostrzegła go.

- O, pan Nick! Dzień dobry.

Lucy odwróciła się gwałtownie, na jej policzkach błyskawicznie wykwitły rumieńce, kubek z kawą wyleciał jej z rąk i roztrzaskał się u stóp. Kawa rozchlapała się na wszystkie strony.

Obie kobiety krzyknęły i rzuciły się po papierowe ręczniki, tymczasem Nick zbierał skorupy.

- Proszę zostawić, jeszcze się pan pokaleczy!

- Nie, ja posprzątam, bo to moja wina, zaskoczyłem was.

Wyrzucił resztki kubka do śmieci, Reiko i Lucy wytarły podłogę i wreszcie zapanował spokój.

- Wybacz, Lucy, że przyszedłem tak wcześnie, ale chciałem cię prosić o kilka minut rozmowy.

W rzeczywistości potrzebował dużo więcej czasu na omówienie wszystkiego, ocenił jednak, że najlepiej sprawdzi się metoda małych kroków. Jeśli zaczną od krótkiej i rzeczowej rozmowy, to następne spotkania powinny pójść bardziej gładko.

- Oczywiście, jestem do twojej dyspozycji. Możemy porozmawiać w drodze do szklarni?

Chętnie przystał na ten pomysł, lecz nie tylko dlatego, że swobodniej się z nią rozmawiało, idąc, niż siedząc razem w jej małym pokoju. W drodze do oranżerii musieli przejść przez laboratorium, gdzie istniała szansa na uszczknięcie kawałka

czekolady, upicie trochę kakao czy po prostu wsadzenie palca w jakąś słodką masę, nad którą aktualnie pracowano. I zrobiłby to, gdyby nie dostał po łapach.

- Nie dotykaj! - zbeształa go Lucy.
- O ile się nie mylę, jestem właścicielem.
- Tak, ale zupełnie nie zdajesz sobie sprawy, że dotykanie tu czegokolwiek może wpłynąć na końcowy rezultat badań. Nie bez powodu pracujemy w laboratoryjnych warunkach.

Spostrzegła, jak on łakomie zerka w kierunku tacy z prażynkami kakaowymi i zdecydowanie pociągnęła go ku wyjściu.

- W porządku, jesteś szefem, ale brak ci tego wyczucia, które ma twój dziadek. On rozumie. On ma intuicję. Ty nie. Hej! -zawołała ostrzegawczo i ponownie trzepnęła go po palcach, gdy ukradkiem próbował ściągnąć coś z ostatniej tacy, którą mijali.

- No, no! - zaprotestował urażonym głosem, chociaż wcale się nie gniewał. Przeciwnie, całkiem nieźle się bawił.

Zawsze tak było - Lucy głupiała w jego obecności, gdy znajdowali się w biurze czy w domu Bernardów, lecz w bliskości ukochanej szklarni, gdzie przeprowadzała te swoje eksperymenty, natychmiast odzyskiwała pewność siebie i zaczynała zachowywać się tak, jakby to

ona była szefem. Wyglądało to jak przemiana potulnego Kopciuszka we władczą księżniczkę z klasą.

Doszli pod oranżerię, nad której wejściem widniał napis Niebiańska Rozkosz, Lucy wybrała kod i gestem zaprosiła Nicka, by wszedł pierwszy. Ewidentnie czuła się tu gospodarzem, traktując go jak gościa.

- Twój talent do prowadzenia interesów jest bezdyskusyjny - ciągnęła. - Słyszałam wielokrotnie od twójego dziadka, że rozwój firmy nabrał ogromnego tempa dzięki twoim pomysłom marketingowym. Ale robotę, przy której trzeba ubrudzić ręce, zostaw innym.

- Mówiąc krótko, mam nie wsadzać palców do czekolady, tak?

- Tak.

- Wiesz, czuję się trochę urażony twoim brakiem wiary we mnie. Nie boję się ciężkiej roboty i nie boję się pobrudzić. Jako dziecko uwielbiałem grzebać się w błocie.

- Bardzo mnie to cieszy, lecz w niczym nie zmienia faktu, że zupełnie nie rozumiesz istoty tego, jak my tu pracujemy. Cały proces wymaga ogromnej uwagi, nieustannego kontrolowania wszystkich parametrów, chirurgicznej precyzji. Tu trzeba być pedantem i perfekcjonistą, a jednocześnie mieć intuicję i wiedzieć, kiedy

zaryzykować i narobić bałaganu. Dlatego tak trudno stworzyć dobrą czekoladę.

Z jednej strony bawiło go, że nabrała już dość tupetu, by wygłaszać mu kazania na temat produkcji czekolady, z drugiej zdołała go zaintrygować. Zawsze miała zupełnie odmienne podejście do spraw niż on, co oznaczało, że w kółko czegoś się od niej dowiadywał.

- Jak się ma bałagan do robienia czekolady?

- Może nie tyle chodzi o bycie bałaganiarskim, co o nieustanne odstępowanie od reguł. Widzisz, tu nie można postępować ściśle według przepisu, licząc na to, że dzięki temu wszystko się idealnie uda. Właśnie nie! Każdy rodzaj kakao jest inny, zbiory z każdego roku też trochę różnią się od pozostałych, choćby nie wiadomo jak precyzyjnie kontrolować warunki, w których żyją rośliny. Dlatego też trzeba być elastycznym, jeśli chce się za każdym razem wyprodukować jak najlepszą czekoladę. Trzeba nie tylko precyzyjnie odmierzać i mieszać, trzeba też być wrażliwym na zapach, smak, konsystencję...

- Ach, nareszcie rozumiem! Po prostu trzeba być bardzo zmysłowym. Tak jak ty.

Aż otworzyła usta.

- Nie to miałam na myśli. I wcale nie jestem zmysłowa.

- Akurat - mruknął.

Wspomnienie Nocy Czekolady spadło na nich jak grom z jasnego nieba. Lucy zamarła, jej oczy przybrały dziwny wyraz. Nick uświadomił sobie, że znajdują się zupełnie sami za zamkniętymi drzwiami szklarni, osłonięci ze wszystkich stron zieloną dżunglą bujnych kakaowców. Miał ochotę kopnąć samego siebie za to, co mu się tak nieostrożnie wyrwało. A już tak dobrze szło! Lucy zaczęła zachowywać się naturalnie, co go szczerze cieszyło, tymczasem on musiał wszystko zepsuć! Postanowił czym prędzej zmienić temat, odwracając jej uwagę od tamtej nocy.

- Nie mam dużo czasu, a musimy omówić kilka spraw, skoro mamy współpracować.

- Wiem, jesteś na mnie skazany. Twój dzia-
dek mnie uprzedził.

- Wcale nie czuję się skazany - zaoponował, podążając za nią, gdyż Lucy, odzyskawszy zdolność ruchu po chwilowym paraliżu, zaczęła krzątać się po oranżerii, sprawdzając temperaturę, poziomy wilgotności i licho wie, co jeszcze na rozmaitych urządzeniach, znajdujących się w wielu miejscach. - W tej chwili nie musimy oczywiście ustalać drobiazgowo wszystkich szczegółów, ale obgadajmy najważniejsze rzeczy. Zajmę się znalezieniem ekipy, która zbuduje nowe szklarnie, będziesz musiała się jednak zastanowić, czy mają być dokładnie takie same

jak ta, czy może chcesz wprowadzić jakieś zmiany. Ile laboratoriów ma się przy nich znajdować? To są podstawy, musisz zaplanować je jak najszybciej.

- Żaden problem, mam już wszystko w głowie, mogę ci dostarczyć plany choćby jutro. Teraz porozmawiajmy o czymś ważniejszym.

- Czyli?
 - O drzewach.
 - To znaczy?
 - O kosztach. Jakim budżetem dysponuję?
 - Słyszałem wielokrotnie od mojego dziadka, że jesteś niezwykle twórcza i masz wyjątkową intuicję. Ale robotę, przy której trzeba myśleć o pieniądzech, zostaw innym - sparafrazował jej własne słowa. - Wypisz w punktach, czego potrzebujesz i ile, a budżetem zajmę się ja.

W trakcie rozmowy przyciągnęła skądś wąż ogrodnicy, ostrożnie podlała jedną z roślin.

- Czy ty mnie przypadkiem nie obrażasz?
 - Nie przypadkiem - skorygował. - Ty i mój dziadek dobraliście się jak w korcu maku. Para wizjonerów o mało realistycznym podejściu do kwestii finansowych.

- Dzięki za porównanie mnie z twoim dziadkiem. On jest wspaniały.

- Mówi to samo o tobie. Wracając jednak do kwestii drzew...

- Powinam jak najszybciej zamówić sadzonki kakaowców, bo trochę czasu minie, nim uda mi się sprowadzić z Ameryki Południowej i Afryki wszystko, czego potrzebuję. Gdyby szklarnie miały być gotowe, powiedzmy, za trzy miesiące, muszę się spieszyć.

- Będą gotowe, zamawiaj, co chcesz.

Podlała kolejne drzewo, spojrzała na Nicka, a on pomyślał, że tego dnia jej orzechowe oczy, chociaż zdradzały oznaki zmęczenia i nieprzespanej nocy, wydawały się wyjątkowo złote. Piękne kocie oczy. Czasem spokojne, czasem figlarne, czasem zagadkowe. Niewinność i zmysłowość zazwyczaj nie szły w parze, jednak w przypadku Lucy...

- Halo, Nick, jesteś tu?

- Przepraszam, mówiłaś coś?

- Pytałam, czy wiesz, jak udało się stworzyć Niebiańską Rozkosz?

Oho, zaczynała się wymądrzać - jak zwykle, gdy była zdenerwowana. Ale co on znowu takiego zrobił, że wyprowadził ją z równowagi?

- Lucy, zmiłuj się, co to za pytanie? Znam się na produkcji czekolady, odkąd wyrosłem z pieluch. To oczywiste.

- Tak, ale pewnie znasz proces produkcji przebiegający od początku obróbki ziaren kakao-wca do uzyskania gotowych produktów. Czy

wiesz jednak, skąd bierze się odpowiedni surowiec? Odpowiedz.

- Mam podstawową wiedzę w tym zakresie. Znam odmiany kakaowców, których używamy, wiem, skąd je sprowadzamy i ile kosztują.

Lucy nagle podała mu trochę ubrudzony ziemią wąż, z którego kapała woda, a sama zanurkowała pod jedno z drzew, niemal zupełnie kryjąc się w gęstwinie liści.

- W takim razie muszę ci wyłożyć, w czym rzecz. Otóż doskonała jakość naszych czekolad zależy nie tylko od jakości ziaren, staranności przeprowadzania wszystkich procesów i precyzji, z jaką odmierzamy czas trwania kolejnych etapów obróbki, chociaż to wszystko jest niezmiernie ważne. Chodzi jednak o to, by wynaleźć unikalną kompozycję ziaren, która da równie unikalny smak czekolady. Właśnie takie poszukiwania są najbardziej fascynujące ze wszystkiego... - Nie przestając mówić, wyszła spod drzewa, jedynie po to, by zniknąć pod następnym.

- Czy moglibyśmy wrócić do tematu?

- Kiedy ja cały czas mówię na temat. Potrzymaj, dobrze? - Podała mu owoc kakaowca, czerwony, więc dojrzały.

Wziął go odruchowo, chociaż trzymanie szlauthów i dojrzałych owoców mogło się źle skończyć dla wyglądu jego ubrania, w którym zamie-

rzał stawić się na spotkanie biznesowe. Mokra plama po psich łapach szczęśliwie zdażyły już wyschnąć, nie zostawiając śladu na ciemnych spodniach, gdyż był to jedynie śnieg. Błoto i sok to jednak zupełnie co innego.

- Lucy... - zaczął, lecz równie dobrze mógłby mówić do ściany.

- Widzisz, wszystkie fazy produkcji, począwszy od wyboru odmian kakaowca, są jak części jednej wielkiej układanki. Poszczególne elementy muszą idealnie pasować do pozostałych, by powstało coś naprawdę niezwykłego. Każdy potrafi wyprodukować czekoladę, która będzie słodka i całkiem smaczna, ale nam tutaj nie o to chodzi.

Skreśliła w sąsiednią alejkę i znowu znikła wśród zieleni. Podążył za nią z rezygnacją, wiedząc, że skoro wsiadła na swego ukochanego konika, to nie ustanie, póki nie zajeździ go na śmierć. Prościej było dać jej się wygadać, a potem szybko ustalić tych kilka ważnych rzeczy, z którymi tu przyszedł. Lot miał o 11.45, zdaży. Sęk w tym, że przeznaczył sobie na rozmowę z Lucy dwadzieścia minut, tymczasem zanosilo się na trzy razy tyle.

Najgorsze było to, że nie umiała przestać pracować, by poważnie porozmawiać o projekcie wartym miliony. Biegała tu i tam, schylała się,

wspinała na palce, odkręcała wodę, zakręcała, usuwała uschłe liście, zrywała dojrzewające owoce i układała je w stosik na brzegu alejki.

- Mistrzowie mają swoje sekrety, których nikt inny nie zna, i konkurują z innymi mistrzami. Ale ci najlepsi, w tym my, idą łeb w łeb i nikt się nie wysforuje naprzód, jeśli nie zdoła wprowadzić jakiejś rewolucyjnej innowacji.

Ziewnęła głośno, lecz nie zwróciła uwagi na tę aluzję.

- Nasza eksperymentalna technologia hodowania kakaowców będzie oczywiście przełomem, ale potrzebujemy czegoś jeszcze...

Jej głos dobiegał go trochę niewyraźnie, ponieważ znów siedziała wśród liści, tym razem nawet wspięła się na jakiś konar. Naraz spomiędzy gałęzi wynurzyło się ramię, podając mu kolejny szlauch. Gdy Nick go od niej nie odebrał, wyjrzała spomiędzy kakaowców, a na jej twarzy malowała się niecierpliwość. Pokazał jej, że ma już obie ręce zajęte.

- Dobra, węże nie są takie ważne, tamten właściwie możesz odłożyć. Ale koniecznie trzymaj ten owoc, nie chcę, żeby mi się pomieszał z innymi.

Zeskoczyła z drzewa - brudna jak nieboskie stworzenie, uśmiechnięta, pełna energii. W rękach miała kolejne dwa dojrzałe owoce.

- Otóż należy wyhodować ziarna o wyjątkowych walorach, by mieszanki smakowały równie wyjątkowo...

Położyła owoce przy pozostałych i znów gdzieś znikła, cały czas z przejęciem opowiadając o tych swoich ukochanych roślinach, na punkcie których miała absolutnego bzika. Nick tymczasem zawrócił w kierunku wejścia, gdzie zawsze znajdował się termos świeżej kawy i dwa czy trzy kubki. Wiedział, że Lucy nawet nie zauważy jego nieobecności, pochłonięta pielęgnacją kakaowców, zbieraniem owoców i gadaniem na najbardziej pasjonujący temat na świecie. Oczywiście najbardziej pasjonujący dla niej.

Z dvojga złęgo wolał ją taką, niż peszącą się na sam jego widok, ale z drugiej strony czuł się cokolwiek urażony w swojej dumie. Kobiety za nim szalały. Jej też się podobał - ale nie wtedy, gdy znajdowała się w pobliżu szklarni! W oczach tej zdumiewającej kobiety żaden mężczyzna nie był choćby w połowie tak ekscytujący jak pierwszy lepszy kakaowiec.

Wrócił w okolicę, gdzie mniej więcej musiała się znajdować, gdyż z gęstwiny dość wyraźnie dobiegał jej głos:

- ...dlatego nie tylko udoskonalamy ziarna poszczególnych gatunków, lecz próbujemy uzyskać zupełnie nowe gatunki kakaowca, krzyżując

drzewo z Trynidadu z drzewem z Jamajki, żeniąc delikatną odmianę z Ekwadoru z potężną i mocną z Wenezueli. Jeśli więc mam zapełnić sadzonkami pięć czy sześć nowych oranżerii, to muszę już zacząć składać zamówienia w różnych miejscach świata. Niektóre z eksperymentów trzeba będzie powtórzyć, ponieważ... - Zamilkła nagle.

Nick nie wierzył własnym uszom. Lucy, gdy już zaczęła rozprawiać o czekoladzie, nigdy nie przerywała, nim nie dojechała do końca. Wokół mogłyby walić pioruny i szaleć tornada, a ona nawet by tego nie zauważyła. Zaniepokoił się.

- Gdzie jesteś? Co się stało?

Kiedy nie uzyskał odpowiedzi, postawił kubek na ziemi, obok niego położył ten bezcenny owoc, którym miał się opiekować i wbiegł w sąsiednią alejkę. Nikogo. W następnej to samo. I w następnej też pusto.

- Gdzie jesteś? - krzyknął głośniej.

Już miał naprawdę zdenerwować się na nią za to, że nawet nie raczy się odezwać, gdy nagle ją zauważył. Opierała się o stolik, na którym stał termos z kawą i, zielona na twarzy, trzymała się oburacz za żołądek.

- Co ci jest? Niedobrze ci?

Przełknęła z trudem.

- Nie, nic mi nie jest. To zmęczenie... - Naraz przełknęła głośniej, runęła ku wyjściu, drżącymi

palcami wystukała numer kodu, wypadła na zewnątrz. Zdumiony Nick, niewiele myśląc, popędził za nią.

Wbiegła do toalety, a ponieważ nie zamknęła za sobą drzwi, widział, jak pochyła się nad umywalką i wymiotuje. Normalnie na taki widok odwróciłby się na pięcie i tyle by go widziano, ale tym razem aż wryło go w podłogę. Nie wierzył własnym oczom. Lucy wyglądała jak kruszynka, lecz zawsze harowała jak wół. Miała niespożyte ilości energii, nigdy nie chorowała, ani razu nie wzięła dnia wolnego, zarażała optymizmem nawet niemniej entuzjastycznie nastawionych współpracowników. Chyba jeszcze nikt jej nie widział w podobnie opłakanym stanie, w jakim właśnie ujrzął ją Nick.

- Co się dzieje? Zatrzymałaś się czymś? Może złapałaś grype?

- Nick, zostaw mnie. Idź sobie.

On jednak nie mógł jej tak zostawić. Skończyła już wymiotować, obmywała twarz zimną wodą i płukała usta, opierając się przy tym ciężko o umywalkę, jakby ledwo stała na nogach.

- Pierwszy raz ci się to zdarza?

- Nie, mam z tym kłopot od tygodnia z kawałkiem. Myślałam, żeby iść do lekarza, ale mi głupio, bo poza tym, że czasem mi niedobrze, czuję się świetnie. W dodatku mój ojciec jest

lekarzem i wszyscy przyjaciele rodziny też, więc pewnie od razu by się dowiedzieli, gdybym umówiła się do kogoś na wizytę, a wtedy rodzice natychmiast zaczęliby się o mnie niepokoić wydzwanianć, wypytywać i generalnie wsadzać nos w moje życie. Wcale mi się to nie uśmiecha

- Czyli praktycznie już drugi tydzień łapia cię torsje, a ty wciąż nie byłaś u lekarza i codziennie przychodzisz do pracy? - Wzniósł oczy ku górze. Kobiety! - Zajmę się tym.

- To znaczy, czym?

Sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy.

- Tobą - warknął z irytacją.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ponieważ Lucy dorastała wśród lekarzy, nie traktowała ich nigdy z nabożnym podziwem, a ich słowa nie miały dla niej rangi wyroczni. W dodatku z łatwością odróżniała prawdziwego specjalistę od zwykłego łapiducha, który parał się medycyną, nie mając do tego powołania. Doktor Jargowski był przesympatycznym człowiekiem o łagodnym wejrzeniu, ujmującym poczuciu humoru i wprost nieprzebranych pokładach cierpliwości. Niestety, był też z niego najzwyczajniejszy konował, sądząc po postawionej diagnozie.

- Co też pan opowiada? - ofuknęła go Lucy.

- To niemożliwe.

- A jednak. Jest pani w ciąży.

Lucy zasłoniła się papierowym kitlem i zesza

z fotela, w duchu przeklinając Nicka, który zmusił ją do tej nikomu niepotrzebnej wizyty.

- Pan nie rozumie. To na pewno wrzody żołądka. Bardzo dużo pracuję i chociaż Kocham moją pracę, ponoszę ogromną odpowiedzialność, a to jest stresujące. W dodatku jestem perfekcjonistką, nieustannie martwię się o każdy szczegół. Idealny materiał na wrzodowca.

- Pewnie to panią zdziwi, ba, może nawet mi pani nie uwierzy, ale zazwyczaj to ja stawiam diagnozę, a nie pacjent - skwitował z humorem i dał znak pielęgniarce, że może już wyjść z gabinetu, skoro intymna część badania dobiegła końca.

- Ale nie każda diagnoza musi być trafna - upierała się Lucy. - A jeśli to na przykład przepuklina? Albo mięśniak żołądka?

- Przewód pokarmowy nie ma nic wspólnego z pani dolegliwościami.

- Czy pan mnie w ogóle nie słucha? Od dwóch lat nie mam stałego partnera. Owszem, umawiam się czasem na randki, ale ja nie... no, wie pan. - Wykonała sugestywny gest.

- Rozumiem. Ale nawet jeśli pani nie... no, wie pani... - powtórzył jej gest - ...to musiała pani co najmniej raz. Jakies siedem, osiem tygodni temu.

Mężczyźni! Lucy wyszła z gabinetu tak wściekła, że gdy okazało się, że zrobiło się już ciemno,

a do tego zaczęło mżyć i śnieg zaczął powoli topnieć, zmieniając się w ohydny breję, też zwałała to na mężczyzn. Wszystko ich wina, wszystko, wszystko!

Wsiadła do samochodu, włączyła silnik, zaraz potem ogrzewanie i dmuchawę, by odmrozić przednią szybę. Sięgnęła do schowka, wyciągnęła pudełko pysznych truflí czekoladowych Bernarda i zjadła aż trzy, lecz i to nie pomogło. Jechała do domu, pochlipując i mówiąc do siebie histerycznie przez całą drogę. Nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Nie miałyby zresztą odwagi. Wstydziła się samej sobie spojrzeć w oczy w lusterku. Jak dwudziestoosmioletnia kobieta mogła tak głupio wpaść? I to kobieta, która miała się za nadzwyczaj odpowiedzialną?

Doktor Jargowski wcale nie musiał być durnym konowalem, który nie znał się na rzeczy. Lucy faktycznie w Noc Czekolady dopuściła się czegoś, czego zupełnie nie planowała...

Wszystko przez czekoladę. Tamtego wieczoru po raz pierwszy spróbowała Niebiańskiej Rozkoszy i od razu zdała sobie sprawę z tego, że w tej nowej odmianie ziaren musiało być coś specjalnego, jakiś dodatkowy związek chemiczny. Teraz domyślała się, że musiał też mieć całkiem mocne działanie. I chyba nie był do końca bezpieczny. Jak inaczej wytłumaczyć

nagłą przemianę rozsądnej i dość nieśmiałej kobiety w - co tu kryć - rozszałą nimfomankę?

Jęknęła głośno, kiedy pogrzebane w niepamięci wspomnienie zaczęło się przebijać do jej świadomości. Całe jej życie miało się teraz bezpowrotnie zawalić, bo nie było żadnego sposobu, by odbudować je w poprzednim kształcie.

- Boże, oby lekarz się jednak pomylił - wyszeptwała żarliwie. - Niech to będą wrzody. Albo nawet jakiś guz. Wszystko, tylko nie ciąża. To przecież niesprawiedliwe, wiesz o tym. Nie powinno się kogoś aż tak karać za popełnienie jednego grzechu. Czy po świecie nie chodzą więksi grzesznicy ode mnie? Czy to im nie możesz dać nauczki?

Nim dojechała do domu, zapas trufli znikł bez śladu, lecz mina Lucy stawała się coraz bardziej ponura. Zrobiło się zupełnie ciemno, jeszcze zimniej i - co gorsza - ślisko, gdyż mżawka zamarzała na szosie. Lucy z całej siły zaciskała palce na kierownicy, starając się nie wpaść w poślizg. Marzyła już tylko o tym, by wreszcie wrócić do domu, wyciągnąć się wygodnie na kanapie i odpocząć. Zapomniała jednak, że chwilowo nie mieszka sama...

Ledwie otworzyła drzwi, usłyszała włączony telewizor. Wszędzie paliły się światła. Na trzech zestawionych razem drewnianych skrzynkach,

starannie pomalowanych na biało i używanych przez Lucy w charakterze stolika do kawy, wałały się jakieś gazety i magazyny oraz rozsypane drobne monety, wśród których stały trzy brudne szklanki.

- Tato?

- A, jesteś! - ucieszył się, wyłaniając się z kuchni. Każdy włos sterczał mu w inną stronę, widać Luther zapodział gdzieś grzebień. W swoim szpitalu uchodził za wyrocznię, na Akademii Medycznej w Harvardzie, gdzie wykładał, studenci chłonęli każde jego słowo, lecz pozbawiony kobiecej opieki natychmiast zmieniał się w kompletną sierotę. - Już się o ciebie niepokoiłem. I zgłódniałem.

Lucy ściągnęła kurtkę.

- Zgłódniałeś? Przecież...

- Wszystko jedno, co zrobisz, naprawdę. Wiesz, że nie jestem wybredny i nie chcę ci sprawiać kłopotu. Cokolwiek, naprawdę. Mam nadzieję, że normalnie nie wracasz do domu aż tak późno. Nie uwierzysz, jaki miałem ciężki dzień. Naprawdę straszny...

Objęła go, pełna współczucia.

- Rozmawiałeś z mamą?

Zrobił tak żalostną minę, jakby miał się rozpłakać, więc czym prędzej zmieniła temat.

- Chodź, pójdziemy do kuchni i zajmiemy się

kolacją. Ja w ciągu tygodnia zazwyczaj nie gotuję, ale zobaczymy, co da się zrobić.

- Ale w kuchni jest okropny bałagan...

Zauważyła to od razu. Ponieważ była to jej własna kuchnia, w której mogła robić, co jej się żywnie podobało bez konieczności wysłuchiwania żartów na temat swojej pedanterii, utrzymywała w niej idealny porządek. Błaty szafek i zlewozmywak zawsze lśniły czystością. Nie tego dnia jednak. Tata chyba próbował przyrządzić sobie jakiś lunch, bowiem na dzień najlepszego rondla Lucy została przypalona, zaschnięta skorupa stopionego żółtego sera, a blat przypominał pobojuwisko.

. - Odwołałem wszystkie operacje w ciągu najbliższego tygodnia, ale w końcu będę musiał wrócić do pracy. Nie mam pojęcia, gdzie się podziąć. Stąd do szpitala jest trochę daleko. Do domu wrócić nie mogę. Jak ja mam żyć?

- Jakoś się ułoży, zobaczysz... - zapewniła, nałapała do rondla płynu do zmywania, pogłaskała ojca po ramieniu, wyskoczyła na zewnątrz, wybrała pocztę ze skrzynki, wróciła, nastawiła wodę na herbatę, otworzyła lodówkę.

- Mogę zrobić makaron z mozzarellą i pieczarkami, posypać go szczypiorkiem... Albo lasagne i sałatkę...

- A nie mogłabyś zrobić takich kotletów jak

twoja matka? Jeśli to nie jest za duży problem, oczywiście. - Opadł bezsilnie na stołek, ukrył twarz w dłoniach. - Zawsze byłem jej wierny, wiesz o tym. Dla mnie to jedyna kobieta na świecie. Ubóstwiam ją. Co ja takiego zrobiłem?

- Już dobrze, tato. Zrobię kotlety.

- Lucy, ona powiedziała, że mnie już nie kocha!

- Och, tato...

- I że nie będzie dłużej moją służącą i opiekunką. I że nie wiem, gdzie mam buty, gdzie mam portfel i gdzie mam głowę! Rzeczywiście już nie wiem, gdzie mam głowę, Lucy. Co ja teraz pocznę?

Dała mu sałatkę do umycia, potem zaparzyła mu herbatę, a sama zajęła się robieniem kotletów. Trudno, widać jej problemy musiały poczekać. Gotowała, sprzątała, słuchała monologu ojca, próbowała zrobić ten projekt zmodyfikowanej szklarni, który obiecała Nickowi, a do tego w kółko odbierała telefony, bo oczywiście cała masa osób miała do niej jakieś nie cierpiące zwłoki sprawy.

Przed dziewiątą ktoś zapukał do tylnych drzwi. Kiedy wyszła na werandę, zastała tam Russella, swego dziesiętnastoletniego kuzyna o urodzie modela, chłopcym wdzięku i ujmująco nieśmiałym uśmiechu. Zawsze przepadał za Lucy,

podziwiał ją, chętnie jej się zwierzał, a gdy wyprowadziła się od rodziców, by zamieszkać u siebie, odwiedzał ją regularnie.

Uściskała go serdecznie, mówiąc przy tym ściszym głosem:

- Miło cię widzieć, jednak przecież mogłeś opowiedzieć mi wszystko przez telefon, zamiast przyjeżdżać z Mankato, by zamienić parę słów.

- Trudno, musiałem z tobą pogadać. Zresztą to nie jest aż tak daleko, a ty jesteś jedyną osobą, której mogę to powiedzieć.

- Ale co?

- Chyba jestem gejem.

- Gejem? - powtórzyła.

To niemożliwe. To niemożliwe, by cała rodzina miała problemy w tym samym czasie i każdy postanowił przyjeżdżać po pomoc właśnie do niej. Do niej, której właśnie zawalił się cały świat. Czy ona była etatowym doradcą i pocieszycielem całego rodu Fitzhenrych?! Widać tak. Widać ci wszyscy narwańcy i wariaci w chwilach kryzysu garnęli się pod skrzydła najspokojniejszej i najbardziej poukładanej osoby w rodzinie.

Rezultat jednak był taki, że nie miała sekundy dla siebie. Nie znalazłaby nawet czasu na zwyrodnienie, gdyby znów chwyciły ją mdłości...

Z pokoju dziennego rozległo się wołanie:

- Kto przyszedł, Lucy? Czy może twoja matka?

- Kto jest u ciebie? - spytał szeptem Russell.

- Chyba nie wujek?

- To Russ, tato! - odkrzyknęła Lucy.

- Czemu w ten mróz trzymasz go na werandzie? Niech wejdzie!

Russell splószył się.

- Nie mogę.

- Teraz nie masz już wyjścia - stwierdziła trzeźwo. - Chodź, zjesz coś.

- Nie potrzebuję jeść, tylko pogadać. I to z tobą. Nie chcę, żeby ktoś inny o tym wiedział.

- Przecież nie będziemy o tym debatować przy moim ojcu. No wchodźże, teraz już nie da się udawać, że cię tu nie było. - Niemal wepchnęła go do środka i ściągnęła z niego kurtkę.

- I jak tam, Russ? Dziewczyny pewnie dalej za tobą szaleją? - Luther powitał siostrzeńca typowym rodzinnym żartem, a Lucy aż się skrzywiła.

Jej kuzyn faktycznie cieszył się od paru lat sporym powodzeniem, co zresztą całkiem mu się podobało. Co mu do głowy przyszło, że może mieć zupełnie odmienną orientację? Dotąd nic na to nie wskazywało. Niestety, nie było szans, by o tym pogadać, gdyż Luther ucieszył się, że ma kompana do rozmowy, nawet zdołał znaleźć napoczętą butelkę wina i piwo, by go ugościć. Lucy przypomniała, że kuzyn przyjechał

samochodem, więc pić nie powinien, ojciec jednak znalazł proste rozwiązanie - Russ zostanie tu na noc!

Lucy, która leciała z nóg, bez słowa podała kuzynowi kolację, pościeliła drugie łóżko w pokoju taty, życzyła obu panom dobrej nocy, wycofała się do swojej sypialni, zrzuciła kapcie i jak długa runęła na łóżko - pierwszy raz w życiu w ubraniu. Nie miała siły się rozbierać, nie zdołałaby nawet kiwnąć palcem. I nie zamierzała.

Co za dzień! Ale nie będzie zastanawiać się nad tym, co się wydarzyło i co to oznacza, o wszystkim pomyśli następnego dnia, w tym momencie potrzebowała jedynie...

Zadzwoił telefon.

Nawet nie drgnęła, czekając, aż ojciec lub kuzyn odbierze i poinformuje, że już poszła spać. Kiedy oba aparaty, i ten w pokoju dziennym, i ten w jej sypialni, zadzwoniły po raz trzeci, stało się jasne, że jeśli ona sama nie odbierze, to nikt inny tego nie zrobi. A mogła dzwonić mama. Albo Ginger. Albo coś się wydarzyło w laboratorium lub w szklarni... Ta ostatnia myśl spowodowała, że Lucy błyskawicznie chwyciła słuchawkę. I omal jej nie upuściła, gdyż odezwał się Nick!

- Jutro wracam do miasta, ale chciałem się dowiedzieć, co powiedział doktor. Czy wszystko w porządku?

Ten głos... Ciepły, niski, seksowny, uwodzicielski... Głos, który kazał kobiecie snuć zmysłowe fantazje i kojarzył się Lucy z ciemną czekoladą, ale nie zwykłą, lecz bardzo wyrafinowaną, nadziewaną brandy i odrobiną waniliowego mascarpone...

- Wszystko w porządku? - powtórzył.

- To nie są wrzody ani żaden guz i w ogóle nic strasznego. Dzięki za telefon. Do zobaczenia jutro.

Odłożyła słuchawkę, a potem bez namysłu wyciągnęła wtyczkę z gniazdka. Do kompletu wyłączyła też swoją komórkę i wreszcie poczuła się bezpiecznie.

Nick ledwie zdążył wysiąść z samochodu, gdy drzwi domu otworzyły się i wypadły z nich Baby, Bubu oraz bratanica Nicka.

- Cześć, wujku! Nie spodziewałeś się mnie, prawda?

Gretchen kilka tygodni wcześniej skończyła dwanaście lat i chyba była to dla niej jakaś istotna granica, ponieważ zupełnie zmieniła sposób ubierania się. Tego ranka miała na sobie puchową kurteczkę narzuconą na sztruksową bluzkę, tak krótką, że modnie odsłaniała płaściutki brzusek - w taki mróz! Dużo włosów, wielkie oczy w chudej buzi, patykowate nogi, niezdarne ruchy

i niemal chorobliwa nieśmiałość dziewczynki natychmiast rzucały się wszystkim w oczy. I tylko przy Nicku, którego z wzajemnością uwielbiała bezgranicznie, jej nieśmiałość zniknęła bez śladu.

- Cześć, szkrabie. Nie za wcześnie zaczynasz chodzić na wagary?

Przytulił ją mocno.

- Nie jestem na wagarach, dzisiaj dali nam wolne, bo nauczyciele mają jakieś ważne szkolenie. Mogłam wrócić do domu, ale w tym tygodniu mieszkam u taty, on nie ma czasu, zresztą i tak cały czas kłóca się z mamą, więc pomyślałam, że może przyjadę do dziadka i do ciebie.

Nick miał ochotę kopnąć swojego starszego brata tak, że tamten doleciałby aż na Biegun Południowy. Rodzice Gretchen nigdy się nie pobrali i nie mieszkali razem, ale też nigdy nie przepuścili okazji, by sobie skoczyć do oczu, i to najczęściej w obecności córki. Nickowi krajało się serce na samą myśl o tym, przez co ta mała musiała wtedy przechodzić. Gdyby ktoś z rodziców poświęcało więcej energii na zajmowanie się nią zamiast na te wieczne awantury, nie byłaby aż tak niepewna siebie i nieprzystosowana do kontaktów z otoczeniem.

- Mogę iść z tobą? - spytała błagalnie.

Nick zafrasował się. Musiał spotkać się z Lucy, i to natychmiast! Poprzedniego wieczoru miała tak dziwny ton głosu, gdy do niej zadzwonił, że

od razu powziął pewne podejrzenie. Koniecznie potrzebował sprawdzić jego słusność, jeśli nie chciał oszaleć ze zdenerwowania.

- Właśnie wybieram się do laboratoriów, żeby porozmawiać z Lucy. W cztery oczy.

Buzia jej się wydłużyła, lecz mimo to Gretchen rzekła całkiem dzielnie:

- Rozumiem.

Rozumiała stanowczo za dużo jak na dwunastoletkę, która powinna być beztroska i mieć jeszcze zielono w głowie. Nauczyła się jednak już dawno, że dorośli nie mają dla niej czasu.

- Dlatego pójdziesz ze mną i zostaniesz z Reiko, Fritzem lub Fredem i przypilnujesz, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Wtedy zdołam z nią obgadać wszystko szybciej. To co? Pomożesz mi w tym?

- Tak, wujku!

- Świetnie. Potem muszę iść do fabryki i zabiorę cię ze sobą, bo wiem, że lubisz tam chodzić. A jak załatwię tam swoje sprawy, rozdzielimy się, ty wrócisz tu do dziadka. Aha, przywiozłaś tę swoją fujarkę?

- Oj, wujku! To nie fujarka, to flet!

- Żartuję przecież... Zagrzasz mi na nim potem? Zgodą?

- Wcale nie chcesz, żebym ci zagrała, tak tylko mówisz.

Biedula była absolutnie przekonana, że nikt nie ma ochoty spędzać z nią czasu.

- Nie, naprawdę chcę. A teraz chodźmy. Psy mogą iść z nami.

Wolałby mieć tych kilka minut na wewnętrzne przygotowanie się do konfrontacji z Lucy, chociaż może zakrawało to na pewną przesadę - przecież właśnie wrócił z podróży służbowej do Paryża i Berna, gdzie załatwiał sprawy ogromnej wagi, więc czym w porównaniu z tym była rzeczowa rozmowa z kobietą? Teoretycznie niczym wielkim.

Gretchen z ożywieniem paplała o czymś przez całą drogę, lecz nie słuchał, zajęty swoimi myślami. Umilkła dopiero pod drzwiami biurowca, swoim zwyczajem pesząc się i rumieniąc. Z kolei zostawione na zewnątrz psy zaczęły wyc rozpaczliwie.

W części biurowej nie zastali nikogo, pracownicy skupili się w głównym laboratorium, gdzie przeprowadzali właśnie jakieś nowe testy, ogromnie zaafelowani. Reiko pierwsza spostrzegła wchodzących.

- Dzień dobry, panie Nick! Witaj, Gretchen.

Pozostali przywitani się również, przy czym najpromienniej uśmiechnęła się Lucy, która chwilę później próbowała niepostrzeżenie wyknąć się bocznymi drzwiami. Nick pospieszył

za nią i w połowie drogi zdołał chwycić ją od tyłu za wyrzuconą na spodnie bluzkę.

- Zabieram wam Lucy na chwilę - oznajmił głośno. - Gretchen, mogę cię tu zostawić na parę minut?

- Aha.

Bratanica w podobnych sytuacjach zawsze posłusznie mówiła „aha”, lecz tym razem zrobiła to z nieco większym przekonaniem niż zazwyczaj, gdyż Reiko właśnie zaprosiła ją do spróbowania nowej czekolady. Mała powinna być zadowolona, pomyślał Nick. Co innego on. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na twarz Lucy, by przekonać się, że jest źle. Bardzo źle. A może nawet jeszcze gorzej.

Zaprowadził ją do jej pokoju. Stała przy samym oknie, jakby chciała znaleźć się jak najdalej od Nicka. Skrzyżowała ramiona.

- Wiem, nie skończyliśmy rozmawiać o tym nowym projekcie - zaczęła.

- To prawda. Ale nie w tym celu przyszedłem.

- A w jakim?

Zamknął drzwi na zasuwkę i oparł się o nie plecami, dzięki czemu zachował największy możliwy dystans między sobą a Lucy, czego wyraźnie potrzebowała, a jednocześnie skutecznie zablokował wyjście.

- Jesteś w ciąży - stwierdził łagodnym tonem.

- Co? - Zrobiła wielkie oczy i potrząsnęła głową, ale zdradziło ją to, że natychmiast odwróciła wzrok.

Nick poczuł się tak, jakby miał w żołądku wielką ołowianą kulę. I to z kolcami. A więc jednak... Domyślił się prawdy poprzedniego wieczoru podczas krótkiej rozmowy telefonicznej z Lucy, lecz mimo to przez cały czas miał nadzieję, że się mylił. Niestety, rzeczywiście! stało się to, czego obawiał się najbardziej.

- Jesteś w ciąży - powtórzył. - Ze mną.

- Podam tego drania do sądu - oznajmiła z gniewem. - Lekarz nie ma prawa zdradzać osobom trzecim informacji na temat swoich pacjentów...

Nick przerwał jej:

- Nikt mi nic nie powiedział, wystarczyło dodać dwa do dwóch. Nagle zaczęłaś cierpieć na nudności, chociaż nigdy przedtem nie uskarżałaś się na żadne dolegliwości żołądkowe. Nie chciałaś mi zdradzić, jaka jest diagnoza, chociaż byłaś nią wyraźnie wytracona z równowagi. Policzyłem więc, ile czasu temu zadzwoniłaś po mnie, żeby mi powiedzieć o sukcesie eksperymentu. Wszystko pasuje. To tamtej nocy...

- Tamta noc nie musi mieć nic do rzeczy. Nic o mnie nie wiesz. Równie dobrze mogę każdej nocy spać z innym facetem.

Jasne, a krowy mają skrzydła, pomyślał kpiąco Nick. Porządne dziewczyny nigdy nie sypiają, z kim popadnie, a Lucy zaliczała się do nich bez cienia wątpliwości.

- Nie zmyślaj, bo to naprawdę nie ma sensu. Wpadliśmy.

- Nie, to ja wpadłam. Ty nie ponosisz żadnej odpowiedzialności, to wyłącznie moja wina. Niczego mi nie proponowałeś. Do niczego by nie doszło, gdybym nie... - Wykonała bezradny gest.

- Chwileczkę. Czy to znaczy, że nie zamierzałaś mi nic powiedzieć? - spytał cichym głosem, starając się zachować spokój. Należał do bardzo opanowanych ludzi, lecz Lucy właśnie wystawiła jego cierpliwość na wyjątkową próbę.

- Cóż... Nie.

Nawet nie mógł się na nią zdenerwować, gdyż na twarzy Lucy widniał wyraz takiej paniki i takiej bezradności, że przede wszystkim trzeba było jej jakoś pomóc.

- Posłuchaj, nie zostawię cię z tym samej. Razem zastanowimy się, co dalej, a potem zrobimy to, co uznasz za stosowne. - Westchnął. - Co prawda dziadek w ogóle by nie rozumiał, nad czym się tu zastanawiać. On widziałby tylko jedno rozwiązanie.

- Nikt się nie dowie, że ty jesteś ojcem. Orson też nie - przyrzekała.

- To nie jest żadne wyjście.
- Nie tylko twój dziadek, ale i moja rodzina będzie naciskać, żebym postąpiła według ich zasad.
- Poddawanie się cudzym oczekiwaniom nie prowadzi do niczego dobrego - ostrzegł i postąpił krok w jej stronę.

Właściwie nie wiedział, czy chciał ją objąć, czy pogłodzić, czy co. Na pewno zamierzał jej dotknąć. Nigdy przedtem nie zainicjował... niczego między nimi, lecz w obecnej sytuacji czuł się sfrustrowany i bezradny, co dotąd było dla niego zupełnie obcym doświadczeniem. Nic więc dziwnego, że działał inaczej niż zazwyczaj.

Lucy próbowała cofnąć się jeszcze bardziej, wyraźnie unikając jego dotyku, a Nick zatrzymał się, najwyraźniej zbity z tropu, gdyż zachowywali się jak para zupełnie obcych ludzi, nie jak kochankowie. Fakt, byli nimi tylko raz i nie trwało to nawet jednej nocy, tylko jedną - za to absolutnie szaloną - godzinę. Kiedy Nick obudził się rano sam w swoim łóżku, był skłonny uwierzyć, że to wszystko mu się przyśniło.

Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek czuł się równie zagubiony. Kiedy stracił rodziców, na jego barki spadła taka odpowiedzialność i tak szybko musiał dorosnąć, że nawet nie miał czasu na smutek, rozpacz i użalanie się nad sobą. Stał

się samodzielny, podejmował decyzje, czasami popełniał pomyłki, czasami nawet poważne błędy, ale nawet wtedy był panem swego życia i sprawował kontrolę nad sprawami, które go dotyczyły. Tymczasem teraz stanął naprzeciw drugiej osoby, która nawet nie chciała z nim rozmawiać o czymś, co go dotyczyło. O czymś, co mogło radykalnie odmienić przyszłość każdego z nich!

Nie miał pojęcia, co w tej sytuacji począć. Lucy uparcie próbowała odsunąć go od całej sprawy, a on nie umiał w żaden sposób na nią wpłynąć. Byłby chyba mniej zdezorientowany, gdyby znalazł się bez kompasu na środku Antarktydy.

- Lucy, spróbujmy coś ustalić. Będę płacił za twoje wizyty u lekarza i za wszystko, co może być związane z...

- Nie ma takiej konieczności, przecież dostałam z firmy dobre ubezpieczenie zdrowotne. Ale gdybym mimo to czegoś potrzebowała, dam ci znać.

A niech to! Co to za sztywna rozmowa?

Podjął kolejną próbę.

- Dobrze, na razie nie mówmy o pieniądzech. Powiedz mi, jak... jak w ogóle się z tym czujesz? Jesteś przerażona, szczęśliwa, wściekła? I czy wiesz, co zamierzasz dalej?

Potrząsnęła głową.

- Ciagle jeszcze jestem w szoku. Przecież dowiedziałam się o tym zaledwie wczoraj.

To była pierwsza naturalna i szczerza wypowiedz ze strony Lucy w czasie całej tej rozmowy. Jakiś postęp!

- Ja też jestem w szoku - wyznał. - Nie bardzo wiem, jak się powinienem zachowywać w tej sytuacji. Zaczniemy więc może od tego, czego jesteśmy pewni. Jeśli wolałabyś mieć to dziecko, to już wiedzielibyśmy, na czym stoimy. Gdybyś jednak chciała...

- Usunąć? Oddać do adopcji? - Z trudem przełknęła ślinę. - Dopiero będę się zastanawiać. Pewnajestem tylko jednej rzeczy, mianowicie nic do siebie nie czujemy. Owszem, raz coś się między nami wydarzyło, lecz trudno uznać to za podstawę do budowania czegokolwiek, a już na pewno nie małżeństwa.

- Nie myślałem o braniu ślubu.

- Nie wątpię - odparła równie szybko, jak on się zastrzegł. - Ja tylko próbuję ci powiedzieć, że ani mi w głowie oczekiwać tego od ciebie.

W tym momencie ktoś poruszył klamką, potem rozległo się dziwne skrobanie.

- To nie ja, wujku! - zapiszczała Gretchen.

Oboje drgnęli, zaskoczeni.

- Skoro nie ty, to czemu słyszę twój głos?

- spytał trzeźwo Nick.

- Bo ja pilnuję Baby i Bubu, a to one drapia do drzwi. Jakoś weszły do środka i wszędzie biegały, szukając Lucy, i znalazły, i ja nie mogę ich odciągnąć, bo są za duże, ale nic się nie martw, wujku, nie wejdą, możesz dalej rozmawiać, ja ich nie wpuszczę!

W innej sytuacji podobna przemowa rozweseliłaby ich, lecz chwilowo nie było im do śmiechu. Lucy powiedziała ściszym głosem:

- Nie możemy o tym teraz rozmawiać. Nie tutaj. Zresztą trzeba opanować ten zamęt za drzwiami.

Miała rację, chociaż ciąża również wprowadzała zamęt, i to na znacznie większą skalę. Łatwiej jednak było uporać się z niesfornymi psami. Nick odnosił wrażenie, że kontrola nad jego własnym życiem właśnie wymknęła mu się z rąk, a co gorsza nie miał bladego pojęcia, jak ją znowu odzyskać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W sobotnie przedpołudnie Lucy, zajęta dopinaniem swoich ulubionych czarnych dżinsów, dość szybko weszła do łazienki i zderzyła się z Russellem. Ściślej rzecz biorąc, zderzyli się czołami. Oboje skrzywili się niemiłosiernie i złapali za głowy.

Normalnie Lucy skwitowałaby to śmiechem, ale powoli zaczynała tracić cierpliwość do kuzyna. Owszem, kochała go ogromnie, lecz odkąd zdradził jej, z czym ma problem, niemal u niej zamieszkał, wykorzystując każdą wolną chwilę, by wałkować ten temat. Do Mankato nie było aż tak daleko, by nie mógł dojeżdżać na zajęcia od Lucy, więc wykorzystywał to i czasem w ogóle nie wracał do domu na noc.

Kiedy wreszcie wprowadzała się do swojego

własnego domu, sądziła naiwnie, że będzie miała go dla siebie, co oznaczało na przykład swobodne wchodzenie do łazienki bez zderzania się z kimkolwiek...

- Rozumiem, że potrzebujesz pogadać, ale teraz nie zdążę, jadę na lunch z moją mamą, wspominałam ci już o tym. Spiesz się, to dobre półtorej godziny jazdy.

Chwyciła ręcznik, by dosuszyć nim mokre włosy i wróciła do sypialni. Kuzyn, uznawszy, że skoro jest gejem, to Lucy może się spokojnie przy nim ubierać, poszedł za nią.

- Nie wiem, co bym zrobił bez ciebie, przecież nikomu innemu się nie przyznam.

- A mojemu tacie? On przepada za tobą, znowu wczoraj przegadaliście prawie całą noc, możesz spokojnie mu powiedzieć.

- Nie. Jest fantastyczny, ale nie mogę.

- Russ, nie rozumiem, czemu właśnie mnie wybrałeś, przecież ja w ogóle nie znam się na podobnych rzeczach i w żaden sposób nie potrafię ci pomóc.

- Nie w tym rzecz. Po pierwsze, jesteś jedyną osobą, której naprawdę ufam, po drugie, nie potępisz mnie.

Przyglądał się, jak Lucy wciąga biały sweterek w czarne paski, a potem w pośpiechu suszy włosy.

- A jeśli się mylisz? Jeśli żaden z ciebie gej?

- Stuprocentowej pewności nie mam, fakt. Ale tak mi się wydaje.

- Na jakiej podstawie? Kochałeś się z innym chłopakiem?

- Nie.

- A całowałeś się? Dotykałeś?

Szybko uróżowała policzki, pociągnęła usta szminką, wpięła kolczyki w uszy.

- Nie. Ale jak patrzę na facetów, to widzę, że niektórzy są bardzo atrakcyjni.

- Też mi dowód! Lubię, jak w filmie gra piękna aktorka, bo przyjemnie mi się na nią patrzy, a bez wątplenia jestem hetero. - Wyjęła z szafy długie skórzane czarne botki na wysokich obcasach i wciągając je, tłumaczyła dalej: - Moim zdaniem każdy normalny człowiek w jakiś sposób zwraca uwagę na osoby tej samej płci i to naprawdę nie oznacza od razu skłonności homoseksualnych.

- Myślisz? - spytał z lekkim powątpiewaniem, podążając za nią do kuchni.

- Lepiej by było, gdybyś spytał kogoś, kto lepiej orientuje się w tych sprawach niż ja.

- Nie! - zaprotestował, wpadając w panikę.

- Dobrze, do niczego cię nie namawiam. Ale wiesz co? Miałam kiedyś w college'u koleżankę lesbijkę. Gdybyś chciał, mogłabym spróbować jakoś odnowić z nią kontakt i bez zdradzania, o kogo chodzi, poprosić ją o jakąś radę.

Na widok kuchni замуrowało ją. Jej idealnie czyściuteńka kuchnia znikła bez śladu, Lucy miała przed sobą puszki po piwie, kubki po kawie, zimne resztki pizzy, okruszki w ilości hurtowej i tajemnicze plamy na terakocie.

Kiedy jeszcze mieszkała sama - kiedy to było? - nie tylko blaty kuchenne lśniły czystością, ale także najdalsze zakątki szafek, kosz na śmieci i podłoga pod lodówką. Aktualnie nie lśniło nic.

- Robiłaś coś z tą koleżanką? No wiesz, eksperymentowałaś? - dopytywał się Russell.

- Nie.

- Ale miałaś ochotę? Myślałaś o tym? Byłaś ciekawa, jak by to było?

- Coś ty, przez głowę mi nie przeszło. Ona też mi nigdy niczego nie proponowała, my naprawdę tylko się kolegowaliśmy. Bardzo miła dziewczyna. - Chwyliła torebkę, zawróciła na korytarz, z rozpaczą zerknęła do pokoju dziennego, gdzie również panował koszmarny bałagan, po czym przeniosła wzrok na reprodukcję obrazu z orłem, który nadal majestatycznie i spokojnie szybował ponad wodami. Ten widok ukoił ją nieco. Całe jej życie rozsypywało się niczym domek z kart, lecz przynajmniej ukochany orzeł pozostał ten sam, wydając się jedynym stałym punktem we wszechświecie.

Wzięła z wieszaka kurtkę, włożyła ją pospiesznie i westchnęła.

- Naprawdę muszę lecieć, już i tak jestem spóźniona.

- Słuchaj, ale to nie jest tak, że ty... że masz już dość gadania o moich problemach?

- Nie, skądże.

- Dzięki. Wiesz, ja tu zostanę i dotrzymam towarzystwa twojemu tacie. Jak wróci ze sklepu, to może będzie chciał iść do kina albo co.

- Świetnie, znakomity pomysł. Ale kiedy z kolei ja wrócę i ten dom będzie dalej przypominał chlew, zamorduję was obu, obiecuję.

- Jasne, nie ma sprawy - rzekł nieco nieprzytomnie, wyraźnie zajęty dręczącą go kwestią.

Nawet nie drgnął, gdy Lucy cmoknęła go w policzek i wybiegła.

Od razu poczuła uderzenie silnego wiatru. Po szarym niebie szybko sunęły chmury, śnieg topniał, ziemia nasiąkała wodą jak gąbka. Chociaż dzień był brzydki, jednak w powietrzu dawało się wyczuć charakterystyczną nutę świeżości, pierwszą zapowiedź nadchodzącej wiosny. Lucy najchętniej powstałaby przez chwilę, napawając się tą wonią, jednak poczucie winy wywołane wspomnieniem żalostnej miny Russella nie pozwoliło jej na to. Pędem zawróciła do domu.

- Russ, kocham cię, głuptasie - zapewniła

z lekką irytacją. - I wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

- Mhm... - wymruczał, zaglądając do lodówki w poszukiwaniu smakołyków.

Lucy pomyślała, że tam pewnie znajdzie lepsze pocieszenie, wypadła więc z domu, wskoczyła do samochodu i pojechała na spotkanie z mamą. Przez cały czas zastanawiała się, czy powiedzieć jej o ciąży, czy nie. Intuicja kazała jej siedzieć cicho, przynajmniej do czasu, kiedy sama nie rozezna się we własnych uczuciach, z drugiej jednak strony Lucy była spragniona rozmowy z kimś, kto myślał w taki sam sposób jak ona - czyli po prostu z drugą kobietą!

Jej nudne, uporządkowane życie stanęło ostatecznie na głowie. Jej wychuchane mieszkanie zostało wydane na pastwę dwóch mężczyzn, gdyż tata i Russell zamieszkali u niej na dobre. Piękny biały chodnik stał się już mniej piękny, gdyż pojawiła się na nim brązowa plama niewiadomego pochodzenia. Na nowiutkiej kanapie nawarstwiały się kolejne pokłady okruszków. W łazience wałały się rzucone byle jak wilgotne ręczniki. Żaden z panów nawet nie wpadł na to, że ona też może mieć własne problemy i może już być zmęczona obsługiwaniem ich. Każdy myślał tylko o swojej sytuacji i roztkliwiał się nad sobą. Zero empatii.

Tak, Lucy desperacko potrzebowała towarzysza kogoś, kto rozumowałby podobnie jak ona, miałby podobny system wartości i pojmował ją w pół słowa.

Jechała szybko, lecz i tak spóźniła się pięć minut. Gdy weszła do restauracji na obrzeżach Rochester, w której umówiła się z mamą, Evy jeszcze nie było, więc Lucy spokojnie rozebrała się, znalazła stolik, usiadła, zamówiła mleko, czując, że zrobi jej dobrze na żołądek.

Mama zjawiła się kwadrans po dwunastej, od samego progu przyciągając niemal wszystkie spojrzenia. Zawsze tak było. Ginger odziedziczyła po matce urodę - obie miały piękny owal twarzy, zgrabny nos, wycieniowane blond włosy, które świetnie się układały bez żadnych specjalnych zabiegów. Lucy nie zazdrościła jednak mamie urody, lecz klasy i elegancji przebijającej z każdego ruchu. Ona sama miała tyle elegancji, co okłapy bratek.

- Kochanie, wyglądasz, jakbyś od tygodnia nie spała - stwierdziła na powitanie Eva i pochyliła się, by ucałować córkę.

Lucy rozpoznała delikatny zapach ciepłego policzka mamy i słodką woń wytwornych perfum. Mama zawsze kojarzyła się z czymś przyjemnym, ciepłym, pachnącym, miłym w dotyku... Nawet z zawiązanymi oczami odróżniłaby ją od

setek innych ludzi. Pomyślała z rozczuleniem, że przy niej jednej nie musi udawać takiej silnej i dzielnej, może się zwierzyć, wyzalić, a nawet rozkleić.

- Bo prawie nie śpię, mamó... - zaczęła, rozpaczliwie potrzebując opowiedzieć o wszystkim, zrzucić ciężar z serca, podzielić się swoimi problemami.

Eva przerwała córce, nim ta zdążyła zacząć:

- Zamówmy coś, umieram z głodu.

Kelnerka właśnie podchodziła do stolika. Złożyły zamówienie, a gdy zostały same, Eva odezwała się:

- Luce, kocham cię, ale jeśli umówiłaś się ze mną tylko po to, by rozmawiać o twoim ojcu i wstawić się za nim...

- Nie, mamó. Chciałam cię zobaczyć, bo stęskniłam się za tobą.

Równie dobrze mogła się w ogóle nie odezwać, gdyż mama uparcie ciągnęła dalej, nie słuchając jej:

- ...to możesz sobie darować, ponieważ tym razem moja cierpliwość naprawdę się wyczerpała. Mam znajomego prawnika, chodziłam z Georgem Gramsem na studia, pomoże mi przeprowadzić rozwód. Tak postanowiłam i koniec. Kiedy byłam młodsza, bezradność twojego ojca wydawała mi się rozczulająca. Potrzebowałam

mnie. Genialny chirurg, podziwiany przez wszystkich, który nie potrafi sobie zawiązać butów! Rozbrajało mnie to zupełnie.

Lucy zrozumiała, że chwilowo przyjdzie jej raczej słuchać niż mówić, gdyż mama była zbyt przejęta najnowszą awanturą z tatą.

- A teraz już cię nie rozbraja?
- Nie, przestało. Naprawdę mam dość i tym razem mówię poważnie. Koniec z nami.
- Widziałaś się już z tym prawnikiem?
- Nie, ale wybieram się do niego niedługo.
- Rozmawiałaś na ten temat z Ginger? - spytała Lucy, chociaż z góry znała odpowiedź.
- Nie, jeszcze nie. Chwilowo nie mam na to czasu ani energii.
- Aha, czyli tak samo, jak zawsze. Już to przerabialiśmy, mamo. Wcale nie chcesz się rozwodzić.

Umilkły, gdyż wróciła kelnerka. Lucy zamówiła zupę-krem z groszku, Eva zaś - najzupełniej beztrąsko - dwie porcje cytrynowego tortu be-owego. Czasami Lucy zastanawiała się, jak to możliwe, że jest jej córką. Eva Fitzhenry mogła pochłaniać dowolne ilości łakoci i nigdy jej to nie szkodziło ani na figurę, ani na cerę. Jej młodsza córka też jadła, ile chciała, w ogóle przy tym nie tyjąc, ale musiała powściągać apetyt na słodycze, od nadmiaru których dostawała wyprysków.

O idealnej figurze też mogła pomarzyć, bo była po prostu chuda i płaska, podczas gdy mama szczyliła się niezwykle zgrabnym biustem.

Eva wycelowała palec w córkę.

- Tym razem mówię absolutnie poważnie. Co to za związek, w którym odgrywam wyłącznie rolę niańki? Chcę być postrzegana i doceniana jako kobieta!

Lucy spojrzała na swoją zupę i czym prędzej przykryła ją serwetką, gdyż na widok zielonego koloru zrobiło jej się niedobrze.

- Słuchasz mnie czy nie? Lepiej słuchaj, bo powiem ci coś ważnego. Nigdy nie oceniaj mężczyzny na podstawie jego powierzchownych cech. Nie myśl sobie, że wystarczy, gdy jest inteligentny, błyskotliwy, podziwiany przez innych, bo to nie wystarczy. Wiesz, co jest niezbędne? On musi lubić twoje towarzystwo. Musi cię dostrzegać. Nie może patrzeć na ciebie i myśleć o swojej pracy ani o grze w golfa, ani o tym, co mu ugotujesz na obiad.

- Rozumiem - rzekła uspokajającym tonem Lucy, ale mama dopiero się rozkręcała. Kroiła widelczykiem tort bezowy i jadła go niemal tak szybko, jak mówiła.

- Przynajmniej w łóżku był świetny. Kto by pomyślał, że tak egoistyczny mężczyzna pod tym względem może naprawdę dać kobiecie szczęście? Niestety, w pewnym wieku...

- Rozumiem - powtórzyła Lucy, tym razem z zaskakującą jak na nią stanowczością. - Są jednak pewne granice i wasze sprawy intymne znajdują się właśnie za jedną z nich. O tym rozmawiać nie będziemy. Skoro jednak mimo wszystko chcesz rozmawiać o tacie, to powiedz mi, co ja mam z nim zrobić? On powoli zapuszcza u mnie korzenie!

- Nie, nie odpowiem ci na to. Ilekroć on coś zmaluje, to natychmiast ja mam znajdować rozwiązanie. Tym razem przebrała się miarka. Zrób to, co uznasz za stosowne, ale przede wszystkim pogoń go do roboty, niech sam pierze sobie skarpetki, niech po sobie sprząta.

- Niby jak ja mam go do tego nakłonić?

- Nie wiem, szczerze mówiąc. Mnie nigdy się nie udało - przyznała Eva, kończąc drugi kawałek tortu. - Na razie zajmę się czymś innym. Najwyższa pora, żebym miała romans.

- Nie słyszałam tego, mamo.

- Nawet już mam kogoś na oku. Być może to będzie najlepsze lekarstwo na problemy z twoim ojcem. Przespać się z kimś, na kim tak naprawdę mi nie zależy, pozwolić sobie na kilka chwil szaleństwa. Kto wie, czy po czymś takim nie mogłabym wrócić... - Nagle mina Lucy uświadomiła jej, że córka lada moment dostanie zawału. - W porządku, zostawmy ten temat. - Sięgnęła po

zostawiony przez kelnerkę rachunek. - Chodź, pójdziemy na zakupy.

Tym razem zakupy nie poprawiły Lucy humoru. Owszem, zobaczyła parę znakomitych rzeczy do kuchni, lecz kosztowałyby ponad sto dolarów, a ona nie była pewna, czy ewentualna przyszła matka powinna wydawać pieniądze na głupstwa. Gdyby zdecydowała się urodzić i wychować dziecko, powinna odkładać na jego potrzeby.

- Co z tobą? - zdziwiła się Eva. - Podobno awansowałaś i dostałaś sporą podwyżkę. Czemu nic nie kupujesz?

- Jakoś nie jestem dzisiaj w nastroju.

W rezultacie tylko Eva coś sobie kupiła, a była to koronkowa czerwona bielizna i jedwabny szlafroczek, czyli seksowne fatałaszkę w sam raz na gorący romans. Na ten widok Lucy poczuła się jeszcze gorzej.

Wyjeżdżała z Rochester o zmierzchu, kiedy więc dotarła do Eagle Lake, było już zupełnie ciemno. Zaczęło mżyć. Jakiś dobry duch podszepnął jej, by nie zjeżdżała z trasy szybkiego ruchu, pojechała więc dalej. Nie czuła się na siłach, by wrócić do domu, który w ciągu ostatnich dni zmienił się w brudny hotel. Musiała poszukać miejsca, w którym mogłaby spokojnie zastanowić się nad wszystkim, co się wydarzyło i zrozumieć, jak to się stało, że jej doskonale

uporządkowane życie zaczęło nagle przypominać rozsypaną układankę. Musiała znaleźć sposób na poukładanie go z powrotem.

Na terenie firmy nie było prawie nikogo. W dni powszednie w zakładzie produkcyjnym pracowano również na nocną zmianę, lecz w weekendy pracownicy mieli wolne. Dyżurujący przy bramie Gordon uprzyjemniał sobie służbę czytaniem... romansu, który pospiesznie ukrył na widok Lucy.

- Chyba nie pracuje pani o tej porze, pani Fitzhenry? - zdumiał się.

- Gordonie, pan może, to i ja też. Swoją drogą, ma pan pecha, że wypadła panu nocna służba akurat w weekend.

- Nie wypadła, sam się zgłosiłem. Widzi pani, moja najmłodsza córka zaczyna całkiem poważnie myśleć o swoim chłopaku i ma ochotę na wielkie wesele. Spytałem, czy by nie wolała romantycznie uciec do Las Vegas i wziąć ślubu cichaczem, ale nie. No to muszę na to wesele zapracować...

Pogadali jeszcze przez chwilę, ponieważ Lucy szalenie lubiła Gordona, potem przepuścił ją i pojechała w stronę biurowca, laboratoriów i ukochanej szklarni. Gdy tylko przejechała przez bramę, ogarnęła ją ulga. Tam nie będzie nikogo, wreszcie uda jej się pozbierać myśli.

Wystukała kod, weszła do budynku, po czym

nie zwracając sobie głowy drobiazgami, ściągnęła kurtkę i rzuciła ją razem z torebką na sam środek podłogi w głównym holu. Nikt inny się tu nie zjawi, więc co komu szkodzi? Chwilowo miała na głowie ważniejsze sprawy niż dbanie o porządek.

Mijając puste biura, popędziła do głównego laboratorium, wiedząc doskonale, co musi zrobić w pierwszej kolejności. Bez chwili wahania skierowała się ku ścianie, w której znajdowały się niewielkie sejfy ze stali nierdzewnej, zaopatrzone w urządzenia do ustawiania właściwej temperatury i wilgotności. Każdy z pracowników posiadał własny sejf. Lucy otworzyła swój i wyjęła z niego to, co zostało z pierwszej partii Niebiańskiej Rozkoszy. Niewiele już tego było, lecz w zupełności wystarczało.

Zamknęła sejf, położyła czekoladę na idealnie czystym blacie, ułamała kawałek, ugryzła powoli, bardzo powoli. Zamknęła oczy.

Nie, nie dopadła jej chęć na słodycze, przeprowadzała poważny eksperyment.

Tamtej pamiętnej nocy zjadła dużo Niebiańskiej Rozkoszy, nic dziwnego zresztą, bo na początku w ogóle nie była w stanie uwierzyć, że udało się uzyskać tak niewiarygodnie bajeczny smak. Spróbowała więc jeszcze. I jeszcze. I znowu. Niewiarygodne...

I chyba się tą czekoladą... upiła.

Czy to możliwe, by jej wynalazek okazał się niebezpieczny? Czy to pod jego wpływem zachowała się tak, jak się zachowała?

Koncentrując się intensywnie na swoich doznaniach, smakowała rozpluwającą się na języku czekoladę, badała aromat, konsystencję, a z każdą chwilą z jej pamięci coraz bardziej wynurzało się wspomnienie chwil, które próbowała zepchnąć głęboko w podświadomość.

Wszystko rozegrało się w tym właśnie pomieszczeniu.

Trwała zimowa noc, za oknami leżały zasypane śniegu, w laboratorium jak zawsze jasno płonęły lampy - i nagle w tym ostrym świetle Lucy przeszła zupełną metamorfozę, zmieniając się z nudnej i pedantycznej starej panny w rozpasaną nimfomanę, która praktycznie rzuciła się na Nicka. On ani nie prosił, by go pocałowała, ani o to, by zdarła z niego ubranie sztuka po sztuce, ani o to, by dokończyła ten szalony akt uwiedzenia. Nie prosił...

Wszystkiemu była winna czekolada.

Do tamtej nocy Lucy wiodła spokojne, ciche życie, przez całe lata pozbawione jakichkolwiek wyskoków. I nigdy nawet nie pomyślała o tym, by poderwać wnuka swojego szefa, gdyż Nick znajdował się kompletnie poza jej zasięgiem, w dodat-

ku był od niej tak różny, że wszelkie próby wiązania się z nim w jakikolwiek sposób musiały z góry być skazane na niepowodzenie. A jednak po kilku kawałkach Niebiańskiej Rozkoszy...

Otworzyła oczy, sięgnęła po następny kawałek, włożyła go do ust, zamknęła oczy ponownie. Musiała istnieć jakaś odpowiedź na dręczące ją pytanie, czemu życie nagle wymknęło jej się spod kontroli. Z jednej strony trudno było winić za to czekoladę, z drugiej jednak miała ona swój udział w zaistnieniu obecnej sytuacji, bo gdyby nie ten cudowny, niewiarygodny, niezapomniany, wyjątkowy smak, któremu aż trudno było wybaczyć jego doskonałość...

- Lucy?

Gwałtownie uniosła powieki. W progu stał Nick.

Zupełnie jakby wyczarowała go za sprawą smaku czekolady.

Zupełnie jak za pierwszym razem.

Brakowało mu tchu, gdy dopadł laboratorium.

Gordon zadzwonił do niego, informując o przyjeździe Lucy, ponieważ strażnicy mieli rozkaz powiadamiać Nicka natychmiast o wszelkich nietypowych wydarzeniach niezależnie od pory doby. Kwestia bezpieczeństwa stała się priorytetowa zwłaszcza teraz, gdy przeprowadza-

ne w szklarniach i laboratoriach eksperymenty mogły w rezultacie przynieść rewolucję w przemyśle produkcji czekolady, o krociovych zyskach nie wspominając.

Oczywiście obecność Lucy nie stanowiła ani żadnego zagrożenia, ani pogwałcenia zasad, gdyż ona często pracowała o dość dziwnych porach i zawsze miała swobodny wstęp na teren firmy. Gordon jednak zaalarmował szefa z innego powodu, mianowicie pod pewnymi względami był człowiekiem starej daty, więc zaniepokoił się o Lucy - przecież kobieta nie powinna chodzić po nocy sama!

Normalnie Nick nie przejąłby się tym, wiedząc, że nic jej nie grozi, jednak ciąża Lucy zmieniała wszystko. A jeśli coś jej się stanie? Jeśli źle się poczuje? Kto jej wtedy pomoże? Ledwie te myśli przeleciały mu przez głowę, przeprosił znajomych, z którymi poszedł na kolację do pubu, wskoczył do samochodu i pognął na złamanie karku, bijąc rekord trasy. Przez cały czas wyobrażnia podsuwała mu coraz straszniejszego obrazy tego, co może stać się z Lucy...

Tymczasem ta mała czarownica siedziała sobie beztrąsko na blacie jednego ze stołów w laboratorium, ubrana w dopasowane czarne dżinsy, jeszcze bardziej dopasowany biało-czarny sweter i dogadzała sobie, objadając się pyszną czeko-

ladą! A on omal zawału nie dostał ze strachu o nią!

Kiedy go ujrzała, zbladła straszliwie w jednej chwili, jakby zobaczyła ducha.

- O matko, ale mnie przestraszyłeś!

- Chyba żartujesz! To ty mnie nieźle nastraszyłaś. Co tu robisz w sobotę w środku nocy?

- Hej, mam prawo tu być - zaprotestowała z urazą.

Cholera, obraził ją. Wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić.

- Wiem. Wcale nie neguję twojego prawa, chodzi mi o co innego. Nie ma nikogo w zasięgu głosu, mogło ci się coś stać, mogło ci się zrobić słabo, niedobrze, mogłaś...

- Nic mi nie jest, Nick.

- Ale mogło ci coś być! I cały czas nie odpowiedziałaś mi, co tu właściwie robisz.

- Sprawdzam coś.

- To znaczy?

Jej twarz przybrała dziwny wyraz. Nick uspokoił się już na tyle, że wreszcie mógł uważniej przyjrzeć się Lucy. Była jakaś... zmieniona. Nie chodziło nawet o to dopasowane ubranie ani o botki na szpilkach, ani o lekko pociągnięte różem policzki. Poza tymi kilkoma szczegółami wyglądała tak, jak zazwyczaj - te same miękkie włosy, ta sama ładna buzia.

Ale jej oczy wydawały się jeszcze głębsze niż zazwyczaj i ciemniejsze niż noc. I jak mógł dotąd nie zauważyć, że jej mleczna skóra aż kusi, by jej dotknąć i sprawdzić, czy naprawdę jest taka jedwabista, na jaką wygląda?

Z pewnym trudem wrócił do meritum sprawy.

- Lucy, przecież nie pytam cię o żadne sprawy osobiste, tylko o związane z pracą, więc odpowiedz, proszę. Czyżbyś szykowała kolejne niespodzianki w związku z Niebiańską Rozkoszą?

- Nie... Nie sądzę.

- Mówiłaś, że coś sprawdzasz - przypomniał.

- Tak, ale... Nie, jednak się wstydzę. Słuchaj, a gdybyś po prostu o wszystkim zapomniał?

Nic z tego nie rozumiał. Przyjechała po nocy do pilnie strzeżonego laboratorium i coś testowała. Jej ostatnie eksperymenty mogły przynieść firmie ogromne zyski. I on miał w takiej sytuacji o nic nie pytać?

- Nie robisz przecież chyba nic wstydliwego, więc czemu nie chcesz powiedzieć? Wyjaśnij, o co chodzi, a ja obiecuję zapomnieć potem o całej rozmowie.

Zarumieniła się, zeskoczyła ze stołu, bardzo starannie zapakowała pozostałą czekoladę, zaniósła ją do swojego sejfu, włożyła do środka, zamknęła drzwiczki, wprowadziła kod i dwukrotnie sprawdziła, czy aby na pewno są zamknięte.

Nick jako pracodawca zazwyczaj doceniał jej dokładność, ale tym razem...

- Lucy, mów wreszcie, co o chodzi!

- Dobrze, już dobrze... Otóż chciałam sprawdzić, czy Niebiańska Rozkosz nie jest przypadkiem niebezpieczna.

- Niebezpieczna?

Po raz trzeci sprawdziła, czy zamknęła sejf.

- Nie dla zdrowia, nie obawiaj się.

- Pod jakim więc względem? - ponaglił niecierpliwie, gdy umilkła.

Przyparta do muru Lucy zdenerwowała się.

- O rany, zawsze testuję na sobie rezultaty moich eksperymentów. Tamtej nocy, gdy uzyskałam pierwszą partię Niebiańskiej Rozkoszy, spróbowałam jej całkiem sporo, bo nie mogłam uwierzyć, że aż tak się udało. Potem zadzwoniłam po ciebie, zjawiłeś się z szampanem, wypiliśmy... Ale to nie przez szampana. I nawet nie przez twoje przyjęcie. Wszystko przez tę czekoladę, której zjadłam wtedy naprawdę sporo. Wiesz doskonale, jak stymulująco czekolada działa na organizm. Przez parę wieków uznawano ją za afrodyzjak i chociaż przeceniano jej możliwości pod tym względem, to coś w tym jednak jest... Fenyloetyloamina, konkretnie rzecz biorąc...

Nick ze znużeniem przeciągnął dłonią po twarzy. Szykował się kolejny długi i nudny wykład.

- ...czyli ten sam związek, który znajduje się we krwi, gdy człowiek jest zakochany. Oczywiście nie twierdzę, że gdy ktoś je czekoladę, to się zakocha, bo to byłby nonsens. Ale tamtej nocy zjadłam dużo tej nowej czekolady, zaczęłam się więc teraz zastanawiać, czy ona aby nie zawiera więcej niż normalnie tego związku, który wywołuje przyjemną ekscytację. Jeśli tak...

Jeśli tak dalej będzie gadać, to błąd świt ich zastanie w tym laboratorium. Nick postanowił nazwać rzecz po imieniu, w ten sposób ucinając długie wywody Lucy.

- Chcesz mi powiedzieć, że to z powodu czekolady rzuciłaś się na mnie tamtego wieczoru?

Ich spojrzenia spotkały się, w orzechowych oczach Lucy pojawiło się na moment coś, czego Nick nie potrafił zdefiniować.

- Cóż... Nie znajduję innego wytłumaczenia.

- A co tu trzeba tłumaczyć? Dla mnie sprawa jest oczywista. Noc, kobieta i mężczyzna, pod-ekscytowani wielkim sukcesem, żywej duszy dookoła. I na moment coś między nimi zaskoczyło. To zupełnie naturalne.

- Tylko jak mogło zaskoczyć, skoro ty wcale za mną nie przepadasz?

- Wszyscy za tobą przepadają, ja też bardzo cię lubię.

- Ale nie w taki sposób, o jakim mówimy,

rozumiesz. A jeśli chodzi o mnie... Widzisz, ja nigdy nie rzucam się na mężczyzn. I nie podrywam swoich szefów. Normalnie nie wykonałabym najmniejszego gestu w twoją stronę, nawet nie przyszyłoby mi to do głowy. Dlatego doszłam do wniosku, że musiałam znajdować się pod wpływem czegoś, co zmieniło moją osobowość, skoro zachowałam się w ten sposób.

Nick poczuł się cokolwiek obrażony.

- Czyli co? Przysłałaś tu ponownie przetestować Niebiańską Rozkosz i zobaczyć, czy tym razem rzucisz się na kogoś innego? - spytał kwaśnym tonem.

- Oczywiście, że nie. Przyszłam sprawdzić, czy jak ją zjem, to znów stracę rozum.

Zastanawiał się przez dobrą minutę, co ma jej na to odpowiedzieć. Odnosił wrażenie, jakby próbował dogadać się z kimś, kto mówi po chińsku. W tym wszystkim, co słyszał, nie było ani odrobiny sensu.

Naraz ze zdumieniem zdał sobie sprawę z tego, że nie wie kiedy podszedł do niej, i to całkiem blisko. I jakiś diabeł - bo kto inny? - podsunął mu słowa:

- Nie straciłaś rozumu ani teraz, ani wtedy. Nie powinnaś się martwić, bo czekolada nie miała nic wspólnego z tym, co zaszło między nami. Mogę to udowodnić.

- Możesz? Jak?

W tym momencie Nick złożył sobie solenną przysięgę, że jeśli kiedykolwiek urodzi mu się córka, zamknie ją w klasztorze, dopóki nie ukończy ona trzydziestego roku życia. Takie kobiety jak Lucy nie były bezpieczne poza jego murami - przynajmniej tak długo, jak po świecie chodzili mężczyźni. On przecież nie był taki najgorszy, a właśnie zamierzał dać jej małą nauczkę za przestraszenie go, obrażenie i narobienie mu mętliku w głowie.

Przyglądała mu się z zaciekawieniem, gdy podszedł jeszcze bliżej. Odsunęła się nieco, ale wyłącznie dlatego, że źle odczytała jego intencje, mianowicie sądziła, że chciał po coś sięgnąć, a ona to zaślania. Nawet gdy wziął ją za rękę, nie domyśliła się jeszcze, co zamierzał zrobić, w jej oczach nadal widniało czyste zainteresowanie. I dopiero kiedy Nick wolną dłoń uniósł jej brodeń nieco do góry, a sam pochylił głowę, Lucy znieruchomiała i wstrzymała oddech. Poczuł, jak jej dłoń drży lekko, ujrzał, jak oczy ciemnieją. Pocałował ją.

Smakowała jak czekolada. Jak słodka, ciepła czekolada, rozpływająca się w ustach.

Nic na świecie nie miało tak naprawdę smaku czekolady, lecz Lucy właśnie tak mu się kojarzyła. I nie chodziło nawet o to, że dopiero co

delektowała się Niebiańską Rozkoszą, lecz o coś w niej samej. To ona była słodka i ciepła, zdawała się topnieć pod dotykiem jego warg.

Nagle Nick zamarł.

Zamierzał ją najzwyczajniej w świecie pocałować, by pokazać, że w sprzyjających okolicznościach nawet ludzie, którzy normalnie nie są sobą erotycznie zainteresowani, mogą poddać się nastrojowi chwili.

Ale jeszcze moment wcześniej nie przypuszczał, co to może oznaczać. Już raz uległ pokusie i od tej pory miał ciągłe wyrzuty sumienia, chociaż to nie on zainicjował wypadki i nie ponosił winy za to, że Lucy go uwiodła. Doprawdy trudno było obarczać mężczyznę winą za poddanie się kobiecie, która praktycznie napadła go - spragniona, roznamietniona, aż dzika w swojej żądzy. Nie umiałby też powiedzieć, które z nich było bardziej zaskoczone.

Nick nigdy nie próbowałby jej poderwać, nawet gdyby mu się ogromnie podobała, przede wszystkim z tego powodu, że jego kod etyczny zabraniał nawiązywania intymnych kontaktów z pracownicami. Do tamtej nocy nawet nie przyszło mu do głowy, że jego i Lucy mogłoby cokolwiek łączyć. A tymczasem...

Żadne nie było wtedy przygotowane na obronę przed tym, co się działo, gdyż żadne

nie przypuszczało, że w ogóle cokolwiek może się stać. To spadło na nich nagłe, w jednej chwili Lucy namiętnie ocierała się o niego biodrami, on ją chciwie całował i nie miał nawet co marzyć o tym, że jego kod etyczny przypomni mu o swoim istnieniu, przywracając go do rzeczywistości.

I teraz znowu znajdował się na granicy kompletnego zapomnienia się, chociaż jego intencje były w sumie dość czyste - po prostu chciał udowodnić Lucy, że jakaś tam czekolada i zawarte w niej związki wcale nie są konieczne do tego, by coś zaiskrzyło między kobietą a mężczyzną, którzy znajdują się gdzieś sami w środku nocy. Krótko mówiąc, Niebiańska Rozkosz nie była ani trochę niebezpieczna. Cała zagadka sprowadzała się do czystej biologii. Nie kryła się za tym żadna tajemnica.

A jednak...

A jednak nagle okręcił się wraz z Lucy tak, by oprzeć się o stół, rozstawiając szerzej nogi, przyciągnąć ją mocno do siebie i pocałować ponownie. Mocniej. Głębiej.

Uniosła rękę, jakby chciała odepchnąć go od siebie, więc uniosł nieco głowę, lecz jej dłonie przesunęły się po jego barkach, zawędrowały na kark. Westchnęła cichutko, a śmiertelnie zdumiony Nick, ściągając brwi, pocałował ją po raz trzeci.

To nie miało sensu! Różnili się od siebie jak

dzień i noc. Nigdy mu się nie podobała. Owszem, rozumiał, że czasem mężczyznę może podniecić kobieta, która wcale mu się specjalnie nie podoba, ale nigdy dotąd nie miał najmniejszych problemów z nakazaniem sobie spokoju i wycofaniem się z niestosownej sytuacji. Nie miał też zwyczaju wykorzystywać uległości kobiet. A już na pewno za nic w świecie nie zamierzał wykorzystywać Lucy!

Ale smakowała tak słodko, i tak oplatała jego szyję ramionami, jakby się bała upaść, i jej westchnienia brzmiały tak zmysłowo, że reakcja jego ciała mogła być tylko jedna. Matka Natura tak to urządziła, powtarzał sobie. Ponosi nas, bo jesteśmy sami, bo jest noc...

Nie, wbrew pozorom chodziło o coś bardziej skomplikowanego. Nie umiał tego precyzyjnie nazwać, ale miało to jakiś związek ze słodyczą Lucy, ze sposobem, w jaki jej drobne piersi wtulały się w jego tors, w jaki jej włosy przesywały mu się między palcami niczym jedwab. To tajemnicze i w sumie przerażające go coś tkwiło w niej samej, było jej przynależne.

I to przez nie zachowywał się tak dziwnie.

Znalazł w sobie siłę, by zakończyć pocałunek i unieść głowę. Gwałtownie wciągnął haust powietrza w płuca, co odrobinę go otrzeźwiło, chociaż nie zaczął od tego myśleć jasniej.

- A niech mnie!

Lucy otworzyła oczy, które wydały mu się bardziej bezbronnie i niewinne niż oczy dziecka. Odezwała się zmienionym głosem:

- Czemu to zrobiłeś?

- Czemu cię pocałowałem? Bo chciałem ci udowodnić, że wynaleziona przez ciebie czekolada wcale nie jest niebezpieczna. Takie rzeczy zdarzają się i bez niej. Dwoje samotnych ludzi, noc, okazja, no i natura robi swoje... Jak widzisz, nie ma się czego bać.

- Masz rację. Nie ma się czego bać.

Niedługo potem Nick wracał do domu, lecz w dość paskudnym nastroju. Do niczego nie doszło, oboje powiedzieli, co należało powiedzieć, Lucy faktycznie sprawiała wrażenie nieco uspokojonej, za to on...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nick nalał trzy kubki kawy, rozlewając ją też dość hojnie po blacie z niebieskiego marmuru, gdyż ręce mu się trzęsły. Druga po południu w piękną słoneczną niedzielę, a on czuł się jak na ciężkim kacu, chociaż nie wypił ani kropli alkoholu.

Skoro więc nie mógł mieć prawdziwego kaca ani nie trzęsły mu się ręce z powodu jakiegoś ciężkiego stresu, bo nigdy mu się to nie zdarzało, pozostawało jedno tylko wytłumaczenie - dygotał ze strachu.

Ale przecież nie było się czego bać, jak powiedziała poprzedniej nocy Lucy. A może to on powiedział?

W każdym razie do rana nie zmrużył oka i w efekcie zrobił się bardziej podenerwowany niż

kiedykolwiek. Wytarł pochlapany blat, ustawił kubki na tacy i zaniósł ją do pokoju dziennego, gdzie jego brat siedział razem z dziadkiem. Już samo to by wystarczyło, żeby człowiekowi zaczęły drżeć ręce, ponieważ ich obecność w jednym pomieszczeniu nieodmiennie oznaczała wybuch i ofiary. Na razie siedzieli obaj nieruchomo i w milczeniu, najwyraźniej nie mając sobie nic do powiedzenia.

Nick westchnął w duchu i postawił tacę na stoliku do kawy.

- Weźcie kubki i chodźmy. - Wskazał drzwi sąsiedniego pokoju.

- Nie przyszliśmy tu grać w bilard - fuknął Orson.

- Nie, przyszliście omówić ważną sprawę, ale nigdzie nie jest powiedziane, że trzeba przy tym siedzieć. No, zabierajcie swoją kawę i ruszcie się.

W końcu ich namówił, ale chociaż mieli do przejścia ledwie kilka kroków, łatwiej byłoby przegnać z miejsca na miejsce stado upartych kóz. Nick zwołał to spotkanie u siebie w domu, mając nadzieję, że na neutralnym gruncie ci dwaj będą bardziej skłonni do współpracy niż w rezydencji dziadka. Na razie jednak wyglądało na to, że rozmowa zostanie uwieńczona mniej więcej takim samym sukcesem jak rozmowy pokojowe na Bliskim Wschodzie.

Przez okna wpadało ciepłe światło słońca, nieco łagodząc surowość urządzonego bardzo po męsku pokoju, w którym dywan, zasłony i nawet ściany były granatowe, zaś skórzana sofa i fotele - białe. Ledwie mężczyźni wstali i podeszli do drzwi, obie dożyce cichutko jak myszki wślizgnęły się na opuszczone miejsca i zwinęły w kłębki, by sobie wygodnie pospać. Nick obejrzał się i jego wzrok padł na wiszący nad kominkiem obraz olejny.

Samotny orzeł unosił się nad niebieskimi wodami na szeroko rozłożonych skrzydłach, dziki i wolny.

Wiele lat wcześniej Nick zobaczył plakat przedstawiający ten obraz i potem przez całe miesiące szukał oryginału, aż wreszcie go dopadł i odkupił od artysty. Nie miał pojęcia, czemu musiał go mieć, ale nigdy nie tracił czasu na zbędne analizy. Po prostu obraz przemówił do niego i to wystarczyło. Dopiero gdy zatrzymał się na progu, idąc za dziadkiem i bratem, uderzyło go, że orzeł był doskonale spokojny i pozbawiony lęku.

Tak też i on się czuł przez całe lata. Praktycznie nic nie wzbudzało w nim strachu - aż do ostatniej nocy.

Uwielbiał skoki ze spadochronem, a szczególnie te chwile swobodnego opadania, gdy cieszył

się wolnością właściwą ptakom. Nigdy nie miał duszy na ramieniu, wyskakując z samolotu. Nie bał się ani węży, ani piorunów, ani wspinaczki wysokogórskiej, ani nurkowania na dużą głębokość, ani latania, ani zamknięcia w małej ciasnej przestrzeni. Czasami na myśl o zakupach przebiegały go ciarki, lecz nie dało się tego uznać za prawdziwy strach.

Przypomniał sobie swój pierwszy raz z dziewczyną. Wtedy obawiał się wyłącznie tego, czy się sprawdzi, ale poza tym był tak napalony, że w ogóle nie miał czasu zastanawiać się nad czymkolwiek.

Pamiętał tylko parę sytuacji w swoim życiu, gdy coś go naprawdę zmroziło. Pierwszy raz stało się to wtedy, gdy dowiedział się o śmierci rodziców w katastrofie lotniczej. Usłyszał o tym od dziadka i nagle sparaliżowało go. Nie mógł się ruszyć, nie mógł oddychać.

Drugi raz miał miejsce, gdy pojechał z paczką przyjaciół na narty. Mieli po dziewiętnaście lat, zmieniali się za kółkiem i akurat on prowadził, kiedy samochód się zepsuł, i to w najbardziej idiotycznym miejscu, bo na przejeździe kolejowym. W żaden sposób nie dawało się go znowu zapalić i nagle ktoś zauważył nadjeżdżający pociąg. Nick znowu przeżył wtedy chwile abstrakcyjnie panicznego strachu.

Trzeci raz wydarzył się ostatniej nocy.

To nie miało żadnego sensu! Przecież nie stało się nic, co by przypominało tamte dwa momenty, gdy całe jego życie zawisło nad krawędzią. On tylko pocałował Lucy, nic poza tym. Owszem, każdy następny pocałunek był ze cztery razy bardziej intensywny od poprzedniego, lecz to jeszcze nie powód...

Całował się więc z kobietą, która niewiele dla niego znaczyła. Oczywiście, znaczyła wiele dla firmy jako znakomity pracownik, lecz osobiście Nick nie czuł do niej nic poza szczerą sympatią. Czemu więc po kilku pocałunkach nie mógł spać przez całą noc, ręce mu się trzęsły i odczuwał dławiący lęk?

Naraz przyszła mu do głowy naprawdę przerażająca myśl.

A jeśli w tej ich nowej czekoladzie naprawdę coś było?

- Nick, najpierw nas ciągniesz na ten bilard, a teraz co? - Ostry głos dziadka przywrócił go do rzeczywistości. - Mówimy do ciebie! Słuchasz nas? O czym ty w ogóle myślisz?

- Chyba o niebieskich migdałach - przyznał. - Przepraszam.

Wszedł do jadalni, która była jednocześnie pokojem bilardowym. Właściwie służyła wyłącznie jako pokój bilardowy, ponieważ duże

spotkania biznesowe oraz obiady na większą liczbę osób zawsze miały miejsce w rezydencji dziadka, a gdy Nick kogoś podejmował, to tylko jakąś kobietę, co oznaczało lekką kolację przed kominkiem lub śniadanie w łóżku. Jadalnia jako taka nie była więc mu nigdy do niczego potrzebna i mógł ją spożytkować w zupełnie innym celu.

Kazał wyłożyć ściany ciemną boazerią z sekwoi, zainstalował drewniane okiennice, kupił stół bilardowy. Orson i Clint stali przy nim, trzymając kije i kredę, lecz nadal nie rozmawiając ze sobą. Żadnemu nie przyszło do głowy, by sięgnąć po trójkąt, ustawić bile i rozpocząć grę. Bez pośrednika nie byli w stanie wykonać razem nic konstruktywnego, tylko do kłótni nie potrzebowali pomocy.

- Clint, ustaw bile, dziadku, ty rozbijasz.

Przynajmniej się ruszyli, zaś on mógł na chwilę oderwać się od myśli o Lucy. Spojrzał na starszego brata. Clint już od samego początku wizyty zamanifestował niechęć do dziadka, ponieważ przyjechał motorem, zaś Orson organicznie nie znosił motocykli. W dodatku strój Clinta nie pozwalał zapomnieć o tym nieszczęsnym motorze... Skórzana kurtka i spodnie pewnie kosztowały więcej niż miesięczne wydatki innych ludzi, gdyż Orson nigdy nie przykręcił wnukowi kurka z pieniędzmi, a jedynie odsunął go od

podejmowania decyzji w rodzinnej firmie, przestał z nim rozmawiać i liczyć się z nim w jakikolwiek sposób, odkąd trzynaście lat wcześniej Clint odmówił oświadczenia się kobiecie, która zaszła z nim w ciążę.

Jakbym widział ojca, pomyślał Nick, patrząc na brata. Ta sama muskularna budowa ciała, takie same szerokie bary, grzywa brązowych włosów i zuchwały uśmiech. Wypisz, wymaluj Carson Bernard.

Clint kochał sporty ekstremalne, a ponieważ mógł sobie pozwolić na uprawianie ich, zachowywał się tak, jakby odpowiadała mu rola człowieka, który może się bawić i używać życia bez konieczności podejmowania jakichkolwiek odpowiedzialnych zadań. Jediną sprawą, jaką traktował poważnie, było posiadanie córki. Uwielbiał Gretchen, niestety, nie bardzo potrafił ją wychowywać.

Nick dałby wszystko za to, by wreszcie przemówić tym dwóm do rozumu i pogodzić ich, lecz przy każdej próbie załagodzenia sporu obrywał po łbie od obydwu. Clint już dawno uniósł się honorem, nawet przestał pojawiać się w swoim gabinecie, ponieważ od lat nikt nie zgłaszał się do niego w żadnych istotnych sprawach dotyczących firmy. Nick pragnął zmienić tę sytuację, gdyż jego zdaniem brat nie powinien być aż tak

radykałnie odcięty od wszystkiego, lecz nie mógł naciskać na dziadka, który zastąpił im obu ojca i matkę, poświęcając wnukom tyle czasu, ile tylko zdołał. Niestety, Orson przy wszystkich swoich zaletach miał też kilka wad, a jedną z nich była niezdolność do wybaczenia - szczególnie wtedy, gdy poszło o honor, na którego punkcie dziadek był niezmiernie czuły.

W najczarniejszych snach nie przewidział zapewne, że również przez drugiego wnuka jakaś kobieta będzie w ciąży. I to nawet nie „jakaś” kobieta, lecz doskonale mu znana i wysoko przez niego ceniona. Odkąd Nick wiedział o jej stanie, dręczyło go ogromne poczucie winy wobec dziadka. Nieuchronnie zaczął znów myśleć o Lucy, lecz tym razem zdecydowanie uciął te rozważania w zarodku. Jeśli nie skupi się na tych dwóch, zaraz dojdzie do kolejnego kryzysu.

Dziadek wbił bilę do łuzu.

- Wiem, że nie interesują cię interesy, Clint...
- Następny strzał mu nie wyszedł, więc musiał chwilowo ustąpić pola wnukowi. Czekał przez moment na jakąś ciętą ripostę, która pozwoliłaby wszcząć awanturę, lecz wnuk przemilczał prowokację. - ...ale w obecnej sytuacji powinieneś znać nasze plany.

Clint złożył się do strzału. Bila uderzyła o bandę i jak po sznurku wleciała do łuzu. Piękny

strzał, pomyślał Nick. Bratu właściwie zawsze wszystko się wspaniale udawało - z wyjątkiem odzyskania szacunku dziadka. Podchwycił błysk w oczach Clinta i zrozumiał, że on tylko czekał na rozmowę o sprawach dotyczących firmy. Widać bardzo pragnął wrócić i znowu w niej pracować, stać się z powrotem pełnoprawnym członkiem rodziny.

- Rezultaty waszego eksperymentu są wyjątkowo obiecujące, ta nowa czekolada to naprawdę coś, ale czy nie za wcześnie o tym mówimy? Przecież dopiero planujecie budowę dodatkowych szklami i nowe nasadzenia - rzekł Clint, ujawniając, że jest na bieżąco. Zawsze tak było. - Nowe drzewa zaczną owocować nie wcześniej niż za cztery lata, a upłyną jeszcze cztery kolejne, nim dostarczą potrzebnej ilości ziarna. Na poważne inwestycje dopiero przyjdzie czas.

Nick uprzedził odpowiedź dziadka, próbując zawczasu zapobiec ewentualnej scysji.

- Normalnie przyznałbym ci rację, lecz sytuacja jest wyjątkowa. Musimy mieć opracowaną kompleksową strategię postępowania, ponieważ nasz eksperyment będzie miał dalekosiężne skutki. Jak dotąd niewiele krajów może sobie pozwolić na import ziarna...

- Wiem o tym doskonale - warknął Clint, trochę zjeżony.

- Jeśli jednak uda się produkować znakomitej jakości czekoladę z ziarna własnych kakaowców, które można uprawiać w klimacie umiarkowanym, to uda się też radykalnie obniżyć koszty produkcji. Czekolada stanie się dostępna dla wszystkich na całym świecie. Przeszanie być towarem luksusowym, obecnym jedynie w krajach rozwiniętych. To oznacza podwojenie, potrójnie popytu.

Przyszła kolej Nicka, pochylił się więc nad stołem, złożył do strzału i chociaż potrafiłby wbić bilę do luzy nawet przez sen, celowo chybił. Już dawno się nauczył, że czasami trzeba przegrać, by wygrać, więc chociaż nie było mu to w smak, zamierzał zafundować dziadkowi i bratu wygraną, a wraz z nią poczucie satysfakcji. Ich zadowolenie powinno zaprocentować...

- Jeszcze inna rzecz ulegnie zmianie w związku z naszym eksperymentem. Do tej pory można było dostać ziarno tylko od października do lutego, siedemdziesiąt pięć procent plonów zbiera się właśnie w tym okresie. Jeśli jednak otrzymamy kakaowce zdolne do owocowania w różnych strefach klimatycznych, świeże ziarno będzie dostępne przez większą część roku. Nie dość, że uniezależnimy się od dostawców i dyktowanych przez nich cen, to jeszcze nie będziemy musieli obawiać się, że w kraju eksportera wyda-

rzy się jakaś klęska, która wywinduje ceny. Susza, nieurodzaj, wirus... Nas już to nie będzie dotyczyć.

- Dobra, nie musisz więcej mówić, łapię, w czym rzecz - skwitował z irytacją Clint.

Obaj spojrzeli na dziadka, który właśnie składał się do niemożliwego strzału - w każdym razie niemożliwego dla starego człowieka, który cierpiał na artretyzm.

- Na twoim miejscu nie przerywałbym bratu, tylko wysłuchał do końca. - Orson niespodziewanie zwrócił się wprost do starszego wnuka. - Potrzebujesz zrozumieć, że mówimy o przemianach na ogromną skalę. Jeśli projekt się powiedzie, cała nasza produkcja będzie wymagała opracowania nowego podejścia. Procedury kontroli jakości, kalkulacja cen, marketing... wszystko.

Clint już rozumiał, że faktycznie szykuje się prawdziwa rewolucja.

- A niech mnie! Każdy będzie próbował wykraść sekret produkcji Niebiańskiej Rozkoszy.

- Tak, to jest poważny problem - przytaknął Orson. - W dodatku inne kraje nie będą siedzieć z założonymi rękami i spokojnie się przyglądać, jak my jako jedyjni produkujemy ziarno na tej szerokości geograficznej.

Clint oparł się o ścianę, przegapiając swoją kolejkę.

- Na pewno nie. Wszyscy będą chcieli naszych drzew.

- Trzeba więc pomyśleć o opatentowaniu ich, a to też wymaga czasu i dokładnego ustalenia, jakie patenty chcemy uzyskać, bo trzeba chronić i tę nową odmianę drzew, i ulepszoną konstrukcję szklarni, i całą technologię produkcji Niebiańskiej Rozkoszy.

Nick powściągnął uśmiech, by niczego nie zepsuć. Jego podstęp się udał, ci dwaj wreszcie zaczęli ze sobą rozmawiać!

- To zresztą rodzi kolejny problem - dodał.
- Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy udostępniać komukolwiek nasze osiągnięcia za darmo. Z drugiej jednak strony nie mam ochoty handlować drzewami.

- Ja też nie - zgodził się Clint. - Zajmujemy się produkcją czekolady, a nie prowadzeniem szkółki ogrodniczej.

Nick obawiał się, że dziadek w końcu ostro zareaguje na owo „naszych drzew” i „zajmujemy się”, przypominając starszemu wnukowi, gdzie jest jego miejsce, lecz Orson szczęśliwie skoncentrował się na wykonaniu mistrzowskiego strzału, który miał posłać do łuz jednocześnie trzy bile. Strzał wyszedł jak marzenie.

- Sęk w tym, że projekt będzie wymagał poważnych inwestycji, ponieważ spodziewamy

się ogromnego popytu i nasza produkcja powinna mu w części sprostać. Zanim osiągniemy zyski, poniesiemy wydatki i ryzyko. Sprzedaż sadzonek stanowiłaby dodatkowe źródło dochodu, więc jednak trzeba będzie się do niej przymierzyć.

Clint znowu nie zauważył, że jego koleją.

- Mówicie o stworzeniu imperium - rzekł z namysłem. - W ciągu ostatniej dekady firma osiągnęła znaczącą pozycję na rynku, stając się poważnym producentem, ale to, co proponujecie teraz, jest zakrojone na naprawdę wielką skalę.

- Moim zdaniem „imperium” to za dużo powiedziane - oponował Nick.

- A moim nie. - Orson starannie odstawił kij na miejsce. - W porządku, nasza debata dotyczy czekolady, a nie zaprowadzenia pokoju na świecie, ale jednak dokonamy wielkiej rzeczy, chłopcy!

- Dzięki tobie - przyznał uczciwie Nick. - Ty ty wierzyłeś w te eksperymenty.

- Ty też miałeś w tym swój udział, bo po-błażałeś głupim kaprysom starego człowieka. Ty ty wybrałeś ludzi do pracy przy projekcie. No i ty zatrudniłeś Lucy, która doprowadziła cały eksperyment do szczęśliwego końca. Dobra, ale nie spotkaliśmy się tutaj, by wygłaszać pochwały, tylko po to, żeby obgadać całą sprawę. Zaczniemy rozmawiać z prawnikami dopiero po tym, jak ustalimy wszystko w rodzinnym gronie.

- Mam więc znowu prawo głosu? - spytał Clint. - To faktycznie rewolucja.

Nick poczuł, jak po tej uwadze temperatura w pokoju spada o trzydzieści stopni. Usłyszał psy zeskakujące z foteli, jakby coś je obudziło. Zjawiły się w progu, spojrzały na ludzi, podkuliły ogony i czmychnęły czym prędzej.

Orson odpowiedział wnukowi w sposób, który mógł sugerować, że tylko czekał na pierwszą okazję, by się z nim ściać:

- Nie, nie masz prawa głosu. Nie daję ci go. Spotkaliśmy się wyłącznie ze względu na prośbę twojego brata, który uważał, że powinienś zostać poinformowany o tym, co się dzieje. Powinieneś się cieszyć. Jeśli projekt wypali, będziesz miał jeszcze więcej pieniędzy na te swoje motory, podróże, jachty i inne zabawki.

- Aha... - Clint postąpił krok w stronę dziadka. - Czyli mam prawo o wszystkim wiedzieć, ale nie mam prawa o niczym decydować?

Orson uczynił krok w stronę wnuka.

- Utraciłeś to prawo, gdy udowodniłeś, że nie można na tobie polegać.

- Ile razy jeszcze to od ciebie usłyszę? Popełniłem błąd, przyznaję, ale to było trzynaście lat temu! Ty nigdy nie przespałeś się z kobietą bez zabezpieczenia?

- Nigdy.

- Pewnie przyjemnie być takim świętym - warknął Clint, robiąc jeszcze jeden krok i stając z dziadkiem prawie nos w nos.

Orson nawet nie drgnął, bo świetnie się czuł, stojąc z kimś nos w nos.

- Nie jestem święty, żaden człowiek nie jest. Ale nie można ufać mężczyźnie, który wykazał się brakiem charakteru.

- Na litość Boską, co trzeba zrobić, żebyś wreszcie człowiekowi wybaczył? Czy nie uważasz, że to głupie, przez tyle czasu mieć do mnie urazę za jedną pomyłkę?

- Pomyłkę? Moja prawnuczka nie jest żadną pomyłką! Moja prawnuczka nie powinna być nieślubnym dzieckiem. Powinna nosić nazwisko Bernard!

- Czyli według ciebie byłoby lepiej, gdybym ożenił się z jakąś puszczałką?

- Byłoby lepiej, gdybyś się w ogóle nie zadował z kobietą, którą uważasz za puszczałką. Byłoby na pewno lepiej, gdybyś uważał, komu robisz dziecko.

Nick patrzył, jak jego bratu czerwienieje szyja, a żyły na niej wyraźnie pęcznieją.

- Nie mogę cofnąć tego, co się stało, ale ty, po tylu latach, mógłbyś przestać mi to wyrzucać. Naprawdę nie widzisz, jak dawno to było?

- Widzę. Widzę też, że wcale się nie zmieniłeś.

Szlajasz się po całym świecie, balujesz, bawisz się. Wino, kobiety i śpiew, tylko to ci w głowie. Nigdy nie zrobisz nic odpowiedzialnego, wiesz, że szukasz sobie nowych rozrywek.

- Bo nie dajesz mi szansy, żebym cokolwiek zrobił w firmie.

- Masz przecież swoje biuro - przypomniał mu dziadek.

- Tylko nic w nim nie ma! Żadnej pracy, żadnych zadań, nic.

- Za to są pieniądze - rzekł cicho Orson.
- Dużo pieniędzy. Nie możesz narzekać, że źle cię potraktowałem. Jesteś ustawiony do końca życia, a gdy powiedzie się nasz nowy projekt, będziesz miał więcej, niż mógłbyś sobie kiedykolwiek wymarzyć.

Clint wcisnął kij do stojaka i wyszedł bez słowa. Trzasnęły drzwi frontowe, zaraz potem ryknął silnik Harleya. Nick spojrzął na dziadka. Orson stał przy oknie, odprowadzając odjeżdżającego wnuka zamyślonym wzrokiem swoich starców, mądrych oczu, lecz jego sztywna postawa zdradzała jasno, że nie zamierzał ustąpić ani na jotę ze swego stanowiska.

- Nigdy się nie dogadacie, jak będziecie tak postępować - zauważył Nick.

Dziadek obrócił się do niego.

- Wychowywałem was zupełnie tak samo,

lecz nie wiedzieć czemu ty wyrosłeś na mężczyznę, a on pozostał chłopcem. Wciąż nim będzie, kiedy stuknie mu dziewięćdziesiątka, chyba że wreszcie się ocknie i przestanie mnie obwiniać za swoje problemy.

- Chce, żebyś dał mu szansę.

- Ja też bym tego chciał, ale nie tędy droga. Ja nie mogę mu niczego dać, on musi wziąć sam, inaczej nic z tego nie będzie.

Nick zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

Dziadek wyszedł z pokoju, kierując się do wyjścia, a Nick podążył za nim. Natychmiast przy drzwiach zjawiły się psy.

- Nie rozumiesz, ponieważ tobie nigdy nie przyszłoby do głowy uciekać przez problemem albo wyzwaniem. Ty nie robisz uników, ale twój brat tak. - Włożył płaszcz. - Zadbałem o niego, ale nie dam żadnej władzy w ręce osoby, która mogłaby zagrozić finansom firmy i zniszczyć to, na co pracowaliśmy przez lata. Nawet jeśli ta osoba należy do najbliższej rodziny. Kiedy umrę, możesz to zmienić, ale do tego czasu będzie tak, jak powiedziałem.

Wyszedł, zabierając Baby i Bubu.

Nick został sam, tak zdenerwowany tą rozmową, że zaczął chodzić po całym domu, nie potrafiąc znaleźć sobie miejsca. Zazwyczaj samo

przebywanie w domu poprawiało mu nastrój, ponieważ urządził go zgodnie z własnym zamysłem i taktował jako coś w rodzaju swego dzieła. W rezydencji dziadka było mu zawsze... za ciasno, chciał być u siebie, gdy więc jedna z posesji w najbliższym sąsiedztwie została wystawiona na sprzedaż, Nick kupił ją natychmiast, znalazł dobrego architekta i z jego pomocą przebudował całość, tworząc coś nowego, dostosowanego do jego potrzeb i gustu. Włożył w to sporo wysiłku, miał więc prawo czuć się dumny z rezultatów, lecz tego dnia nic go nie cieszyło.

Pokręcił się po pokoju dziennym. Zajrzał do pokoju, z którego zrobił coś w rodzaju ogromnej szafy i gdzie przechowywał z pietyzmem nie tylko cały swój sprzęt sportowy, ale i ukochane stare dżinsy i dziurawe buty, pamiętające niejedną wyprawę wysokogórską. Liczył na to, że widok porządnie poustawianych i poukładanych rzeczy przywróci mu choć trochę spokoju, ale nic z tego. Udał się więc na górę, gdzie znajdowała się prawdziwa perełka - łazienka pana domu. Zainstalowanie w łazience kominka wymagało przeprojektowania i przekonstruowania całego przewodu kominowego, lecz warto było podjąć ten trud. Nick wyszukał też miedzianą wannę, do której wchodziło się po jednym stopniu, ręczniki grubsze od koca, dyskretne oświetlenie.

Sypialnia też mu się udała. Nie było w niej nic, co w kawalerskiej sypialni byłoby w złym guście - żadnych luster, zmysłowej satyny, nic sugestywnego... Znalazło się tam tylko wielkie łóżko z elegancką w swej prostocie granatową pościelą, również granatowy skórzany fotel, stojący w rogu, oraz wygodne siedzisko przy oknie, z którego roztaczał się widok na okolicę.

Ale tego dnia wszystko to nie miało znaczenia, jego ukochany dom nie oferował mu żadnej pociechy. Wciąż błądząc bez celu po urzędowych z klasą pokojach, Nick zastanawiał się nad przyczyną swojego stanu. Jakby było się nad czym zastanawiać!

Przed oczyma stanęła mu twarz Lucy. Jak dziadek zniesie, że kolejna kobieta urodzi nieślubne dziecko z rodu Bernardów? Jak zniesie fakt, że i drugi wnuk go zawiódł? Nie będzie analizował, na ile sytuacja Nicka różniła się od sytuacji Clinta. Nie będzie pamiętał, co dobrego Nick zrobił. Ten jeden jedyny błąd przesłoni wszystko inne. Do tego nie będzie chodziło o jakąś tam kobietę, lecz o uwielbianą przez dziadka Lucy. Nie ma szans, dziadek nigdy mu nie wybaczy.

Nick właściwie się temu nie dziwił, ponieważ sam sobie nie mógł wybaczyć tego, co zrobił. Na samą myśl o tym, że miałyby zostać ojcem, robiło

mu się zimno. W porządku, przeżył utratę obojga rodziców jako nastolatek. Przeżył odziedziczenie i prowadzenie wielkiej firmy w stanowczo zbyt młodym wieku. Nie bał się niczego, był zahartowany w bojach, świetnie sobie radził ze swoimi sprawami, nie potrzebując niczyjej rady ani pomocy.

A jednak perspektywa ojcostwa wywracała całe jego życie do góry nogami. Do tego przerażała go mała, drobniotka blondynka o wyglądzie dziecka.

Nie wiedział, co ma z nią zrobić.

Nie wiedział, co ma dla niej zrobić.

Nie wiedział, co zrobić, kropka.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Weekend okazał się tak stresujący, że Lucy aż nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie w poniedziałek pójdzie do racy i trochę odzypnie. Problemy osobiste zawsze zostawiała przed bramą firmy, gdyż za bardzo kochała swoją pracę, by je ze sobą zabierać, a poza tym za dużo miała do zrobienia i nie mogła sobie pozwolić na rozpraszanie się.

Wyjątkowo jednak praca jej nie pomogła, chociaż roboty miała trzy razy tyle, co normalnie. By uniknąć kolejnej rozmowy z Nickiem, przekazała mu na piśmie projekt ulepszonej szklarni oraz wyliczenie, ile sadzonek będzie potrzebnych do nowych nasadzeń. Testowała dalej Niebiańską Rozkosz, sprawdzając, w jakiej temperaturze czekolada zaczyna mięknąć, w jakiej się topi,

w jakiej zachodzą nieodwracalne zmiany w smaku pod wpływem zimna. Jej dzieło - jej dziecko - przechodziło pomyślnie wszystkie próby, przerastając wszelkie oczekiwania. Jednocześnie życie osobiste Lucy sięgnęło dna, a potem zaczęło schodzić jeszcze niżej...

We wtorek wieczorem wróciła do domu, zobaczywszy zaś, co się tam dzieje, weszła do łazienki, uprzednio powiesiwszy na drzwiach kartkę z napisem „Nie przeszkadzać!”. Miała dość, dość, dość! Przygotowała sobie kąpiel, wlewając do niej aromatyczny olejek z wiesiołka i melona, rozebrała się, zapaliła dwie pachnące świece, zgasiła światło i zanurzyła się w ciepłej wodzie.

Nie pomogło.

Spojrzała po sobie. Jediną widoczną oznaką ciąży - oprócz tego, że codziennie cierpiała z powodu porannych mdłości - były obrzęknięte i nieco bolące piersi. Chyba po raz pierwszy w życiu będzie musiała kupić stanik z miseczkami B. Ale przede wszystkim musiała wreszcie pomyśleć o tym, co się z nią dzieje i co ma zrobić. Niestety, nie miała dla siebie chwili czasu, ponieważ przez cały czas otaczały ją tabuny ludzi, którzy czegoś od niej chcieli.

Jej tata, chociaż naprawdę kochany, myślał tylko o sobie i o nieszczęściu, jakie go spotkało. Mamę również obchodziły wyłącznie własne

sprawy. Russell zainstalował się u Lucy praktycznie na dobre, czując potrzebę bezpiecznego miejsca, dopóki nie rozezna się w swoich uczuciach i nie odzyska kontroli nad swoim życiem.

Sama była sobie winna. Zawsze pozwalała, by wszyscy przychodzili do niej ze swoimi problemami, wysłuchiwała każdego i w ten sposób przyzwyczaiła całe otoczenie do postrzegania jej jako etatowej pocieszycielki. Odpowiadało im to, ona też nawet to lubiła. Rzecz w tym, że kiedy raz chciała zająć się wyłącznie sobą, nikt jej na to nie pozwalał, bo przecież ona miała być dla innych!

Chyba popełniłam poważny błąd, pomyślała i zanurzyła się z głową pod wodę. Przynajmniej miała dla siebie te dwadzieścia minut w łazience. Nie można pędzić z wywieszonym językiem dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, bo człowiek padnie! Wynurzyła się z powrotem, wytarła twarz dłońmi, sięgnęła po mydło i w tym momencie nagle otworzyły się drzwi. Do łazienki wpadł podmuch chłodnego powietrza oraz jakiś obcy chłopak.

- O, przepraszam - powiedział, zatrzymując się nagle.

- Nie widziałeś, że jest napisane: „Nie przeszkadzać”?

- Widziałem, ale muszę się wysikać, a nie wiem, czy tu jest jakaś inna łazienka.

- Jesteś przyjacielem Russella? - Bardziej stwierdziła, niż spytała.

- Aha. A kim ty jesteś?

Cały czas nie przyszło mu na myśl, by wycofać się z łązienki, w której kąpała się obca kobieta, i stał tak - wysoki, chudy, w okularkach w metalowej oprawce. Owszem, zasłaniała ją krawędź wanny, ale na litość Boską...

- Panią domu. Wyjdź i zamknij drzwi.

- A czy jest tu jakieś inne miejsce, gdzie mogę się wysikać?

- Owszem. Na ulicy. Albo u siebie w domu.

- Dobra, już wychodzę...

Kiedy zamknął drzwi, pomyślała, że chyba jej się to przyśniło, bo doprawdy było już zbyt dziwaczne. Ale w ogóle jej dom stał się dziwnym miejscem, więc nic nie powinno jej zaskakiwać. Do taty i kuzyna wiecznie ktoś przychodził. Jacyś obcy faceci kłębili się po jej domu, opróżniali jej lodówkę, rżnęli w pokera na kuchennym stole, śmiecili na potęgę, zostawiali podniesioną klapę sedesu i... ach, dużo by gadać. Po prostu - mężczyźni.

Lucy desperacko potrzebowała porozmawiać z jakąś kobietą, zwierzyć się, że jest w ciąży, opowiedzieć o dość skomplikowanych uczuciach, jakie żywiła do Nicka, a które nie do końca rozumiała i które ją w sumie przerażały.

Na mamę nie miała co liczyć, Ginger mieszkała za daleko, a sprawa nie nadawała się na telefon, Reiko, choć rozsądna i serdeczna, odpadała, ponieważ również pracowała dla Nicka, zostawała więc tylko Merry. Lucy umówiła się, że wpadnie do niej na kolację w poniedziałek wieczorem. Przyjaźniły się od czasów szkolnych, nie miały przed sobą tajemnic, wspólnie przeżyły noszenie aparatów na zębach, kolejne płomienne miłości i panią Larson od geometrii.

- Tak się cieszę, że cię widzę - powitała ją Merry. - Muszę ci coś powiedzieć, ale nie mogłam tego zrobić przez telefon. Przyjrzyj mi się. Czy nie wydają ci się jakaś inna?

Lucy spojrzała na długie ciemne włosy, gładkie jak satyna. Na czarne oczy. Na pociągnięte karminowym błyszczkiem usta. Na zabójczą figurę.

- Wyglądasz fantastycznie.

- Właśnie. Wreszcie wszystko zrozumiałam. Jestem bipolarna.

- Co proszę?

- Bipolarna. Dwubiegunowa. Wiesz, że zawsze jestem w znakomitym nastroju i cieszę się z życia. To właśnie dlatego. Bo jestem chora.

- Chwileczkę! A nie możesz po prostu być pogodna i szczęśliwa z natury?

- Ale to nie jest normalne być takim szczęs-

liwym. Znasz drugą osobę, której jest tak dobrze jak mnie? Jerry powiedział...

- Jaki znowu Jerry?

- Kolega z pracy. Nie wspominałam ci o nim? Znakomity spec od reklamy. Niektórzy nie potrafią się z nim dogadać, ale ja nigdy nie miałam z tym problemów, od razu się zaprzyjaźniliśmy. No i Jerry wyznał mi, że jest bipolarny, to się kiedyś nazywało depresją maniackalną...

- Co za kit on ci wcisnął?

- Żaden kit! Rozpoznał u mnie symptomy, bo sam na to cierpiał. Świetnie się czuł, śmiał się za trzech, tryskał energią, a potem zniemacka dostawał takiego doła...

- Merry, tobie siada nastrój na jeden dzień w miesiącu, nie dłużej! To nie jest żaden poważny dół ani depresja, podobnie jak twój dobry humor nie jest maniackalny.

- Według mnie to są momenty całkiem poważnego załamania. Jerry też tak twierdzi. Miał dodatkowe leki, więc podzielił się nimi ze mną, poradził, żebym spróbowała.

- A ty odmówiłaś, bo zawsze byłaś bardzo mądrą dziewczyną.

- Lucy, musiałam sprawdzić, czy one czegoś nie zmieniają, no i faktycznie! Poczułam się po nich zupełnie inaczej, czyli faktycznie jestem chora, skoro leki na mnie działają. W tej sytuacji

musiałam umówić się do lekarza, mam wizytę w przyszlą środę...

Lucy dołąła sobie do kąpieli gorącej wody i starała się zrelaksować. Może w ogóle już nie wyjdzie z wanny. Chętnie wyszłaby tylko w jednym celu - mianowicie, by zamordować tego całego Jerry'ego. Jej przyjaciółka nie była psychicznie chora i nie cierpiała na żadną depresję maniackalną, tylko Opatrzność obdarzyła ją niewyczerpanymi zasobami optymizmu, entuzjazmu i energii. I gdyby Meny nie miała tendencji do zbyt bezkrytycznego ufania innym, wszystko byłoby w porządku.

Za to pozostali, mający się za zdrowych, powariowali ewidentnie! Rodzice żarli się przez bite trzydzieści lat, ale nigdy przedtem ojciec nie szukał bezradnie noclegu, trzymając w ręku walizki z dyndającymi z niej skarpetkami, a mama nie rozповідаła na prawo i lewo, jak zafunduje sobie gorący romans, bo to jej dobrze zrobi. Russ miał dotąd co najwyżej problemy z algebrą, na brak powodzenia nie narzekał, dziewczyny za nim latały, co mu się zawsze bardzo podobało, a tu nagle ni z tego, ni z owego przechodził ostry kryzys tożsamości seksualnej, chroniąc się przy tym pod skrzydła Lucy...

I jak ona miała w tym wszystkim znaleźć chwilę na pomyślenie, co z nią samą? Nadal była

w szoku. Na myśl o ciąży ogarniała ją panika i radość, zdenerwowanie i zachwyty. Czuła się tak, jakby wyskoczyła z samolotu na wysokości ładnych paru tysięcy metrów i właśnie spadała, co było zarazem piękne i straszne.

Rozległo się pukanie do drzwi łazienki.

- Bardzo cię lubię, kimkolwiek jesteś, ale idź sobie i daj mi spokój! - zażądała.

- To ja, kochanie - odezwał się Luther.

- Skończyły nam się czipsy...

- Nic mnie to nie obchodzi, tato!

- I przyszedł ktoś do ciebie, powiedziałem, że się kąpiesz, na to on, że zaczeka, zaproponowałem mu partyjkę pokera, nie chciał, poczęstowaliśmy go piwem i staramy się go jakoś zabawić, ale skończyły nam się czipsy...

- Tato, ale kto przyszedł?

- Ma na imię Nick.

Na moment odebrało jej i mowę, i oddech.

- Chyba nie Nick Bernard?

- Nie pytałem o nazwisko, nie chciałem być wścibski. W każdym razie on cię zna.

Wyszarpnęła zatyczkę i podniosła się tak gwałtownie, że zakreśliło jej się w głowie. I w żołądku. Przycisnęła go dłonią.

- Zaraz przyjdę!

Znała tylko jednego Nicka i to musiał być on, ponieważ wciąż nie dokończyli tamtej rozmowy,

a w pracy nie było na to raczej szans, nic dziwnego, że szukał jej w domu. Chwyciła ręcznik, wytarła się z grubszą, pospiesznie umyła zęby. Nie miała problemu, co na siebie włożyć, ponieważ zabrała do łazienki jedynie granatowy dres, zamierzając po kąpieli zaszyć się w swojej sypialni. Nie mogła teraz biegać po korytarzu, owinięta jedynie ręcznikiem, żeby wyjąć z szafy coś innego. Trudno, pokaże mu się w dresie. Na szczęście przynajmniej miała w szafce drugi błyszczak i trochę różu, więc mogła odrobinę poprawić swój wygląd. Włosami się nie przejmowała, wiedząc, że i tak zaraz wyschną.

Wpadła do kuchni, lecz zamarła zaraz za progiem, porażona obrazem nędzy i rozpacz, jaki ukazał się jej oczom. Tata i jakiś jego przyjaciel, doktor Anderson, grali w pokera z Russem i jego przyjacielem, który potrzebował się wysikać. W zlewie piętrzyła się sterta brudnych naczyń. Na lepkich od brudu blatach szafek stały patelnie z zaschniętymi resztkami jedzenia. Z kosza na śmieci aż się wylewało. W powietrzu unosił się zapach pizzy, piwa i dymu. Wszędzie walały się pety i puste puszki. To by wystarczyło, żeby pedant i czyścioszek, jakim była, natychmiast dostał zawału, na szczęście obecność piątej osoby odwróciła jej uwagę od tego pobojuwiska.

Nick. Jej Nick. Jedyny mężczyzna na świecie,

którego nie chciała widywać... I jedyny, którego chciała widywać.

Opierał się o lodówkę, gdyż właściwie nie było już dla niego miejsca w zatłoczonej kuchni. Miał na sobie znoszoną skórzaną kurtkę, czarny T-shirt i dżinsy. Jego oczy spoczęły na Lucy, ledwie weszła.

Zdołała już nałożyć embargo na wspomnienie ostatniego pocałunku w laboratorium, podobnie jak przedtem nałożyła je na wspomnienia ich pierwszego i ostatniego razu. I nagle jedno jego spojrzenie zniweczyło wszystkie jej wysiłki i przypomniła sobie wyraźnie każdy szczegół.

Pamiętała, jak do niego zadzwoniła z wieścią o sukcesie, jak była podekscytowana, jak on przyjechał z szampanem, uradowany, jak skakała i tańczyła dookoła laboratorium, opowiadając o Niebiańskiej Rozkoszy, cały czas myśląc tylko i wyłącznie o czekoladzie, a nie o seksie i nawet nie o mężczyźnie, który tak jej się podobał i który znajdował się tuż obok.

Wśród płasów wpadła w taką euforię, że nagle zaczęła całować Nicka, i to do utraty tchu. Tak, Lucy sama zaczęła i sama sprowokowała dalszy ciąg, on nie był niczemu winien.

Winna była, oczywiście, ta niezwykła czekolada oraz dwa kieliszki szampana na praktycznie pusty żołądek. Tamtego wieczoru Lucy czuła się

bardzo seksowna i szalenie kobieca. Nigdy przedtem nie sądziła, że samo bycie kobietą może dawać jej realną moc, lecz zrozumiała to właśnie wtedy. Przy nim. Płoneła z pragnienia i bez zahamowań domagała się, by natychmiast zostało zaspokojone, gdyż czuła wtedy, że ma prawo żądać wszystkiego - od życia, od mężczyzny, od Nicka właśnie.

Krew aż wrzała jej w żyłach, pulsowała w piersiach, brzuchu, między udami. Lucy całowała więc Nicka bez opamiętania, a potem zdarła z niego ubranie...

Fala wypartych wspomnień napłynęła tak gwałtowną falą, że Lucy nie zdołała jej już odeprzeć. Ściany kuchni zawirowały wokół niej, po czym zapadła ciemność.

Nick miał wrażenie, że trafił do domu wariatów. Przynajmniej zdołał zabrać Lucy do jej sypialni, gdzie było spokojniej, ciszej i czystiej niż w kuchni. Posadził ją na łóżku, sam ukląkł na dywanie i przytrzymał jej głowę między kolanami. Kiedy po jakimś czasie chciała się wyprostować, przytrzymał ją łagodnie, lecz stanowczo.

- Nigdzie się nie spieszymy, posiedź tak jeszcze, póki naprawdę nie dojdiesz do siebie.

- Pewnie myślisz, że taka osoba nie nadaje się do prowadzenia projektu - wymamrotała,

posłusznie dalej trzymając głowę mocno pochyloną do dołu. - Ale to nieprawda. Dam sobie radę.

- Na razie zapomnij o pracy. Nie po to tu przyjechałem. Na razie pooddychaj sobie spokojnie i głęboko przez parę minut, dobrze?

Nie odpowiedziała, ale nie próbowała też gwałtownie zrywać się z łóżka i potem znowu mdleć, więc pozwolił sobie na to, by rozejrzeć się dookoła. Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Otaczał go ocean fioletu, fiołkowa była pościel z falbankami, zasłonki, świeczki i kwiaty. Nie dałoby się uczynić tego pokoju jeszcze bardziej dziewczęcym, nawet gdyby ktoś mocno się postarał.

- Możesz mnie już puścić - mruknęła. - Naprawdę już mi lepiej.

- Nie ma pośpiechu - powtórzył, ponieważ chwilowo nie miał pojęcia, co z nią zrobić.

Przyjechał przeprowadzić poważną i siłą rzeczy stresującą rozmowę, lecz nie spodziewał się całej serii wstrząsów, jakie przeżył w domu Lucy. Najpierw zobaczył w pokoju dziennym swój obraz, a dokładniej reprodukcję oryginału, który z takim trudem odszukał i za który słono zapłacił. Czyli na niej ten orzeł też wywarł wrażenie!

Następnie zszokował go panujący dookoła rozgardiasz i bałagan. Znał Lucy wyłącznie z pracy, gdzie przestrzegała porządku jak bibliotekarz

i była dokładna jak matematyk, tymczasem w jej domu ujrzał niewyobrażalne ilości brudu i śmieci. Co więcej, nie wygenerowała ich ona sama, gdyż nie paliła i z pewnością nie pochłaniała takich ilości piwa.

Nie miał pojęcia, ile osób u niej mieszka, ale wyglądało na to, że te osoby nieźle się urządziły jej kosztem. Był niemal pewien, że nie znała co najmniej jednego z mężczyzn, którzy w kuchni grali w karty. Jej ojciec sprawiał sympatyczne wrażenie, lecz raczej nie przypominał wziętego chirurga. Nieuczesane włosy sterczały mu we wszystkie strony, kolację jadł prosto z patelni, popijając każdy kęs piwem.

W ramach kolejnego szoku, największego ze wszystkich, Lucy zemdlała. Przeraził się jak nigdy. Ba, nadal był przerażony, chociaż już czuła się dużo lepiej. Przekrzywił głowę i starał się jakoś spojrzeć od dołu na jej pochyloną twarz. Łagodnie dotknął miękkich włosów Lucy.

- Porozmawiajmy - zaproponował, bo przecież nie mógł tak w nieskończoność klęczeć na podłodze w jej sypialni. - Co tu się właściwie dzieje? Nie chce mi się wierzyć, że twój dom i twoje życie zawsze tak wyglądają.

Uniosła głowę. Boże, te jej oczy, w których można było utonąć!

- Bo nie wyglądają. Wszystko przez czekoladę.

- Czekaj, po kolei. Kim są ci ludzie w twojej kuchni? Mieszkają u ciebie?

Uniosła dłoń ku skroni, by ją pomasować, co zaniepokoiło Nicka. Bojąc się, by Lucy znów nie zasłała, łagodnie położył ją i przykrył kocem, ponieważ nie czuł się do końca bezpiecznie, gdy leżała przed nim taka bezbronna, pachnąca i słodka. Nic, tylko przytulić... Lepiej nie. Lepiej przykryć kocem i jak najmniej widzieć.

Potem siedział i słuchał nieco pogmatwanej opowieści o tym, jak półtora tygodnia wcześniej w progu pojawił się tata z walizką, jak mama oznajmiła, że tym razem mówi o rozwodzie poważnie, jak przyjaciółka uznała się za chorą psychicznie, chociaż to kompletny nonsens, a kuzyn odkrył ze zgrozą, że chyba jest gejem. Do tego tata, który jeszcze nigdy nie wziął urlopu, nagle zasmakował w wolności i spędzał całe dni, spraszając przyjaciół i grając namiętnie w pokera.

- Do kompletu dzisiaj zadzwonił Eugene,

- Eugene? - powtórzył Nick, któremu już zaczynały się mylić osoby.

- Mój były. Każda kobieta popełnia w życiu jakiś błąd i on jest właśnie tym moim błędem. Aha, pytałeś, kto tu mieszka. Teoretycznie Russell mieszka u siebie, ale tak naprawdę spędza tu całe weekendy, wszystkie wieczory i często nocuje. Tata do domu nie wróci i nie wie, gdzie

mógłby się podziąć, jak nie tu. Normalnie nie miałabym nic przeciw temu, bo od czego ma się rodzinę, ale... ale ja nawet jeszcze nie zapłaciłam za kanapę i chodnik, a już są na nich plamy...

- Rozumiem.

- Bardzo lubię moją nową kanapę i nowy chodnik...

- Rozumiem.

- Ja faktycznie chciałam, żeby moje życie stało się trochę... mniej uporządkowane, nawet podjęłam starania... ale wszystko stanęło na głowie i...

Zrozumiał w pół słowa. Otaczający ją chaos musiał doprowadzać ją do rozpacz.

- Nie możesz ich wyrzucić?

- Jak mogę wyrzucić tatę? -jęknęła i opowiedziała mu wszystko do końca.

Przez lata funkcjonowała wśród rodziny i przyjaciół jako ta, która zawsze wysłucha, pocieszy, doradzi, pomoże, przytuli, okaże zrozumienie... Nie miała nic przeciwko temu, by ją tak postrzegano, nawet lubiła tę rolę pocieszycielki, tyle że ostatnio zwały się na nią wszelkie możliwe problemy całego otoczenia i miała wrażenie, że ona sama dosłownie nie ma już czym oddychać!

Nick siedział w fotelu z fioletowym obiciem w kwiatki i słuchał tych wyznań z narastającą zgrozą. Lucy nigdy się nie żaliła. Nigdy nie

mówiła tyle o sobie. Musiało jej być bardzo ciężko, skoro aż tak się wywnętrzała. Odniósł wrażenie, że był jedyną osobą, która w ciągu ostatnich tygodni miała chęć jej wysłuchać. Ta dziewczyna nawet nie miała komu powiedzieć o swoim awansie! I chyba też nikt poza nim nie miał pojęcia o jej stanie.

- Ale nie jesteś tu po to, żeby słuchać o moich problemach - zreflektowała się nagle. - Skoro do mnie przyjechałeś, musisz być naprawdę zdeterminowany, żeby porozmawiać. Jeśli nie o pracy, to o ciąży, prawda?

- Owszem.

Po spotkaniu z dziadkiem i Clintem nie mógł już dłużej czekać, musiał wiedzieć, co ona myśli i co zamierza. On zgodzi się na wszystko, tylko niech wreszcie wie, na czym stoi. Przyjechał, by wydusić z Lucy konkretną decyzję, choćby zajęło mu to nie wiadomo ile czasu. Gdy jednak zobaczył, co dzieje się u niej w domu, sprawa się skomplikowała. Czy mógł do czegokolwiek przymuszać dziewczynę, która i tak już wzięła na siebie ciężar ponad siły, pomagając wszystkim ze swego najbliższego otoczenia?

Leżała na tej swojej fiołkowej pościeli, a Nick, patrząc na nią, zauważył cienie pod oczami i malujące się na delikatnej twarzy zmęczenie.

W niczym nie przypominała tryskającej energią Lucy, jaką znał.

- Dobrze więc, porozmawiamy. Chcesz wiedzieć, co myślę?

- Tak.

- Uwielbiam dzieci. Maniacko. Chciałabym mieć ich tuzin.

- Tuzin?!

- Albo i więcej. Ale obawiam się, że akurat teraz, w mojej obecnej sytuacji, nie będę dobrą matką.

- Czyli zdecydowałaś się na aborcję?

- Nie, chociaż to mogłoby być najlepsze wyjście. - Przeniosła spojrzenie na sufit, jakby tam szukała odpowiednich słów. Wreszcie wróciła wzrokiem do Nicka. - Nie wiem, co ty sądzisz na ten temat, lecz moim zdaniem dzieci powinny przychodzić na świat chciane i oczekiwane, mieć rodziców, którzy chętnie godzą się na tę dwudziestoczterogodzinną pracę na dobę, jaką jest zajmowanie się potomstwem. Inaczej dziecko nie będzie szczęśliwe.

- Zgadzam się z tobą w zupełności.

- Dlatego z racjonalnego punktu widzenia przychyliłam się do aborcji. Widzisz, ja bardzo późno zdołałam wyrwać się z domu i dopiero od niedawna jestem naprawdę u siebie. Dopiero teraz zaczynam prawdziwe życie. Chciałabym

więc mieć trochę czasu dla samej siebie, a nie przechodzić od opieki nad rodzicami do opieki nad dzieckiem.

- Rozumiem cię.

- To nie jest egoizm - tłumaczyła się, jakby ją skrytykował, a nie poparł. - Ja po prostu potrzebuję się sprawdzić, zrozumieć, kim jestem i na co mnie stać. Muszę poznać samą siebie, a w tym celu potrzebuję pobyć tylko ze sobą. Dotąd nie miałam takiej szansy. Boję się, że jak tego teraz nie zrobię, to potem nie będę dobrą matką, bo jeśli nie posmakuję życia, to co będę miała do przekazania mojemu dziecku? Jaka wiedzę? Jak nauczę go samodzielności?

- Lucy, nie zamierzam polemizować z twoim punktem widzenia. Cokolwiek postanowisz, zgodzę się. Zrobimy to, co będzie najlepsze dla nas obojga.

Popatrzyła na niego jakoś tak mądrze i dojrzałe, że nagle zrozumiał, iż ma przed sobą nie bezradną, nieszczęśliwą dziewczynę, tylko dorosłą kobietę. Kobietę o gładkiej skórze, miękkich włosach i orzechowych oczach. Widział pod kocem zarys jej biodra... I jak on w tych warunkach miał myśleć o dzieciach?

- Wcale cię nie interesuje, co ja myślę, tylko chcesz jak najszybciej rozwiązać problem i mieć go z głowy - stwierdziła spokojnie. - Ale nie winię cię.

- Ty chyba też byś wolała, żeby się jakoś rozwiązał, prawda? - Nie wiedział jeszcze, co powie dalej, lecz naraz słowa znalazły się same: - Lucy, istnieje stare jak świat wyjście z tej sytuacji. Jeśli zechcesz urodzić dziecko, pobierzemy się. Otrzyma moje nazwisko, będzie zabezpieczone finansowo. Oczywiście nie musisz czuć się ze mną związana, możesz odejść, kiedy zechcesz. Chodzi mi o to, żebyś nie musiała dźwigać tego sama, bo odpowiedzialność spada na nas oboje, a ja nie zamierzam się od niej uchylać.

- Nigdy bym cię o to nie posądzała - zapewniła łagodnym tonem. - Orson dostałby zawału, gdyby się dowiedział, że jesteś ojcem, prawda?

- Tak, ale nie dlatego zaproponowałem ci małżeństwo. Innym wyjściem jest oddanie dziecka do adopcji. Trzecie to również adopcja, z tym, że to ja bym je zaadoptował.

- A które z tych rozwiązań przemawia do ciebie najbardziej?

Zawahał się, ale nie dlatego, że nie chciał być z nią szczerzy, przeciwnie, lecz po prostu sam jeszcze nie wiedział, co myśleć.

- Na pewno najmniej odpowiada mi drugie. Wolałbym, żeby moje dziecko nie trafiło gdzieś do obcych ludzi. Nie wiedziałbym, czy jest szczęśliwe, zadbane, otoczone należyłą opieką i to by mnie dręczyło przez resztę życia.

- Z tym się zgadzam, czuję dokładnie to samo. Ja też umierałabym z niepokojem.

- Czyli adopcja odpada. To już mamy ustalone, tak?

Skinęła głową.

- To już posuwa nas trochę do przodu, próbujmy więc zastanawiać się dalej. Tym razem nie pytam, co myślisz, tylko czego byś chciała. Ale tak naprawdę. Zobaczmy, czy to da się zrobić.

Otworzyła usta, jakby miała mu impulsywnie odpowiedzieć, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Przyjęła wygodniejszą pozycję, oparła się o wezgłowie, lepiej otuliła się kocem.

- Jestem przeciwna braniu ślubu. Zdecydowanie przeciwna. Z tego samego powodu, o którym dopiero co mówiłam. Nie zamierzam korzystać z twoich pieniędzy, z twojej opieki, wolę radzić sobie sama, bo jeśli mam być kiedyś dobrą żoną i matką, muszę się najpierw sprawdzić. Na razie nie mam nic do zaoferowania.

- Niczego od ciebie nie oczekuję, mówiłem o małżeństwie innego rodzaju.

- Wiem. O małżeństwie z rozsądku, o pewnym układzie. Gdyby nie ciąża, w ogóle by ci nie przyszło do głowy, żeby się ze mną ożenić. Ani ty do mnie nie pasujesz, ani ja do ciebie, prawda?

Nie mógł zaprzeczyć. Byli jak ogień i woda,

jak dzień i noc, różnili się od siebie tak, że w normalnych warunkach żadne z nich nie brałoby tego drugiego pod uwagę jako kandydata na życiowego partnera.

- Prawda - przytaknął.

Chciał dodać coś jeszcze, by złagodzić brutalność tego stwierdzenia, lecz Lucy już odwróciła głowę. Nie widział wyrazu jej twarzy, gdyż schowała się w cieniu, usłyszał tylko chłodne, wypowiedziane bardzo rozważnym tonem słowa:

- Małżeństwo nie wchodzi więc w rachubę. Musimy jednak wziąć pod uwagę uczucia twojego dziadka, dlatego ja mu nigdy nie powiem, kto jest ojcem. Nie zdradzę tego również nikomu innemu, jeśli chcesz, by to zostało tylko między nami.

- Luce... - Zmieszany, zmierzwił włosy dłonią. W takim momencie Lucy myślała o nim, o jego potrzebach, o jego problemach.

On więc też musiał pomyśleć o jej potrzebach i postąpić według jej życzenia. Dawniej mężczyzna honoru poślubiał kobietę, która zaszła z nim w ciążę, lecz w dwudziestym pierwszym wieku sprawy wyglądały inaczej. Nick był nieodrodnym wnukiem swego dziadka i wierzył w honor, ale rozumiał, że w tym przypadku honor nakazuje zrobić to, co zdecydowała kobieta, a nie to, co mężczyźnie wydaje się słuszne.

- Nie obawiaj się, nic ci nie grozi z mojej strony - ciągnęła. - Nie będę ci się narzucać, nie musisz udawać, że mnie kochasz albo chociaż lubisz. Ani nawet, że mnie pragniesz, bo to był tylko ten jeden szalony moment.

Wstał nagle. Chyba to zapach lawendy i bzu, który ulatniał się ze świec, a może z pościeli, a może z włosów Lucy... Całe powietrze w pokoju zdawało się nim przesycone, Nickowi kręciło się od niego w głowie i było mu trudno oddychać. Musiał wyjść z jej sypialni jak najprędzej.

Dwie minuty później szedł do samochodu, łąpczywie wciągając w płuca zimne powietrze, próbując ochłonać, starając się myśleć jasno.

Sytuacja Lucy okazała się znacznie trudniejsza, niż przypuszczał, wszystko zdawało się ciągnąć ją w dół. I wszyscy. Dlatego jego zadanie -jako człowieka honoru - polegało na tym, by uczynić położenie Lucy bardziej znośnym. Oczywiście, respektując jej potrzeby i jej warunki.

Bóg jednej wiedział, jak to ze sobą pogodzić! Z pewnością istniał jakiś sposób.

Rzeczą Nicka było go znaleźć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Już dobrze, już prawie gotowe. - Lucy przycisnęła dłoń do brzucha.

W ciągu minionych dwóch tygodni zastanawiała się wielokrotnie, czy to ta rozmowa z Nickiem pomogła jej na poranne mdłości. Nie, nie znikły zupełnie, lecz nauczyła się jakoś sobie z nimi radzić. Odkryła na przykład, że zamiast tostów lepiej jeść krakersy, zamiast zwykłego masła masło orzechowe, a w ogóle najlepiej dołożyć do tego jeszcze korniszony.

Jednak tego dnia jej żołądek buntował się wyjątkowo, może z powodu stresu, ponieważ od rana pracowała nad przygotowaniem bardzo ważnych testów. Nie był to co prawda eksperyment naukowy, co jednak nie umniejszało jego rangi. Nikt nie miał prawa wejść do jej laboratorium,

drzwi pozostawały cały czas zamknięte na głucho, tu obowiązywały ostrzejsze reguły bezpieczeństwa niż w Pentagonie, strażnik przy bramie miał przykazane, by pod żadnym pozorem nie wpuszczać jakichkolwiek gości, dopóki pani Fitzhenry na to nie zezwoli.

Kiedy wreszcie nadeszło późne popołudnie, Lucy czuła takie podekscytowanie, że gdyby nie jej nieszczęsny żołądek, chyba skakałaby pod sam sufit. Do udziału w testach zaprosiła grono najbliższych współpracowników, czyli Reiko, Freda i Fritza, a do tego Gretchen i oczywiście Orsona. Wszyscy zgromadzili się wokół centralnego stołu w głównym laboratorium, czekając, aż przygotowania dobiegną końca.

- Dziękuję wszystkim za obecność i cierpliwość - rzekła Lucy. - Zaraz przyniosę ostatnie dwa dania i będziemy mogli zaczynać.

Kuchnia w jej laboratorium wyglądała jak scenografia do filmu o jakimś szaleńcu, a może nawet o końcu świata. Każdy centymetr blatu zajmowały miski, półmiski, talerze, filiżanki, patery, łyżki, łyżeczki, mieszadła... Oczywiście, wszystkie brudne. Składniki eksperymentu, czyli czekolada, jajka, mąka, cukier, brandy i ser mascarpone znajdowały się nie tylko w przygotowanych daniach, ale i na twarzy Lucy, w jej włosach, na czerwonym T-shircie, na dżinsach,

na białych tenisówkach, które białe były już tylko z nazwy.

Cóż, kobieta nie mogła się oszczędzać, gdy chodziło o dobro nauki.

Sam eksperyment przeprowadzała oczywiście w warunkach idealnej czystości. Wielki stół przykryła nowiuteńkim śnieżnobiałym obrusem, przez jego środek rozciągnęła czerwoną wstążkę, która dzieliła go dokładnie na pół. Każdą połowę blatu zastawiła identycznie: lody czekoladowe, rożki czekoladowe z brzoskwiniowym nadzieniem i tarta czekoladowa z jagodami. Na przyniesienie czekała jeszcze rolada, którą Lucy właśnie przybierała połówkami szklarniowych truskawek. Stojący przy stole Fritz i Fred coraz bardziej niecierpliwie łykali ślinkę, Gretchen i Reiko ledwie trzymały ręce przy sobie i tylko jeden Orson zachowywał zupełny spokój, czekając, aż Lucy zakończy przygotowania.

Współpracownicy wiedzieli już, że eksperyment Lucy powiódł się nadspodziewanie, a właściciele firmy postanowili rozbudować szklarnie, by wdrożyć nowy projekt na szerszą skalę. Właśnie dlatego wymyśliła ten test, który był jednocześnie prezentacją nowego wyrobu.

Postawiła na stole dwie identycznie wyglądające rolady i z ulgą opadła na krzesło. Żołądek dawał jej nieźle do wiwatu, ręce trzęsły się ze zmęczenia, lecz twarz promieniała.

- Dobrze, możecie zaczynać, tylko jeszcze najpierw przypomnę zasady. Tak, znacie je doskonale, lecz ponieważ przeprowadzamy poważny test, zrobimy wszystko, jak należy. Każde z was próbuje tylko jednego dania naraz, porównując je z takim samym daniem z drugiej połowy stołu. Wszystko jedno, od czego zaczniecie, ważne jest tylko, by nie mieszać dań, lecz testować je po kolei. Waszym zadaniem jest porównanie najlepszej czekolady Bernarda z najnowszą czekoladą, która jeszcze nie wyszła poza stadium eksperymentalne, Ale uwaga! Nie chodzi tylko o to, byście powiedzieli, która jest lepsza, ale też dlaczego. Zależy mi na wszystkich spostrzeżeniach, jakie wam przyjdą na myśl, dotyczących smaku, aromatu, zestawienia z innymi składnikami...

Aż podskoczyła, gdy rozległo się pukanie do drzwi. W całym budynku nie było w tym momencie nikogo oprócz ich szóstki. Gdyby ktokolwiek próbował dostać się do środka, ochrona zatrzymałaby go natychmiast.

Drzwi otworzyły się i do laboratorium bezceremonialnie wparadował Nick. Owszem, był właścicielem, więc miał prawo pojawiać się, gdzie chciał, lecz Lucy wolałaby, żeby tego nie robił. Jej serce wykonało dziwną woltę, a potem zaczęło bić jak na alarm, czemu zresztą nie

dziwiła się wcale, gdyż w czarnej sportowej bluzie i znoszonych džinsach Nick wyglądał nieodparcie seksownie.

Przez dwa tygodnie udawało jej się go unikać, załatwiając wszystkie sprawy za pomocą wysyłania e-maili. Ostatnia rozmowa z nim zdecydowanie pomogła jej uświadomić sobie różne rzeczy, dzięki czemu trochę uspokoiła Lucy, zarazem jednak podsyciła jej uczucie do Nicka. Okazał się taki szlachetny i prawy, nie zamierzał uchylać się od odpowiedzialności, był gotów uczynić wszystko, o co Lucy by go poprosiła. Proszę, a podobno rycerze wyginęli razem ze smokami! I jak ona miała pozostać obojętna na takie zalety?

Skoro jednak okazał się aż tak wspaniały, to tym bardziej nie mogła mu się narzucać ze swoimi sprawami, zwłaszcza że tak naprawdę nie był niczemu winien. To przecież ona zaszalała i wpędziła ich w kłopoty, musiała więc zmniejszyć jego dyskomfort i swoim postępowaniem dać mu do zrozumienia, że wzięła na siebie całą odpowiedzialność. Unikała go konsekwentnie, usilnie udając, że on nic dla niej nie znaczy.

Gdyby jeszcze to ostatnie mogło być prawdą! Na jego widok serce zaczynało wyprawiać najdziwsze brewerie - co oczywiście nie oznaczało, że Lucy nie zauważyła, jak Nickowi załśniły oczy na widok suto zastawionego stołu, i jak

ukradkiem zwinął z jakiegoś blatu łyżeczkę, gdy zbliżał się do ich szóstki.

Zerwała się z krzesła, zagroziła Nickowi drogę i wyrwała mu łyżeczkę z ręki.

- To nie dla ciebie.

Gretchen zachichotała.

- Przecież wujek jest tu szefem!

- Wiem, kochanie, ale chodzi o dobro eksperymentu, a twój wujek nie zawsze potrafi się zachować. - Wycelowała łyżeczkę w Nicka, który zajął miejsce obok dziadka. - Jeśli jeszcze raz spróbujesz się do czegoś dobrać, każe ci wyjść na korytarz.

- Aż do dzwonka na przerwę? - spytała ze śmiechem Reiko.

Kąciki ust Orsona zadrgały wyraźnie.

- Słusznie, Lucy, pogoń go.

- Ja tylko chciałem pomóc - oznajmił z godnością Nick.

- Chciałeś sobie połasować, chociaż to mogło zepsuć cały test. Siedź spokojnie i daj innym działać. My się tu zajmujemy poważnymi rzeczami. Proszę, zaczynajcie.

Zapadła cisza, Orson sięgnął po ukrojony kawałek tarty, po nim to samo zrobili inni. Lucy spostrzegła nagle, jak Nick próbuje ukradkiem wsadzić palec w czekoladową masę.

- Nick! - rzuciła ostro.

- Przecież nic nie mówię, chciałem tylko spróbować.

- Zrozum, ponieważ jesteś szefem, inni mogą zasugerować się twoją reakcją, a wtedy cały test na nic.

- Ale mojego dziadka zaprosiłaś do udziału w eksperymencie - wytknął jej. - Nie obawiasz się wpływu jego reakcji?

- Nie, bo on niczego po sobie nie okaże, wiedząc, jakie to ważne.

- Kobieta bez serca - skomentował Nick.

Gretchen ponownie zachichotała cichutko, przez co Lucy było trudno utrzymać się w roli poważnej i surowej pani eksperymentator.

- Każe pani wujkowi iść na korytarz? - spytała Gretchen, przewyciężając nieśmiałość.

- Jeszcze nie, ale niedługo się doigra...

- Ojej, przecież miała pani go wysłać!

- Tak, ale to za mała kara, chyba będę musiała obmyślić jakąś większą. Dobrze, co sądzicie o tarcie? Smakuje wam? Zauważacie jakąś różnicę między jedną a drugą?

- Oczywiście żartujesz - powiedział cicho Orson, patrząc na nią w szczególny sposób.

- Nie, pytam poważnie, która bardziej wam odpowiada.

- Doskonale wiesz, która.

Pozostała czwórka, która spróbowała tarty,

również miała dziwny wzrok, a na ich twarzach malował się wyraz zdumiewającej powagi. Przez długą chwilę nikt nic nie mówił, wreszcie Reiko odezwała się pierwsza:

- Każdy z nas wie, jak smakuje czekolada. Ale ta po lewej stronie stołu... Ona przechodzi wszelkie oczekiwania, Luce. Trudno znaleźć słowa, by to opisać. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to: „O, mój Boże!”.

Fritz i Fred jednocześnie skinęli głowami.

- W życiu nie próbowałem czegoś podobnego - oznajmił Fred. - Nie tylko u nas. W ogóle.

- Niełatwo byłoby znaleźć bardziej wybredną grupę eksperymentatorów niż nasza, gdy chodzi o czekoladę - stwierdził Orson. - A jednak... A jednak nawet my jesteśmy pod ogromnym wrażeniem.

- Na całym świecie nie ma nic pyszniejszego! - pisnęła Gretchen, na której buzi malował się wyraz absolutnej błogości.

Lucy odetchnęła z ulgą. Owszem, wierzyła w swoje dzieło, lecz czasami miała wątpliwości, czy aby go trochę nie przeceniała. Opinia osób, które naprawdę znały się na czekoladzie i przeprowadzały podobne testy niezliczoną ilość razy - co dotyczyło również Gretchen, najmłodszej osoby z rodu Bernardów, chociaż nie nosiła tego nazwiska - stanowiła ostateczne potwierdzenie jej sukcesu.

Teraz już i Nick mógł próbować wszystkiego do woli, a chociaż nic nie powiedział, jego mina mówiła sama za siebie. Lucy bacznie śledziła reakcje na kolejne dania, gdyż nie tylko wyrażane opinie miały ogromne znaczenie, ale również każdy najdrobniejszy gest, każdy ślad emocji na twarzy, każdy błysk w oku - wszystko!

- Spodziewaliśmy się jakichś dobrych efektów, ale żeby aż takich... - wymruczała Reiko, delektując się lodami. - Teraz rozumiem, czemu budowa nowych szklarni ruszyła tak szybko.

- Rzucimy Francuzów na kolana - rzekł z rozmarzeniem Orson.

Dokończono testu, przy czym po daniach zrobionych z najnowszej czekolady nie zostało śladu. Gretchen poszła zabrać psy na spacer, a współpracownicy rozeszli się do swoich zajęć, zostawiając Lucy sprzątanie, gdyż przy eksperymentach z produktami objętymi najściślejszą tajemnicą nie korzystano z pomocy ekip sprzątających. Do obowiązków eksperymentatora należało dopilnowanie, by wszystko zostało idealnie wyczyszczone i ani odrobina testowanej czekolady nie dostała się w niepowołane ręce.

Lucy zebrała ze stołu część naczyń i podeszła do jednej z wielkich, supernowoczesnych zmywarek, w które wyposażono laboratorium. Spodziewała

się, że w tym czasie Bernardo wie też wyją, oni jednak zostali.

- Przyszedłem, ponieważ mam ci coś ważnego do powiedzenia - zaczął Nick. - Od poniedziałku będzie tu nowy pracownik.

Odwróciła się ku niemu ze zdumieniem.

- Zaczęłam już rozmowy z kandydatami do pracy w szklarniach, ale przecież jest jeszcze za wcześnie, by ich zatrudnić.

Nick podniósł się również, zebrał ze stołu pozostałe naczynia, podszedł do zmywarki. Lucy wolałaby nie mieć go tak blisko przy sobie. Widziała ciemny ślad zarostu na jego policzkach i podejrzany błysk w oku, jakby coś knuł.

- Zgadza się, ale nie chodzi o kogoś do szklarni. Normalnie nie wchodziłbym w twoje kompetencje i nie zatrudniałbym ci ludzi, lecz w tym przypadku musiałem tak zrobić, bo gdybym spytał cię o zdanie, nie zgodziłabyś się, a tak przynajmniej będziesz musiała to wypróbować.

- Na co bym się nie zgodziła i co będę musiała wypróbować? - spytała podejrzliwie.

Zerknęła na Orsona, który nadal siedział przy stole i przyglądał im się. Dałaby głowę, że wnuk wtajemniczył go w swój pomysł, cokolwiek to było.

- Będziesz miała coraz więcej pracy przy nowym projekcie, więc potrzebny ci ktoś do

pomocy. Oczywiście kluczowe działania pozostają wyłącznie w twojej gestii, nikt nie zamierza ci tego odbierać, ale część rzeczy może wykonywać za ciebie kto inny. Od poniedziałku będziesz miała asystenta.

- Co?

- Nazywa się Greger Kristofer, przyjmij też na pół etatu jego siostrę Gretę. To szwedzcy imigranci, mają znakomite referencje. Używaj Gregera szczególnie do najcięższych prac, kawał chłopa z niego, sama nic nie dźwigaj i nie nadwierzaj się. Będzie również odpowiedzialny za bezpieczeństwo całego projektu, zatrudnieni przez ciebie strażnicy będą podlegać właśnie jemu. Aha, i będzie mi składał szczegółowe raporty.

Odwróciła się do Orsona, mając nadzieję, że on stanie po jej stronie.

- Nie mogę się zgodzić na coś podobnego i pan o tym wie...

Nick stanął między nimi.

- Wiem, zachowuję się teraz jak dyktator, ale to dla twojego dobra, inaczej zaharujesz się na śmierć, a my nie możemy sobie pozwolić na utratę ciebie. To nie są żadne żarty, mówię najzupełniej poważnie. Ktoś musi cię pilnować, bo masz tendencję do brania na siebie za dużo.

- Kiedy przestanę dawać sobie radę, to powiem. Naprawdę.

- Nie, nie powiesz.
 - Powiem!
 - Nie, ponieważ nigdy tego nie robisz. Dopiero od strażników dowiedzieliśmy się, jak długo tu siedzisz. Na przykład dzisiaj zjawiłaś się jeszcze przed świtem! Twój współpracownicy też są zdania, że jak tak dalej pójdzie, to po prostu padniesz. Trudno, potrzebujemy kogoś, kto będzie cię pilnował i w razie potrzeby donosił na ciebie.

Na szczęście nie wspomniał nic o jej stanie, lecz wiedziała, czym była podyktowana jego troska i nietypowe jak na niego szarogęszenie się.

- A jeśli ten cały... jak mu tam?... Greger nie przypadnie mi do gustu? Jeśli okaże się kompletnym bęcwałem?

- Wtedy poszukamy kogoś innego. Na razie proszę cię tylko, byś dała mu szansę.

Zgrabnie wyminęła Nicka i zwróciła się do Orsona.

- To naprawdę konieczne, proszę pana?

Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby ją doskonale rozumiał, ale ewidentnie był po stronie wnuka.

- Potrzebna nam dodatkowa ochrona, przecież doskonale to rozumiesz - rzekł zdecydowanym tonem.

- Tak, ale potrzebuje jej nowy projekt, a nie ja sama!

- Potrzebujesz jej co najmniej w takim samym stopniu - oznajmił stanowczo Nick, ładując sztucce do zmywarki i włączając program. - Greger nie będzie ci w niczym przeszkadzał, traktuj go jak siłę roboczą, niech dźwiga, zmywa, biega na posyłki.

Kiedy łypnęła na niego ponuro, wzniósł oczy ku górze.

- Lucy, dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzkości nie miałyby nic przeciw posiadaniu pomocnika! Nie traktuj tego jako kary.

- Przynajmniej pozwól, żebym sama wyszukała sobie asystenta.

- Wtedy będzie lojalny przede wszystkim wobec ciebie, a nie o to mi chodzi. Niech ma świadomość, że to ja mu płacę, bo wtedy będzie robił dokładnie to, co mu powiem. Przynajmniej on, skoro ty nie chcesz - dodał cierpko.

Nim Lucy zdążyła coś powiedzieć, do laboratorium zajrzała Gretchen.

- Wujku, jedziesz może do domu? Bo jak jedziesz, to zabiorę się z tobą. Baby i Bubu też.

- Już idę, szkrabie. A ty... - Wycelował palec w Lucy, prosto w jej nos. Miał wielkie szczęście, że mu go nie odgryzła. - ...nie próbuj przekabacić mojego dziadka na swoją stronę, korzystając z mojej nieobecności.

- Hej, to on jest moim szefem, nie ty. Mam prawo z nim rozmawiać.

- Tak, ale nad projektem dotyczącym Niebiańskiej Rozkoszy ty i ja pracujemy razem i wspólnie ponosimy za niego odpowiedzialność. W tej jednej sprawie jesteśmy zrośnięci jak bliźnięta syjamskie, nie zapominaj. Zresztą to mój dziadek podjął taką decyzję - poinformował ją uprzejmie, po czym wyszedł.

Lucy przyłapała się na tym, że stoi i patrzy na drzwi, za którymi zniknął, gdy Orson wstał i podszedł do niej.

- Usiądź, Lucy, pogadamy.

- Kiedy ja muszę posprzątać, w moim laboratorium zostawiłam taki bałagan...

- Usiądź - powtórzył łagodnie.

Usiadła, gdyż zrobiło jej się głupio, że w obecności Orsona Bernarda zachowuje się tak emocjonalnie. Zdobyła sobie jego szacunek, szkoda byłoby go utracić przez to, że kontakt z Nickiem kompletnie wytrącał ją z równowagi. Zaczęła przeproszać za swoje zachowanie, lecz pracodawca przerwał jej, mówiąc cicho:

- Mam dla ciebie jeszcze kilka niespodzianek, obawiam się.

- Jak to? To jeszcze nie wszystko?

- Nie. Najpierw jednak muszę powiedzieć, że

jakość twojej czekolady przechodzi najśmielsze wyobrażenia.

Zarumieniła się po same uszy.

- Pańskiej czekolady - poprawiła.

- Pomysł był mój, fakt, w dodatku od strony prawnej faktycznie wszystkie produkty opracowane w firmie stanowią jej własność. Mimo to obaj z Nickiem zgadzamy się, że należy ci się coś więcej niż awans i wyższe wynagrodzenie. Otrzymasz procent od dochodów ze sprzedaży Niebiańskiej Rozkoszy.

Kiedy wymienił, ile to będzie procent, Lucy opadła szczęka. Do samej ziemi.

- Nie musi pan tego robić!

Zmarszczki w kącikach jego oczu pogłębiły się jeszcze bardziej.

- Przez te wszystkie lata wielokrotnie zdarzało mi się spierać z pracownikiem o wysokość należnego mu wynagrodzenia, jednak pierwszy raz przychodzi mi przekonywać kogoś, by chciał wziąć ode mnie pieniądze.

- Ale ja przecież już dostałam podwyżkę...

- Podwyżka stanowi wynagrodzenie za większą odpowiedzialność i większą ilość pracy, jakie wiążą się z twoim awansem, więc to zupełnie inna sprawa niż opracowanie nowej czekolady, której walory wydają się graniczyć z cudem. Byłem pod wrażeniem, gdy tylko spróbowałem jej po raz

pierwszy, ale teraz, gdy mogłem ją porównać z naszą najlepszą czekoladą... Po prostu brak mi słów!

- Rozumiem pana. Ja sama też jeszcze nie mogę w to uwierzyć i szukam jakiejś jej wady. Ale wciąż nie znajduję...

Orson skinął głową, po czym kontynuował:

- Czyli tę sprawę mamy omówioną, teraz następna. Obserwuję od początku, jak spieracie się z moim wnukiem i podoba mi się to, gdyż wasze konflikty uważam za konstruktywne, ponieważ zgadzacie się co do sprawy podstawowej, jaką jest dobro firmy. Oboje też rozumiecie konieczność zachowania bezpieczeństwa. Dlatego popieram ideę Nicka, by dbać nie tylko o sam projekt, ale i o ciebie, lecz gdybym go nie powstrzymał, wynająłby uzbrojonego ochroniarza, który czuwałby nad każdym twoim krokiem.

- Może boi się, że nastąpiłyby przestoje w pracy, gdyby coś mi się...

- Nie, tu nie chodzi o pracę, lecz o ciebie.

Zajrzał jej głęboko w oczy. Lucy nie miała oporów przed rozminięciem się z prawdą, gdy zachodziła taka potrzeba, lecz okłamywanie Orsona - szlachetnego, wspaniałego, uczciwego aż do bólu - wydawało jej się równie nieetyczne... jak okłamywanie księdza.

- Chcę znać prawdę - oznajmił dobitnie.

- Jesteś chora, prawda? Tylko taką odpowiedź znajduję, bo jedynie ona tłumaczy, czemu Nick tak się o ciebie martwi, czemu nie chce, byś wykonywała jakąkolwiek fizyczną pracę...

- Nie jestem chora - zapewniła, lecz nie udało jej się przekonać swego rozmówcy.

- Lucy, zapomnij, że dla mnie pracujesz, a zamiast tego pomyśl, że rozmawiasz z kimś, komu twoje dobro leży na sercu. Coś się dzieje, coś niedobrego. Nie trzeba mnie oszczędzać i chronić przed problemami, umiem sobie z nimi radzić. W dodatku mogę ci pomóc. Powiedz mi, co z tobą. Cokolwiek to jest, na cokolwiek chorujesz, muszę wiedzieć!

Lucy nie zamierzała się do niczego przyznawać, lecz te niebieskie oczy patrzyły na nią tak intensywnie i z taką troską, że nie mogła pozwolić, by zdręczał się najgorszymi podejrzeniami. Umiała wiele ukryć przed swoimi rodzicami i przed ojcem swego dziecka, lecz nie przed tym starym człowiekiem.

- Nie ma powodu do niepokoju, przysięgam. To tylko ciąża.

Na jego twarzy odbiło się zdumienie, widać spodziewał się wszystkiego, lecz nie tego. Milczał przez chwilę, wreszcie rzekł ostrożnie:

- Kto to jest? I czy zamierza się z tobą ożenić?
Lucy natychmiast pożałowała swojej szczerości.

Orson był beznadziejnie staroświecki pod tym względem, w jego oczach nieślubne dziecko oznaczało prawdziwy dramat. Oczywiście, prędzej czy później i tak by się zorientował, widząc jej powiększający się brzuch, ale do tej pory zdołałaby wymyślić, co powinna odpowiadać na pytania otoczenia.

- Ja sama jeszcze nie wiem, co zrobimy. Na razie wciąż próbuję ustalić z ojcem dziecka najlepsze rozwiązanie. - Postanowiła zagadać Orsona, więc ciągnęła: - Ma pan rację, Nick faktycznie zaczął się o mnie szczególnie troszczyć, ponieważ on wie o wszystkim. Któregoś razu był świadkiem, jak miałam nudności i domyślił się. To dlatego tak mu zależało na dodatkowej pomocy dla mnie, gdyż prace nad projektem ucierpiałyby, gdyby...

- Do diabła z projektem! O ciebie się zatroszczył, nie o projekt, a ja go całkowicie popieram. Wychowałem go na Bernarda, człowieka honoru i nie zawiodłem się na nim. Żaden z nas nie opuści kobiety w potrzebie. W ogóle trzeba być skończonym draniem, by wykorzystać młodą...

Lucy przerwała mu szybko:

- Nie zawsze mężczyzna ponosi odpowiedzialność.

- Pierdoły! Zawsze.

Lucy oniemiała. Orson do tej pory wyrażał się

parlamentarnie, przynajmniej w jej obecności. Nagle pojęła z przeraźliwą wprost jasnością, na co ich wszystkich naraziła przez ten swój jeden szalony wybryk. Nie tylko ona mogła utracić szacunek Orsona, ale jego wnuk również! Nick był oczkiem w głowie swego dziadka, przedmiotem jego słusznej dumy, więc jakiegokolwiek rozczarowanie musiałyby się okazać niezmiernie bolesne, a co dopiero w tak ważnej sprawie, która stanowiła coś w rodzaju miernika honoru. Poczowała się strasznie. Nigdy, przenigdy nie chciała postawić Nicka w podobnej sytuacji! Co ona najlepszego narobiła?

Na moment mocno zamknęła oczy, z całej siły starając się powstrzymać łzy.

- Nie zamierzałam o tym mówić ani panu, ani nikomu innemu. Proszę nie myśleć, że moja sytuacja w jakikolwiek sposób wpłynie na pracę. Nie wpłynie, zapewniam pana! Projekt zostanie przeprowadzony tak, jakby nie...

- Nikt nie odbiera ci projektu, moja droga. W ogóle mi to przez myśl nie przeszło. Uważam tylko, że powinnaś była mi powiedzieć.

- Chciałam zatrzymać to dla siebie, dopóki nie będę pewna, co mam zrobić. Oczywiście za jakiś czas ciąża zacznie być widoczna... - Dopiero gdy usłyszała te słowa wypowiedziane na głos, zrozumiała, że nie wie, kiedy definitywnie

wykluczyła możliwość aborcji. - ...miałam jednak nadzieję, że do tego czasu wiele rzeczy się wyklaruje.

Skinał głową.

- Rozumiem. Ja też mam nadzieję, że do tej pory zdążysz wziąć ślub. Gdyby jednak sprawy nie ułożyły się po twojej myśli, nie czuj się opuszczona. Na mnie i na Nicka zawsze możesz liczyć, my nie zostawimy cię w potrzebie. Nie wahaj się o nic prosić. Może chcesz mi powiedzieć, kim jest ten drań, a ja...

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie, po czym dodała: - W dzisiejszych czasach nie trzeba się pobierać tylko z tego powodu, że ludzie spodziewają się dziecka.

- I wielka szkoda! Ale nie obawiaj się, nie zamierzam prawić ci kazań. Znam cię od lat i wiem, jak wartościowa z siebie dziewczyna. Ten, kto wykorzystał twoją ufność, zasługuje na to, żeby mu zdrowo...

- Proszę pana!

- Dobrze, już dobrze... Zachowam moje staroświeckie poglądy dla siebie. Pamiętaj jednak, że jestem po twojej stronie i możesz zawsze liczyć na moją pomoc.

- Dziękuję.

Wstał, lecz nim wyszedł, rzekł jeszcze:

- Oczywiście nikt się ode mnie o niczym nie

domie. Daj mi jednak znać, gdy uda ci się już coś ustalić w tej sprawie. Aha, będziesz od teraz pracować w bardziej elastycznym wymiarze godzin. Porozmawiaj o tym z Nickiem.

Gdy wyszedł, zaczęła dalej sprzątać, lecz nagle przyłapała się na tym, że stoi i wpatruje się w przestrzeń, ze zgrozą myśląc o tym, co by się stało, gdyby Orson odkrył, kto jest ojcem jej dziecka. Dla Nicka oznaczałoby to prawdziwą katastrofę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nick skręcił w wysadzaną drzewami drogę, która prowadziła do jego domu. Gałęzie zaczęły wypuszczać pierwsze listki, więc miał nad głową delikatny zielony baldachim. Na rosnących po obu stronach rododendronach i azaliach pojawiły się czerwone pączki, wieczorne powietrze było przesycone wiosennymi zapachami, a wszystko razem coraz bardziej poprawiało Nickowi nastrój po ciężkim, stresującym dniu.

Lucy oczywiście nie miała najmniejszej ochoty zatrudniać asystenta, lecz i tak poszło bardziej gładko, niż Nick zakładał. Na wszelki wypadek nie wtajemniczył jej w zakres obowiązków Grety, zaś o omówienie z Lucy kwestii finansowych poprosił dziadka. Dzięki temu ona nigdy się nie

dowie, że to on wystąpił z propozycją, by Bernardowie podzielili się z nią częścią zysków.

Tak, nareszcie udało mu się znaleźć sposoby, by jej pomóc zarówno w pracy, jak i w domu. W dodatku zabezpieczenie finansowe pozwoli jej swobodniej decydować o przyszłości swojej i dziecka. Owszem, niby wspominała o aborcji, lecz on od samego początku nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że Lucy nigdy by tego nie zrobiła. Nie znał jej na tyle, by wiedzieć, w co ona wierzy i jakie są jej przekonania, ale trudno by mu było znaleźć osobę o większym sercu i bardziej przywiązaną do swoich krewnych. Ona już kochała to dziecko, nawet jeśli jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy.

Gdyby nie była taka uparta! Właściwie należałoby ją upić i związać, nim człowiek zaczynał coś dla niej robić, bo tylko to dawało gwarancję, że Lucy nie odrzuci pomocy... No nic, przynajmniej udało mu się uczynić pierwszy krok. W następnej kolejności chyba wreszcie będzie musiał zmierzyć się z pytaniem, jak on czuje się w roli przyszłego ojca, ale to mogło poczekać. Żelazna zasada: jeden problem naraz. Tego dnia zdziałał już wystarczająco dużo, teraz marzył już tylko o zimnym piwie, wołowinie z grilla i gorącej kąpieli...

Wziął ostatni zakręt i ujrzał zaparkowany pod

swoim domem samochód - nisko zawieszony, szkarłatny jak piekielne płomienie i seksowny jak kobieta, do której należał. Nie dało się pomylić wozu Linnie z żadnym innym.

Stała przed wejściem, elegancka w każdym calu - od starannie wymodelowanych jasnych włosów po czubki szpilek. W odróżnieniu od Lucy nigdy nie pokazywała się bez makijażu, jej strój był zawsze przemyślany. Tym razem miała na sobie lekki trenz, niby niedbale przewiązany paskiem, co zapewne miało sugerować, że wyszła na wiosenny spacer. Linnie i spacer? Paradne! Miała ze trzysta par pantofli, jednak żadne nie nadawały się do chodzenia...

- Cześć - powiedział, wysiadając z samochodu.

- Najwyższa pora na powrót do domu, przy stojniaku. Stanowczo za długo pracujesz.

- Tylko czasami. Jeśli wysłałaś mi wiadomość, zapowiadając swoją wizytę, to nie dostałem jej.

- Nie, wpadłam bez uprzedzenia, bo stęskniłam się za tobą. Pomyślałam, że może zrobię ci obiad albo coś...

Jej wzrok mówił wyraźnie, co przez to rozumiała. Ruszyła w kierunku Nicka powolnym, zmysłowym krokiem, dającym przedsmak owego „czegoś”, lecz wyraz jego twarzy kazał jej się

zatrzymać. Linnie nigdy nie zaryzykowałyby porażki.

- Nie cieszysz się na mój widok? - spytała, przechylając głowę na bok.

Właściwie nie brzmiało to jak pytanie, gdyż doświadczenie nauczyło Linnie, że jeszcze nie narodził się taki mężczyzna, któremu jej widok nie sprawiłby przyjemności.

Włączając w to Nicka.

Musiałby chyba być martwy, żeby nie zareagować na zaproszenie padające z ust właścicielki takiego ciała. Otworzył więc drzwi i gestem zaprosił Linnie do środka, wszedł za nią i nagle ogarnął go niepokój. Coś z nim było nie tak. I to bardzo, ponieważ poniżej paska od spodni nie działo się nic. Ale to zupełnie nic. Ani śladu choćby najmniejszego drgnienia. Owszem, Linnie bywała naprawdę trudna do zniesienia, lecz pod tym jednym względem nie brakowało jej niczego i wyjątkowo łatwo przychodziło jej stawiać Nicka w stan gotowości. W dodatku od ładnych paru tygodni żył w zupełnym celibacie... Tymczasem odczuwał kompletny brak zainteresowania.

- Coś nie tak? - spytała, zdejmując płaszcz.

- Nie, po prostu mam za sobą wyjątkowo ciężki dzień - odparł, myśląc jednocześnie o tym, jak się jej taktownie pozbyć bez prowokowania awantury.

- Znam sposoby, żeby cię zrelaksować...

Grzecznie, lecz stanowczo podziękował za masaż pleców, odstawienie szybkiego numerka, a nawet za wspólne obejrzenie filmu, nie mógł jednak odmówić, gdy zaproponowała, że zrobi mu kolację. To już naprawdę byłoby grubiaństwo. Linnie udała się do kuchni, zajrzała do lodówki, wyjęła z szafki garnek i rondel.

- Mam jeszcze dzisiaj masę pracy, więc po kolacji muszę siadać do roboty - zastrzegł się Nick.

- Trudno, przynajmniej zjemy razem.

W tym momencie odgadł, że musiała przyjechać z jakąś prośbą - i nie pomylił się. Od słowa do słowa wyjaśniło się, że jej matka zbierała fundusze na coś tam i Linnie obiecała pozyskać firmę Bernardów jako głównego sponsora. Nick słuchał jej jednym uchem, zajęty wyobrażaniem jej sobie jako matki. A gdyby to ona zaszła z nim w ciążę? Oczywiście zawsze uważali, ale czasem przecież zdarza się coś, czego nikt nie planował. Nie, za nic nie chciałby jej widzieć w roli matki swego dziecka. To oczywiście nie znaczyło, że palił się do zostania ojcem, lecz rozważając sprawę czysto teoretycznie...

Przede wszystkim musiałaby to być kobieta, z którą dziecko czułoby się dobrze i bezpiecznie. I musiałoby się czuć kochane. Kochane dla

samego siebie. Kochane za to, że po prostu jest. Matka jego dziecka powinna być pogodna, serdeczna, naturalna. Taka jak...

- I co ty na to?

- Na co? - spytał półprzytomnie.

- Nick, co z tobą? Jesteś za młody i za seksowny na to, żeby dostać Alzheimera! Obudź się, do licha!

Postarał się skoncentrować na rozmowie o sponsoringu, zwłaszcza że Linnie zaserwowała mu krwisty stek i przyrządziła całkiem niezłą sałatkę, czuł się więc trochę zobowiązany. W połowie kolacji zadzwonił telefon.

- Bernard, słucham - Nick rzucił do słuchawki.

- Przepraszam, że dzwonię do ciebie do domu, ale koniecznie muszę cię o czymś uprzedzić, a nie ośmieliłam się dzwonić do ciebie, gdy byłeś w pracy, bo akurat mogłeś być w towarzystwie dziadka. Poczekaj, aż zrobi się późno i na pewno już wrócisz do domu i będziesz sam...

- Co się stało? - spytał bez tchu.

Nawet nie musiała się przedstawiać, rozpoznał jej głos od pierwszego słowa, lecz tym razem brzmiało w nim tak nietypowe dla Lucy zdenerwowanie, że Nickowi serce podskoczyło do gardła.

- Nic się nie stało. To znaczy, stało się, ale jeszcze nie do końca... Rozmawiałam z twoim dziadkiem i...

No, tak, właściwie mógł się tego spodziewać. Nie chciała wziąć od nich żadnego dodatkowego wynagrodzenia, a ponieważ nie zdołała złamać Orsona, zadzwoniła do Nicka, by się z nim wyklócać.

- Nawet nie próbuj protestować. Należą ci się te pieniądze.

- Nie, nie należą mi się. Pomysł nie wyszedł ode mnie, tylko od twojego dziadka, on jest wizjonerem, jego idee są przełomowe. Ja jedynie przyłożyłam rękę do ostatniej fazy projektu.

- Oszczędź sobie i mnie tych argumentów, bo sprawa już i tak jest przesądzona - uciał.

- Nick, posłuchaj, nie w tym rzecz! Kiedy zaczęłam dyskutować o tym z twoim dziadkiem, zdenerwowałam się, ale nawet nie przez te pieniądze, tylko dlatego, że musiałam się z kimś o coś kłócić. Ty pewnie tego nie rozumiesz, bo ty się nigdy nie denerwujesz, ale ja jestem kompletnie wytracona z równowagi, gdy dochodzi do jakiegś sprzeczeki. Nie zrozum mnie źle. Dobrze sobie radzę ze stresem w pracy, bez problemu mogę wziąć na siebie dużo obowiązków i zadań, ale kiedy mam z kimś o coś zawalczyć... To właściwie jedyna sytuacja, gdy trochę ponoszą mnie emocje.

- Myślisz, że tylko ty tak masz?

- Jakoś trudno mi wyobrazić sobie ciebie toczącego pianę z ust.

Nick nie mógł się nie uśmiechnąć.

- A ty toczysz?

- Prawie! Ale słuchaj dalej. Otóż twój dziadek najpierw zastrzelił mnie informacją o tej części zysków, jaką chcecie mi dać, a potem okazało się, że martwi go mój stan zdrowia. Obserwując mnie i twoją troskę o mnie, doszedł do wniosku, że muszę być chora, i to pewnie poważnie! Rozumiesz? Bał się o mnie, a ja przecież nie mogłam na to pozwolić, w końcu nic mi nie jest, więc mu powiedziałam, bo chciałam go uspokoić, musiałam coś powiedzieć...

- Hej, zwolnij o jakieś dwadzieścia na godzinę, bo nie nadażam.

- Przyznałam, że jestem w ciąży.

Uśmiech znikł z twarzy Nicka.

- Rozumiem - rzekł cicho, po czym powtórzył: - Rozumiem... Zgaduję, że nie udało ci się go tym uspokoić?

- Dobrze zgadujesz. Bardzo się zdenerwowałam, chociaż nie na mnie. Tłumaczyłam mu, ale on nie słuchał! Dla niego to wyłącznie wina mężczyzny i kropka. Oczywiście ja tak nie uważam i starałam się go przekonać...

- Nie wątpię, Luce.

Zamknął oczy i nagle zobaczył swego dziadka. Na uroczystości rozdania dyplomów, gdy Nick skończył college. Na każdym meczu, w którym

grała drużyna Nicka. W szpitalu, gdy mu nakładano gips na złamaną rękę. Zawsze mógł liczyć na obecność Orsona w ważnych momentach. Za nic w świecie nie chciałby go zawieść.

- Nie powiedziałam mu, kto jest ojcem, ale niestety zdradziłam, że ty wiesz o mojej ciąży. Od tego właśnie zaczęła się cała ta nieszczęsna rozmowa. Twój dziadek zauważył, jak o mnie dbasz, jak się troszczysz, i to go zastanowiło. Dlatego dzwonię teraz do ciebie, żebyś nie był zaskoczony, gdy on coś napomknie na ten temat. Zupełnie cię nie podejrzewa, ale mimo to ogromnie mi przykro...

Zalała go tym potokiem słów, próbował pozbierać myśli.

- Nie ma za co przeproszać - zapewnił niemal odruchowo.

- Owszem, jest. Nie chcę stać się przyczyną konfliktu między wami. W ogóle nie chcę sprawiać wam najmniejszych problemów.

- Do licha, nie sprawiasz żadnych problemów! Przestań raz zamartwiać się tym, jak poczują się inni i pomyśl o sobie. I nie rób sobie wyrzutów, przecież prędzej czy później i tak musiałyby się o tym dowiedzieć, to w końcu przestanie być tajemnicą.

- Nie da się ukrywać ciąży w nieskończoność, to fakt, lecz on tak się przejął i zdenerwował...

- Z kim ty rozmawiasz, Nick? - spytała głośno Linnie.

Lucy urwała gwałtownie, przez króciuteńki moment w słuchawce panowała głucha cisza, po czym Nick usłyszał:

- Och, nie wiedziałam, że masz gościa, nie zajmuję ci już więcej czasu. Chciałam cię tylko poinformować o przebiegu rozmowy z twoim dziadkiem, żebyś był przygotowany. Cześć!

- Lucy!

Ona jednak rozłączyła się. Nick ze znużeniem potarł twarz dłonią. Ich sytuacja stawała się coraz trudniejsza i coraz bardziej skomplikowana, a to znaczyło, że nie miał wyboru.

Musiał wziąć sprawę w swoje ręce.

Zdecydowanie.

I szybko!

Otworzył oczy i napotkał wzrok Linnie.

- Szalenie intrygująca konwersacja - zauważyła. - Przynajmniej ta połowa, którą słyszałam. Możesz powiedzieć, o co chodzi?

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że teraz chcę zostać sam.

Wolałyby, żeby zabrzmiało to bardziej taktownie, ale trudno - w tej chwili liczyło się jedynie znalezienie jak największej liczby sposobów na otoczenie Lucy opieką.

Lucy otworzyła drzwi łazienki i wpadła prosto na szeroki i twardy jak ściana z cegieł tors Gregera. Jej asystent miał wygląd płowowłosego Goliata, dłonie wielkie jak bochny chleba, niedźwiedzie bary i uda potężne jak pnie dębów.

- Greger, naprawdę nie da się pracować w ten sposób!

- Taa? - odpowiedział swoim zwyczajem.

Owym dobrodusznym „taa” reagował praktycznie na wszystko. Łaził za nią jak pies, a gdyby mu stanowczo nie zabroniła, towarzyszyłby jej nawet w łazience i sprzątał tam po niej. Nosił za nią wszystko, wczłógiwał się za nią na czworakach pod kakaowce, zmywał naczynia w jej laboratorium i podawał chusteczkę higieniczną, jeszcze zanim zdążyła kichnąć.

Pracowali razem ledwie od dwóch dni, a Lucy już zaczynała się czuć ubezwłasnowolniona.

- Jadę do domu. Sama! I idę do samochodu też sama - oznajmiła stanowczo. - Zaufaj mi, że potrafię przejść korytarzem bez pomocy i bez nadzorowania każdego mojego kroku.

- Ufam, pewnie, że ufam. Ty to lubisz żartować. Lucy... Pójdę z tobą, otworzę ci drzwi.

- Greger, masz mi pomagać, ale bez przesady! Nie jesteśmy papużki-nierozłączki!

- Papużki-nierozłączki? - powtórzył bezradnym tonem.

Poddała się, chociaż miała silne podejrzenia, że jego angielszczyzna jest bez zarzutu. Dziwnym trafem w lot chwycił wszystko, czego Nick od niego chciał, za to zdumiewająco często nie rozumiał Lucy - szczególnie wtedy, gdy próbowała przeciw czemuś protestować.

- Zanim wyjdiesz... - Greger stanął przy drzwiach i podał Lucy torebkę. - Mam dla ciebie klucz.

- Jaki klucz?

- Do domu pana Bernarda. Pana Nicka, nie pana Orsona. Kazał ci go dać przed wyjściem.

- Musiałeś coś źle zrozumieć, obawiam się - rzekła łagodnie. - Nie istnieje żaden powód, dla którego miałabym brać jego klucz.

- Pan Bernard dał go dla ciebie. Będziesz go potrzebować, tak powiedziała. Nie wiem, po co. Nie moja sprawa.

- Naprawdę nie będę potrzebować klucza do jego domu.

Greger nadal twardo blokował wyjście.

- Taa? On sam by ci go dał, ale wyjechał na dwa dni. Kazał go koniecznie dać. To daję.

Co miała zrobić? Dla świętego spokoju wzięła klucz, który wpychał jej do ręki, ponieważ wdawanie się w dyskusje z tym upartym cerberem naprawdę nie miało sensu.

Nick faktycznie wyjechał do Belgii, w czym

nie było nic dziwnego, gdyż udawał się tam w interesach kilka razy do roku, lecz Lucy nie dałaby głowy, czy tym razem nie wyjechał po to, by uniknąć utarczek z nią w kwestii asystenta i jego upiornej nadgorliwości.

Właściwie była zadowolona z jego wyjazdu, ponieważ mogła się skupić i na własnych emocjach, i na pracy, gdyż wreszcie nic jej nie rozpraszało. A raczej nikt. Dwie pierwsze szklarnie stały prawie gotowe, przybyła pierwsza dostawa sprzętu do nowych laboratoriów, udało się zebrać partię ziaren do wytworzenia kolejnej porcji Niebiańskiej Rozkoszy.

Lucy wsiadła do samochodu i ziewnęła szeroko, usatysfakcjonowana tym, ile udało jej się zrobić w ciągu minionych dwóch dni. Pora na zasłużony odpoczynek. Wymoczy się w wannie, a potem wreszcie się wyśpi... W drodze powrotnej kupiła mleko i jajka, przez cały czas myśląc tylko o kąpieli i pójściu spać. Z błogim uśmiechem włożyła wreszcie klucz do zamka, przekręciła, otworzyła drzwi i zamarała.

Z głębi jej domu dobiegał dziwny dźwięk, a wraz z nim równie dziwny zapach. Lucy popędziła korytarzem i zatrzymała się gwałtownie w progu pokoju dziennego, gdzie doktor Armstrong, jeden z najlepszych przyjaciół jej ojca, czyścił dywan za pomocą odkurzacza piorą-

cego. Poczciwy doktor był cały zlany potem, chociaż rozebrał się aż do podkoszulka.

- Doktorze Armstrong!

Nic nie odpowiedział, gdyż nie usłyszał jej. Nawet nie mogła wejść do pokoju, gdyż całe drzwi blokowała przesunięta kanapa, Lucy zawróciła więc i poszła zlokalizować źródło zagadkowej woni.

Luther klęczał w kuchni na podłodze. Na twarzy miał maskę chirurgiczną, na rękach różowe gumowe rękawice. W dłoni trzymał pędzel, obok niego stało wiaderko, z którego unosił się zapach amoniaku.

- Tato?!

Poderwał głowę, w jego oczach widniało przeżalenie. Na widok córki z ulgą przysiadł na piętach.

- Dzięki Bogu, że to ty. Musimy skończyć, zanim ona wróci.

- Co skończyć? I kto ma tu wrócić?

- Jak to kto? Greta.

Spokojnie, tylko spokojnie. Ktoś tu zwariował. Jeśli ona, to tym razem nie z winy czekolady, gdyż tego dnia nie miała w ustach nawet kawałka.

- Jaka Greta?

- Nie żartuj, doskonale wiesz, o kim mówię. O siostrze Gregera, którą zatrudnił Nick. Ja oczywiście się zgadzam, że potrzebujesz pomocy

w domu, skoro tak ciężko pracujesz, ale Greta przesadziła, obarczając mnie całą winą za ten drobny nieporządek! Jej zdaniem powinienem trochę pomóc przy sprzątanii. Nie mam nic przeciw temu, rzecz jasna, lecz gdybyś wiedziała, co ona uważa za „trochę”! Akurat nawinał się Bill, jego też od razu wzięta do galopu, omal nie dostaliśmy raptury, kiedy musieliśmy wnieść to coś do czyszczenia dywanów. Ona jutro wraca, do tej pory musimy się ze wszystkim uwinąć!

Lucy schowała jajka i mleko do lodówki, zdjęła kurtkę i opadła na stołek.

- Chyba zacznę rozumieć... Ale czemu musicie zdążyć przed jej powrotem?

- Lucy - zaczął jej ojciec takim tonem, jakiego używał wobec niej, gdy była jeszcze dzieckiem. - Przecież znasz Gretę. Metr osiemdziesiąt z hakiem, budowa sztangistki... Słuchaj, nie mam czasu na pogaduszki, Bill też nie, więc nie zagaduj go. Najlepiej leć już. - Tata machnął pędzlem w stronę drzwi wejściowych.

Chyba za wcześnie się ucieszyła, że zaczyna coś rozumieć.

- Gdzie mam lecieć?

- Przecież nocujesz dziś u Nicka. Wiem o tym od Grety. Faktycznie to dobry pomysł, sprzątanie sprawniej nam pójdzie, gdy nie będzie cię w domu. No i masz tam do tego tę jakąś papierkową

robotę. Podobno w ciągu najbliższych paru miesięcy będziesz tam czasem pracować. Nic się nie martw, możesz tam siedzieć, my się tu z Billem wszystkim zajmiemy. Aha, miałem ci powtórzyć, że u Nicka znajdziesz karteczki, co i jak, więc bez trudu się zorientujesz.

Czy cały świat stanął na głowie, gdy była w pracy?

- Mam nocować u Nicka?

Ojciec nie słuchał.

- Nie zapomnij zabrać telefonu komórkowego, obiecałem każdemu, że pooddzwoniasz. Metry cię szukała. I mama. I Russ. - Naraz znowu machnął w stronę drzwi, tym razem gwałtowniej niż poprzednio, a w jego oczach znów pojawił się lęk. - Przestań mnie zagadywać! Mam całą listę rzeczy do zrobienia przed jej powrotem jutro rano!

- A jak ich nie zrobisz, to co?

- Mówisz, jakbyś jej nie znała! To herod-baba! Lepiej idź już, ja tu mam swoje zajęcia, na ciebie czeka ta robota u Nicka.

Nie rozumiała, czemu właściwie ma jechać do Nicka i jaka robota tam na nią czeka, lecz chwilowo nawet nie miała się tego jak dowiedzieć, bo nie mogła do niego zadzwonić. Nie zamierzała jednak protestować, ponieważ nie chciała stawać owej zdumiewającej Grecie na

drodze do zreformowania jej taty. Sprzątał po sobie! Pierwszy raz w życiu!

Chociaż nigdy nie była w domu Nicka, trafiła tam bez trudu, ponieważ większość pracowników Bernard Chocolate wiedziała, gdzie mieszkała. Kilka lat wcześniej kupił posiadłość niedaleko terenów firmy, dzięki czemu był zupełnie niezależny, a jednocześnie mógł czuwać nad dziadkiem i w razie potrzeby szybko zjawić się w rezydencji, jak również na terenie zakładów.

Lucy skręciła z głównej drogi w wijącą się pośród klonów aleję, przejechała przez drewniany mostek, potem pomiędzy kwitnącymi na czerwono rododendronami, potem znów był kawałek wysadzany klonami, które zmieniały aleję w przyjemny zielony tunel.

Aż wstrzymała oddech, gdy ujrzała dom Nicka, zupełnie odmienny od bajkowej rezydencji Bernardów. Był prosty, niski i rozległy, zbudowany z kamienia, kryty spadzistym dachem z łupka, jedyną ozdobę stanowiły trzy okrągłe wieżyczki. Otaczał go pięknie utrzymany zielony trawnik oraz różne odmiany zimozielonych krzewów, sięgających do wysokości okien. Krótko mówiąc - oaza spokoju.

Zatrzymała się na pustym podjeździe. Na terenie posiadłości nie było nikogo, niemniej zakłopotana Lucy poczuła się jak intruz. Przesza-

dzała chyba jednak, przecież Nick specjalnie przekazał jej klucz, Greger i Greta wiedzieli o całej sprawie, ba, nawet jej tata został w to wtajemniczony i sam ją tu wysłał. To wszystko jednak nie rozpraszało do końca jej wątpliwości. Z ociąganiem przekręciła klucz w zamku i weszła do środka.

Na lampie w holu wisiała odręcznie napisana kartka.

„Lucy, rozgość się i czuj się jak u siebie. Jeśli masz ochotę obejrzeć cały dom, nie krępuj się. Wszystko jest do Twojej dyspozycji, używaj do woli tego, co będzie Ci potrzebne. Nikt nie będzie Ci przeszkadzał, zadbałem o to. Postaraj się zrelaksować i jak najlepiej wypocząć.”

Zrelaksować? Po tylu stresach? Dobre sobie!

Zachęte, by obejrzeć dom, potraktowała już z mniejszym sceptycyzmem. Zaczęła od kuchni, gdzie zdumiała ją ilość nowoczesnych urządzeń, prawdopodobnie znajdowało się tam wszystko, co zdołano wymyślić w tej dziedzinie. Jej uwagę przykuła karteczka przyklejona do drzwi lodówki. Idąc za jej wskazaniem, otworzyła lodówkę, gdzie na najwyższej półce miała czekać na nią kolacja. Ku swemu zdumieniu znalazła świeżą sałatkę z homarem, pieczonego kurczaka, który

wymagał jedynie odgrzania oraz ogromną tacę pełną najróżniejszych deserów. Wstrząśnięta Lucy zamknęła lodówkę, zdolna do sformułowania tylko jednej myśli: „Wielkie nieba!”.

„Wielkie nieba” czekały na nią na każdym kroku. Urządzone w granatach i bieli pokój dzienny wyglądał bardzo po męsku - z jednym wyjątkiem, mianowicie na stoliku do kawy piętrzyła się sarta kolorowych magazynów traktujących o modzie, urodzie, urządzaniu mieszkań, ogrodów, turystyce i nie wiadomo czym jeszcze. Czyżby Nick przygotował to wszystko dla niej?

W następnym pokoju ujrzała wygodne kanapy, okna z zamkniętymi okiennicami i zawieszony na ścianie ogromny płaski telewizor. Na odtwarzaczu DVD leżała kartka z wymalowaną strzałką, która wskazywała na stos płyt. Lucy przyjrzała się tytułom. „Szarada” z Audrey Hepburn. „Bezsensowność w Seattle”. Praktycznie same komedie romantyczne, których mężczyźni raczej nie mieli zwyczaju oglądać.

Ogarnęła ją zgroza, ponieważ to wszystko zaczęło jej wyglądać na część starannie przemyślanego planu.

Po chwili wahania poszukała sypialni pana domu. Znajdowała się ona w jednej z okrągłych wieżyczek. Lucy od razu spostrzegła z zachwy-

tern wyściełaną wnękę przy oknie, gdzie można było wygodnie siedzieć i podziwiać widok na całą okolicę. Na środku pokoju stało łóżko wielkości niewielkiego państwa, twarde jak kamień, o czym się przekonała, przysiadłszy na nim na moment. Również tu królował marynarski granat, w tym odcieniu był puszysty dywan, narzuta i pościel.

Lucy pozwoliła sobie zerknąć do szafy, tak przepastnej, jakby stanowiła oddzielny pokój. Ubrania Nicka zostały powieszzone i poukładane tak równiutko, że nawet ona nie składała swoich ubrań staranniej, a przecież uchodziła za pedantkę. Nie podejrzewała go o takie zamiłowanie do porządku. Zamknęła szafę, trochę zawstydzona, gdyż to już zakrawało na wścibstwo.

Łazienka nie należała do kategorii „Wielkie nieba!”, to już zdecydowanie była kategoria „O, mój Boże!”. Kominiek z białego marmuru oddzielał część przeznaczoną na ubieranie się od części stricte kąpielowej. Lucy ujrzała przylepioną do ściany kominka karteczkę ze znajomym charakterem pisma.

„Jeśli chcesz go włączyć, przesun w dół dźwignię po prawej.”

Zaciekawiona, oczywiście przesunęła dźwignię i natychmiast na palenisku zatańczyły płomienie, ponieważ kominiek był gazowy. Dokładnie naprzeciw niego stała ogromna wanna

z miedzianą armaturą, zaopatrzona w dysze do masażu wodnego. Tuż obok znajdowała się również miedziana etażerka z dwiema ażurowymi półkami - na wyższej stały ciemnoniebieskie świece, na niższej leżały grube śnieżnobiałe ręczniki.

Lucy przyglądała się tym luksusom przez dobrą minutę, powtarzając sobie, że nie powinna... po czym odkręciła kurki i zaczęła się rozbrajać. Położyła na podłodze torebkę, komórkę, buty, sweter, dzinsy i skarpetki. Sięgnęła do torebki po zapaliki, które zawsze nosiła przy sobie, chociaż nigdy nie paliła. Chwilę potem zapłonęły świece. Czując, jak ogień z kominka miło ogrzewa jej plecy, skończyła się rozbrajać i z głośnym westchnieniem ulgi zanurzyła się w kąpieli.

Później zacznie się zastanawiać, czemu Nick zgotował jej tak królewskie przyjęcie. Później będzie się martwić. Później będzie ją dręczyło poczucie winy. Wszystko później. Na razie mogła oddać się rozpuszcieniu, której nawet święty nie zdołałby się oprzeć. Wątpiła, by jeszcze kiedykolwiek w życiu mogła się kapać przy kominku.

Odchyliła lekko głowę do tyłu i rozkoszowała się tą istic dekadencją kąpielą przez całych cudownych pięć minut. Potem odezwała się jej komórka.

Lucy wyskoczyła z wanny i zaczęła szukać telefonu pod stertą ubrań, na które z jej mokrych rąk kapała woda. Wreszcie znalazła i odebrała połączenie, zanurzając się z powrotem w wannie. Ku swemu największemu zaskoczeniu usłyszała głos Nicka:

- Miałem nadzieję, że zastanę cię już u mnie.
- I zastałeś. Właśnie przyjechałam, ledwo zdążyłam ściągnąć buty. Siedzę sobie w kurtce na kanapie w salonie.

- Ach, tak?
Aż ją dreszcz przebiegł, gdy słyszała jego głos tak blisko, jakby jego usta znajdowały się tuż przy jej uchu.

- Nick, nie rozumiem, co się właściwie dzieje.
- Domyślałem się i dlatego dzwonię. Możemy sobie spokojnie wszystko wyjaśnić.
- Wspomniałeś kiedyś o Grecie, ale nie uprzedziłeś, że wyślesz ją do mnie do mieszkania. I czemu chciałeś, żebym nocowała u ciebie? A jeśli chodzi o Gregera...

- Chwileczkę, nie wszystko naraz. Po kolei. Znalazłaś kolację?

Ponownie odchyliła głowę na nieco uniesiony brzeg wanny, zamknęła oczy.

- Tak, znalazłam tę ucztę dla smakosza. Zostawiłam ją specjalnie dla mnie? Zaplanowałeś wszystko włącznie z nakarmieniem mnie?

- Tak, ponieważ twoje życie ostatnio stało się tak stresujące, że ktoś wreszcie musiał się tobą zająć. Tak przy okazji, udało ci się włączyć kominek?

- Pewnie. Bez problemu - odparła odruchowo i nagle do niej dotarło, o co spytał. Musiało chodzić o ten właśnie kominek, więc Nick już wiedział, że wcale nie siedziała w kurtce na kanapie, tylko moczyła się w jego wannie. - Słuchaj... - zaczęła, gorączkowo próbując wymyślić jakieś w miarę wiarygodnie brzmiące kłamstwo, lecz on nie słuchał.

- Potrzebujesz czasu i spokoju, by dojść do ładu ze swoimi myślami i emocjami, by podjąć najwłaściwszą decyzję w tej sytuacji. W pracy harujesz bez wytchnienia, w domu masz istną karuzelę, uznałem więc, że trzeba ci zapewnić minimum jakichś przyjaznych warunków. Ja często wyjeżdżam, mój dom stoi pusty, wiesz o tym. Czemu więc nie miałybyś skorzystać?

- Ale...

- Tak, zgaduję, że masz całą masę różnych „ale”, na razie jednak odpowiem na resztę twoich pytań. Greta, jak pamiętasz, jest siostrą Gregera, w Europie pracowała jako gospodyni w dość dużej rezydencji, tu jeszcze nie znalazła podobnej pracy, postanowiłem więc zlecić jej zrobienie u ciebie generalnych porządków. Podsunałem jej myśl, by wykorzystała przy tym twojego tatę. To

uroczy człowiek, ale kompletnie nie zdaje sobie sprawy z tego, jakim obciążeniem jest dla ciebie jego potworne bałaganiarstwo i ile masz przez to dodatkowej roboty. Mała lekcja pogładowa mu nie zaszkodzi.

- Ale...

- Kiedy więc u ciebie w domu trwa maraton sprzątanania, ty możesz w tym czasie zaszyć się u mnie, gdzie będziesz miała ciszę i spokój. Wracam z Brukseli dopiero w piątek.

Miała coś powiedzieć, gdy nagle zauważyła wiszący na drzwiach łazienki szlafrok. Damski. Fiołkowy. Ze zwisającą z rękawa metką.

Nick widział jej sypialnię i znał jej ulubiony kolor. Czy to możliwe, by kupił to specjalnie dla niej? Nie...

- Ten szlafrok... - wyrwało jej się.

- Jest dla ciebie. Wracając do tematu, czyli do twojej sytuacji domowej. Często bywa u ciebie kuzyn, prawda? Jak mu tam? Rock? Russell?

- Russell.

- Pamiętam, że twoja matka wyrzuciła twojego ojca z domu, ale zapomniałem, co mówiłaś o kuzynie.

- Cóż, ma problem, ponieważ wydaje mu się, że chyba jest gejem. Nie mam pojęcia, czy nim jest, czy nie, ani jak można to sprawdzić. Kocham go i chciałabym mu pomóc. Jak był mały, łąził za

mną krok w krok. Nawet miałam dla niego fotelik, żeby móc go wozić na rowerze... Nieważne. W każdym razie Russ pogubił się zupełnie i chwilowo czuje się bezpiecznie tylko w moim domu, jakby sama moja obecność robiła mu dobrze.

- Rozumiem. To teraz przejdźmy do Gregera...

Porozmawiali o nowym asystencie Lucy, przy czym Nick oczywiście pozostał nieubłagany w tej kwestii, choć próbowała wywalczyć dla siebie trochę więcej wolności. Odwrócił jej uwagę, szczegółowo wypytyując ją o postęp prac, więc ledwie zaczęła mówić o projekcie, natychmiast zapomniała o sobie. W trakcie rozmowy bez problemu zdołali ustalić wiele spraw.

- Jak widać, potrafimy spokojnie i rzeczowo rozmawiać, a nawet dogadać się w różnych kwestiach - zauważył wreszcie Nick.

- To prawda.

- Chciałbym, żebyśmy i o ciąży umieli podyskutować podobnie. Od czasu naszej ostatniej rozmowy musiaś już to bardziej przemyśleć...

- Owszem. - Wyciągnęła nogę i stopą odkręciła kurek, by dolać sobie gorącej wody do stygnącej kąpieli. - Wiesz, cały czas denerwuję się, co by się stało, gdyby twój dziadek jakimś cudem dowiedział się, kto jest ojcem. Obiecuj mi, że nigdy się przed nim nie wygadasz.

- Dobrze, jeśli to ma cię uspokoić... Ale nieważne, co pomyśli dziadek. W ogóle nieważne, co pomyślą inni, bo to nie ich dziecko, tylko nasze. Nie możemy się sugerować tym, co ludzie powiedzą. Ważne, co my myślimy i co będzie najlepsze dla nas.

Serce zabiło jej mocniej. Powiedział: „my”. Powiedział: „nasze”.

- Powiem ci więc, czego ja chcę... - zaczęła.

- Chcesz urodzić to dziecko i wychować je.

- Skąd wiedziałeś?!

- Po prostu zgadłem.

Zamknęła oczy.

- Cały czas nie jestem pewna, czy okażę się dobrą matką. To mnie dręczy najbardziej. Ale parę dni temu poszłam do sklepu po chleb i nagle zamiast w dziale z pieczywem znalazłam się przed półkami z żywnością dla niemowląt. Puree z groszku wygląda obrzydliwie, na jego widok aż zrobiło mi się niedobrze. A jednocześnie...

- Tak? - zachęcił, gdy zamilkła, nieco zakłopotana.

- Widzisz, poczułam przypływ uczucia do tego maleństwa i zrozumiałam, że ja już je kocham. To tak trudno wytłumaczyć...

- Nie musisz niczego tłumaczyć. Chcesz mieć to dziecko, a ja popieram to, czego chcesz. Dlatego ty zastanawiasz się dalej nad tym. czego

naprawdę potrzebujesz, a ja będę starał się to realizować.

Zmarszczyła brwi.

- Cemu jesteś dla mnie taki dobry?

- A co? Miałaś mnie dotąd za drania?

- Nie, ale naprawdę nie widzę powodu, dla którego miałbyś się o mnie aż tak troszczyć. To jest aż... nienaturalne. I trochę przerażające.

- Dobra, następnym razem zmyję ci głowę. Jeśli nie zapomnę, oczywiście. A w tak zwanym międzyczasie to ja mam do ciebie prośbę.

- Słucham.

- Idź do pokoju dziennego.

- Już tam byłam.

- W porządku, niemniej idź tam. Zapal światło, usiądź na tym niebieskim krześle, które stoi przy oknie i rozejrzyj się dokładnie. Oczywiście nie musisz tego robić teraz, pójdiesz, jak już się wykąpiesz.

- Ale o co chodzi?

Nie odpowiedział i rozłączył się. Lucy odłożyła telefon na etażerkę, wyszła z kąpieli i nagle poczuła, że dosłownie umiera z głodu. Narzuciła na siebie szlafrok, pobiegła do kuchni, nałożyła sobie sporą porcję sałatki, na drugi talerz trafił kurczak, na trzeci różne słodkości. Z pełną tacą poszła do pokoju dziennego.

Zapaliła światło, naciskając kontakt łokciem,

usiadła na niebieskim krześle, postawiła sobie tacę na kolanach, podniosła głowę i znieruchomiała.

We wnętrzu wisi oświetlony lampką jej obraz. Jej ukochany obraz.

To znaczy, u niej wisi plakat, u Nicka zaś olejny oryginał, ale ta różnica nie miała dla niej żadnego znaczenia. Liczyło się jedynie to, że ten wizerunek samotnie szybującego nad wodami orła przemawiał do Lucy jak żadne inne dzieło sztuki, dotykał jakichś niezmiernie czułych strun w jej duszy. Oczywiście nie mogła utożsamiać się z tym wspaniałym ptakiem, lecz pragnęła stać się do niego podobna - być dzielna, niezależna, nie oglądając się na innych podążać własną drogą, żyć tak, jak jej serce dyktuje... Im bardziej jednak starała się osiągnąć ten ideał, tym głębszą odczuwała samotność.

Czy dla Nicka ten obraz był równie wspaniały jak dla niej?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W sobotę o dziesiątej rano Nick zapukał do drzwi domu Lucy. Czekając, przeciągnął się dyskretnie, gdyż mięśnie wciąż miał obolałe po długim locie z Europy, w dodatku się nie wyspał.

Otworzył mu młody chłopak, kuzyn Lucy. Przez chwilę patrzył na gościa, nie rozpoznając go, po czym nagle sobie przypomniał.

- A, przecież pan już u nas był! Pan Bernard, prawda?

- Mów mi Nick.

- Russ. Już wszystko pamiętam, byłeś tu, jak Lucy zrobiła nam numer i kofnęła na glebę. Jesteś jej szefem, nie?

- Nie tyle ja, co mój dziadek.

- Wszystko jedno. A, tego, może wejdiesz? Lucy nie ma, pojechała z wujkiem, to znaczy ze

swoim tatą, po opony. Nie wiem, czy do jej samochodu, czy do jego... To co? Wejdiesz, nie? - Zaprosił Nicka do środka gestem dłoni, jakby był panem domu.

Nick wszedł, ponieważ wiedział, że Lucy jest na mieście, dzwonił do niej. Specjalnie przyjechał podczas jej nieobecności - nie dlatego, by nie chciał zobaczyć się z Lucy, bo chciał, lecz najpierw zamierzał porozmawiać z tym sympatycznym blondasem o ujmującym chłopięcym uśmiechu.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jak tu posiedzę i poczekam na ich powrót?

- Coś ty? Chodź do kuchni, jest świeża kawa.

W drodze do kuchni Nick zajął do pokoju dziennego. Co za różnica w porównaniu z tym, co ujrzał podczas poprzedniej wizyty! Wszystko, co mogło lśnić, lśniło, wypucowane na glans. Żadnych okruszków, niedopałków, pustych puszek, śladów po kubkach z kawą, żadnego dymu z papierosów. Tak, to bardziej pasowało do Lucy niż poprzedni obraz nędzy i rozpacz.

Ucieszył go ten widok, który oznaczał posunięcie się o krok do przodu. Dziwne, ale czuł się coraz bardziej odpowiedzialny za Lucy i dziecko, a jego troskę podsycalo to, że Lucy nie prosiła o nic, niczego nie oczekiwała, nie szukała jego towarzystwa i stanowczo sprzeciwiała się małżeństwu. Dlatego koniecznie chciał jej pomóc.

dlatego z góry przyznał jej pewien procent od zysków ze sprzedaży Niebiańskiej Rozkoszy, dlatego zatrudnił Gretę i Gregera i dlatego planował zrobić coś dla Russella, o którego się martwiła.

Wolałby jednak płacić trzy razy większe podatki i rozwalić swój nowy samochód, niż wtrącać się w tak niezmiernie delikatną sprawę. Najchętniej dałby nogę, ani ten dzieciak, ani nikt inny nigdy by się nie domyślił, w jakim celu Nick przyszedł. W sumie co mu szkodziło raz w życiu zachować się jak tchórz? Cała masa ludzi zachowywała się tak bardzo często i żyła sobie spokojnie i szczęśliwie.

Russell nalał mu kawy.

- Musi być fajnie mieć fabrykę czekolady - zagaił.

Nick odpowiedział coś niezobowiązująco, po czym zręcznie skierował rozmowę na sprawy dotyczące Russa - o jego zainteresowania, talenty, ulubione przedmioty w szkole. Dowiedział się, że chłopak nade wszystko kocha muzykę i kino, za to w szkole najlepiej mu idą nauki ścisłe, szczególnie matematyka.

- Widzisz, jak urodziłeś się Fitzhenrym, to powinienesz zostać lekarzem albo przynajmniej mieć coś wspólnego z medycyną, inaczej zostajesz czarną owcą - tłumaczył Russell. - Tak było z Lucy. Nieźle zaszalała, idąc na biologię i zostając botanikiem.

- Wybór botaniki to szalony wybór życiowy? - zdumiał się Nick.

- W normalnych rodzinach nie. - Russell usiadł naprzeciw niego. - Człowieku, gdybyś słyszał argumenty, jakimi ją zasypali, gdy okazało się, że ona woli zajmować się zielskiem! Obaj nasi ojcowie są chirurgami, moja mama jest anesteziologiem, niemal cała bliższa i dalsza rodzina jest w jakiś sposób związana ze służbą zdrowia, a tu nagle taki wyskok! Wyobrażasz sobie, co za szok przeżyli? I to kto tak ich zawiódł? Lucy, która zawsze miała najlepsze stopnie, jest bystra jak diabli i była uważana za przyszłą sławę medyczną! Wszyscy uważali...

- Russ - przerwał mu Nick, bo chłopak miał takie gadane jak jego kuzynka, co oznaczało, że pewnie nie zdążą poruszyć właściwego tematu przed powrotem Lucy i jej ojca. - Czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Jasne. Wal! - Chłopak spojrział na niego wyczekująco, a Nick zapomniał języka w gębie, bo naprawdę nie miał bladego pojęcia, jak się do tego zabrać.

Powtórzył sobie w duchu, że robi to dla Lucy. Russ praktycznie zamieszkał u niej, gdyż tylko przy niej czuł się bezpiecznie z tym swoim potencjalnym homoseksualizmem. Gdyby udało mu się jakoś pomóc, Lucy miałyby jeden problem z głową.

- Czy twoim zdaniem jestem przystojny?
- zaczął.

- He?

By zyskać na czasie Nick, napił się kawy, chociaż wolałby wlać w siebie porządny kieliszek whisky dla kurażu.

- Pytam, czy według ciebie prezentuję się w miarę nieźle?

Russell zaczerwienił się.

- No... pewnie, że tak. W miarę nieźle to mało powiedziane. Jesteś przystojny, super się ubierasz, masz klasę, i w ogóle.

Nick odczekał chwilę, gdyż to, co zamierzał powiedzieć, wymagało wyjątkowej odwagi.

- W takim razie zadam ci następne pytanie - rzekł wolno. - A gdyby tak się złożyło... Gdybyś na przykład był gejem, to spodobałbym ci się?

- O, Boże! Lucy ci powiedziała? Powiedziała ci o mnie? Nie mogę w to uwierzyć!

- Cholera, wiedziałem, że to spapram! Chciałem... Niech to szlag! Nieważne, co chciałem, zabrałem się do tego jak kretyń. Spróbujmy jeszcze raz, dobra?

Russell wpatrywał się w niego z nieco zbaraniałym wyrazem twarzy.

- Dobra, skoro chcesz...

Nick z desperacją wzburzył włosy dłonią, gdyż nagle przyszła mu do głowy absolutnie przeraża-

jąca myśl. Pchał się dla Lucy w najdziwniejsze i najbardziej niezręczne sytuacje, lecz nie wyobrażał sobie, że mógłby to zrobić dla kogokolwiek innego na całym świecie. Tylko dla niej jednej. Czy nadal powodowało nim rycerskie poczucie odpowiedzialności za nią, czy może zakochał się w kobiecie, która pasowała do niego najmniej ze wszystkich możliwych kandydatek?

- Nie musisz o niczym mówić, jeśli nie chcesz. W każdym razie, gdybyś miał ochotę pogadać, nie krępuj się. Po pierwsze, nikomu nie powtórzę ani słowa, po drugie, rozmowa z kimś spoza rodziny mogłaby ci pomóc. Ja nie będę cię oceniał i nic złego sobie nie pomyślę, cokolwiek usłyszę.

Russell zawahał się.

- Kiedy nawet nie wiedziałbym, od czego zacząć.

- Może od tego, co ci nasunęło to przypuszczenie, że jesteś gejem. Musiało wydarzyć się coś, co kazało ci zacząć tak myśleć.

- Cóż... - Russell zaczął bawić się swoim kubkiem z resztką kawy, kilkakrotnie poprawił się na stołku. - To właściwie przez Sandrę.

- Sandrę?

- Moją dziewczynę. Byłą. Ale nie pierwszą - dodał szybko, na moment zerkając na Nicka.

Ten od razu zrozumiał, że Russ sypiał z kimś wcześniej i że wcale nie rozmawiają o dziew-

czynach, tylko o seksie. Chłopak znów odwrócił głowę i zacinając się, powoli wydusił z siebie całą opowieść.

Pierwszy raz zrobił to z prostytutką, bo w jego liceum istniała wieloletnia tradycja, w ramach której chłopcy z najstarszej klasy umawiali młodszych kolegów z opłaconą przez siebie dziewczyną. Nick wiedział, że w niektórych szkołach trzeba było przejść przez takie „otrząsiny”, więc się nie dziwił, rozumiał jednak, że podobne przeżycie musiało oznaczać dla nastolatka więcej stresu niż przyjemności.

- I co? Nic z tego nie wyszło, prawda?

- Prawda - mruknął Russell z zawstyżeniem.

- Wtedy jeszcze nie przyszło mi do głowy, że mogę być gejem. Potem zacząłem chodzić z Sandrą, no i byliśmy ze sobą coraz bliżej i bliżej... Rozumiesz.

- Rozumiem. I wreszcie trafiliście do łóżka.

- Aha. I tym razem było zupełnie inaczej. Ale ona dużo lepiej znała się na tych sprawach ode mnie. Ja sobie myślę, rany, jest fantastycznie, a tu nagle ona zaczyna mówić dziwne rzeczy.

- Na przykład?

- No, że za delikatnie całuję i że w ogóle jest za miło i za słodko, a powinienem bardziej po męsku i w ogóle. I jak ona tak mi powiedziała...

- Russell urwał i widać było po wyrazie jego

twarzy, że nie dokończy zdania, choćby go miano pokroić na plasterki.

- To ci opadł? - dokończył za niego Nick, nie bawiąc się w ceregiele.

Kiedy już to najgorsze zostało powiedziane na głos, Russella nagle odblokowało.

- Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Odkąd skończyłem dwanaście lat, stawał mi, jak tylko zobaczyłem fajną dziewczynę albo jakąś fotkę, czasem wystarczyło trochę pobiegać... no, cokolwiek. A tu nagle przy niej... Dwa razy byłem z kobietą i dwa razy totalna kłapa. Czyli coś jest ze mną nie tak. No i wtedy Sandra powiedziała, że pewnie jestem gejem. I tak zacząłem się zastanawiać, bo to by faktycznie wszystko tłumaczyło...

Nick zamknął oczy. Zrobiło mu się tak żal tego dzieciaka, że prawie nie mógł tego znieść. Faceci w każdym wieku cokolwiek głupieli, gdy sprawy damsko-męskie szły zdecydowanie nie po ich myśli. W każdym razie problem okazał się znacznie prostszy, niż Nick się obawiał. Dwa łóżkowe niefarty wystarczyły, by poważnie nadważyć męskie ego, szczególnie w przypadku nastolatka. Na szczęście na to pomagała rozmowa z drugim facetem, więc nie upłynęło dużo czasu, gdy Nick z zadowoleniem stwierdził, że Russ przestaje się garbić, spuszczać

głowę, kręcić nerwowo i generalnie wyglądać jak zbity pies. Ba, udało mu się go nawet doprowadzić do śmiechu.

Akurat w tym momencie wróciła Lucy z ojcem i ze zdumieniem przyjęła ten wybuch wesołości.

- Co tu się dzieje? - spytała.

- Nic, gadamy sobie - wyjaśnił Nick. - Dzień dobry, doktorze Fitzhenry.

- Dzień dobry, Nicholasie. Miło cię znów widzieć.

- Nick, co tu robisz? Przepraszam, czy ja ci nie powiedziałam, że jadę z tatą kupować opony?

- Powiedziałaś, wszystko w porządku.

Nagle poczuł, że musi wyjść. Może w kuchni było za dużo ludzi. Może dawało mu się we znaki zmęczenie po długim locie. W każdym razie wystarczyło, by spojrzeć na Lucy, a natychmiast poczuł, jak umysł przestaje mu funkcjonować. To straszne, ale ostatnio trochę głupiał w jej obecności. Został tylko tyle, ile było to konieczne, by nie wyjść na gbura, po czym pożegnał się i szybko opuścił dom.

Lucy popędziła za nim.

- Co się dzieje? Co to wszystko ma znaczyć?

- Nic się nie dzieje, po prostu uciałem sobie małą pogawędkę z Russellem. Chyba nie będzie się dłużej zamartwiał, czy aby nie jest gejem.

- Co mu takiego powiedziałeś?

- Coś, co mężczyźnie może powiedzieć tylko drugi mężczyzna.

Rzucił marynarkę na tylne siedzenie, gdyż zrobiło mu się za gorąco - albo z powodu wiosennej temperatury, albo z powodu bliskości Lucy. Nie potrafił tego rozstrzygnąć, w ogóle myślenie przychodziło mu z coraz większym trudem. Najchętniej nie myślałby w ogóle o niczym, tylko gapił się na nią. Miała na sobie dzinsy i trochę za dużą koszulę, na jej nieumalowanej twarzy kładły się promienie słońca.

- Jakoś tak dziwnie na mnie patrzysz - zauważyła. - Coś nie tak?

- Nie, wszystko w porządku. To tylko zmęczenie po podróży.

Ze zrozumieniem kiwnęła głową.

- Pewnie wracasz do domu, żeby się przespać. Ja z kolei pojedę do pracy.

- W sobotę?

- Tak. Chcę spokojnie zrobić kilka rzeczy, nie czując na karku oddechu Gregera. I nawet nie próbuj ze mną dyskutować na ten temat. - Pogroziła mu palcem pod samym nosem.

Nick miał ogromną ochotę chwycić zębami za ten palec, a potem zacząć go sugestywnie ssać i robić to długo... Musiał wziąć się w garść.

- Polubiłaś Gregera, przyznaj.

- Żeby dać ci tę satysfakcję, że miałeś rację? Nie ma mowy!

- Długo zamierzasz dziś pracować?
- Nie, jakąś godzinę. W tym tygodniu szczerpiłam kakaowce, żeby uzyskać nowe hybrydy. Chcę sprawdzić, czy wszystko w porządku.
- Pojadę z tobą, a potem zabiorę cię na lunch. Co ty na to?

Ściągnęła brwi.

- Na lunch?
- Chyba czasami coś jadasz?
- Oczywiście, ale nie w tym rzecz. Masz przyjaciółkę, nie powinieneś spędzać wolnego czasu z kimś innym. Pracujemy razem przy projekcie, ale nie ma potrzeby, byśmy widywali się poza pracą.

Zdażył już zapomnieć, jak Lucy zadzwoniła do niego podczas wizyty Linnie, która w pewnym momencie odezwała się głośno.

- Tamta kobieta nie jest moją przyjaciółką, tylko była kochanką - wyznał, nie owijając niczego w bawełnę. - Linnie nie pogodziła się z rozstaniem i trochę mi się narzuca.

Lucy przez chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

- Tylko ona, czy jest ich więcej?

Nick wypuścił wstrzymywany oddech i dopiero w tym momencie uświadomił sobie, jak bardzo zależało mu na tym, by Lucy uwierzyła w jego wyjaśnienie. Poczł tak wielką ulgę, że od razu

humor mu się poprawił, więc pozwolił sobie zażartować:

- Chwilowo nie mogę się opędzić tylko od jednej bylewej, ale jeśli pytasz, ile kobiet miałem w ogóle...

- Nie! Absolutnie nie!

Nie wytrzymał i uśmiechnął się.

- Teraz tak mówisz, ale jak zjesz kawałek Niebiańskiej Rozkoszy, to licho wie, co będziesz chciała usłyszeć.

- Żadne z nas nie je dzisiaj Niebiańskiej Rozkoszy - zawyrokowała stanowczo. - Nawet jej nie wacha. Co innego lunch... Tak naprawdę jestem okropnie głodna.

W tej sytuacji najpierw pojechali coś zjeść, przy czym to Lucy wybrała lokal, nie trafili więc do eleganckiej restauracji, jaką miał na myśli Nick, tylko do cokolwiek obscurnego baru, którego wystrój pamiętał czasy chyba jeszcze sprzed drugiej wojny. Serwowano tam jednak zaskakująco dobre tradycyjne jedzenie - duszoną wołowinę, naleśniki z jagodami, soczyste hamburgery, tak wielkie, że trudno je było objąć obiema dłońmi, a do picia podawano staroświecką lemoniadę.

Ku kompletnemu zaskoczeniu Nicka Lucy błyskawicznie wchłonęła swojego hamburgera, zjadła pół jego wołowiny, podkrađła mu sporo tłuczonych ziemniaków i zażądała dodatkowej

porcj i sałatki. Nick patrzył na to wszystko z niedowierzaniem, oczy zrobiły mu się okrągłe. Lucy była osobą wagi muszej, lecz jadła za dwóch i nadal sprawiała wrażenie głodnej. Czym prędzej skinął na kelnerkę, zamówił sernik i tartę cytrynową, a gdy je przyniesiono, podsunął oba ciastka Lucy.

- Te nowe opony to do twojego samochodu, czy twojego taty? - zagadnął.

- Mojego? Mój to cały trzeba wymienić, tylko nie wiem, jak i kiedy mam się tym zająć. Kupowanie samochodu to jakiś koszmar. Zupełnie nie wiem, jak to ugryźć...

Przyglądał się z uśmiechem, jak ona nabiera kawałek sernika na widelczyk, wkłada do ust i przymyka oczy, a na jej twarzy maluje się wyraz niezmaconej błogości. Zawsze taka była, umiała doceniać najprostsze radości życia. Cieszyło ją smakowanie czegoś dobrego, dotyk słońca na twarzy, gmeranie w ziemi w tej jej ukochanej szklarni. Potrafiła cała oddawać się temu, co robiła, oddawać się ciałem i duszą. Nickowi też się to czasem zdarzało, chyba jednak zbyt rzadko, ponieważ stresy i zmartwienia potrafiły skutecznie odciągnąć jego uwagę od uroków teraźniejszości, podczas gdy Lucy zawsze wiedziała, jak wykorzystać urodę chwili.

- Wiesz co?

Z trudem otrząsnął się z zapatrzenia.

- Co?

- Musiałeś powiedzieć Russellowi coś naprawdę niesamowitego, bo wydawał się dzisiaj znacznie pogodniejszy niż w ciągu kilku minionych tygodni.

- Miło mi to słyszeć. Mam nadzieję, że już tak mu zostanie.

Wyszli wreszcie z baru, wsiedli do samochodu Nicka i pojechali do Bernard Chocołate.

- Czekaj... Czy twój ojciec potrzebował twojej pomocy przy kupowaniu nowych opon? - zdumiał się Nick.

Lucy roześmiała się.

- Nie, ponieważ na motoryzacji nie znam się zupełnie. Po prostu chciałam z nim porozmawiać, bo wiedziałam, że jest przybity, a w samochodzie łatwiej było go przycisnąć do muru niż w domu. bo z wozu nie wyskoczy po gazetę, rozumiesz.

- Co go tak martwi? Perspektywa rozwodu? Twoja mama nie dała się przekonać?

Obróciła głowę w jego stronę.

- Nick, czemu tak wypytyujesz o moje sprawy rodzinne?

- To chyba nie jest nielegalne?

- Nie, ale nie zamierzam cię nimi zanudzać.

- Nie zanudzasz mnie, naprawdę chcę wiedzieć.

Po chwili wahania odezwała się:

- Z tatą zaczęło być lepiej. Gdy tylko wrócił do pracy, skończyło się popijanie whisky i piwa.

co mnie ogromnie ucieszyło. Greta wywołała w nim poczucie winy i zagoniła go do sprzątanania, co też mu się przysłużyło. Ale kiedy wczoraj wieczorem wróciłam z pracy, tata siedział w kuchni i płakał. On, który od lat nie uronił ani jednej łzy! I to jak płakał!

- Rozumiem, że rozmawiał z twoją mamą?

- Tak. Zadzwoiła powiedzieć mu, że w przyszłym tygodniu spotykają się u prawnika w sprawie rozwodu. I wiesz, co dodała?

- Co takiego?

- Że w normalnym związku każde z małżonków zatrudnia własnego adwokata, ale mój ojciec jest beznadziejną ciapą i nie będzie umiał zadbać o własne interesy, więc ona się tym zajmie. Oczywiście jeszcze bardziej się przez to na niego wkurzyła.

- Wybacz, ale chce mi się śmiać - wyznał szczerze.

- Mnie też, co tu kryć. I śmiałabym się, gdyby to nie byli moi rodzice. - Westchnęła. - Umówiła ich na przyszły czwartek. Spytałam ojca, czy pójdzie. A on na to: „A co mam zrobić, skoro ona już mnie nie kocha?”.

Nick aż się skrzywił.

- Nie wiem, czy rodzic powinien powtarzać dziecku takie rzeczy. To za duży ciężar na twoje barki. Luce.

- To jeszcze nie koniec... Powiedział, że stra-

cił grunt pod nogami. Bez mojej matki nic nie ma dla niego sensu.

Strażnik, ujrawszy właściciela, otworzył bramę bez pytania i chwilę potem Nick zatrzymał wóz na zupełnie pustym parkingu. Wyraźnie na terenie biurowca i laboratoriów oprócz nich nie było nikogo.

- I co mu odpowiedziałś? - spytał, ledwie wysiedli.

- Przede wszystkim starałam się go wysłuchać. Mówił straszne rzeczy. Jeszcze półtora miesiąca wcześniej był kimś, a teraz stał się cieniem dawnego siebie. Nikomu na nim nie zależy. Nie ma się z kim podzielić tym, co wydarzyło się w szpitalu. Czasem w pracy łapie się na myśli: „Konieczmie muszę opowiedzieć o tym Evie”, a potem uświadamia sobie, jak wygląda sytuacja między nimi. Powoli zaczyna więc dochodzić do wniosku, że najlepiej byłoby rano w ogóle nie wstawać, bo po co? Przeraził mnie tym.

- Faktycznie nie jest dobrze.

- Próbowałam go namówić na wizytę u terapeuty rodzinnego, ale on nie chce terapii, on chce wrócić do domu.

- I jakie ma szanse?

- Na razie żadnych. Dopóki on się nie zmieni, mama nie ustąpi. Tymczasem on marzy o tym, żeby było dokładnie tak, jak dawniej. Ona już na

to nie pójdzie. To tak, jakby lis próbował dogadać się z jeżem. Rozumiesz, żadnej płaszczyzny porozumienia.

- Martwisz się więc, czy on nie zaczyna popadać w depresję, tak?

Spojrzała na niego ciepło, wdzięczna za zrozumienie.

- Tak, i to bardzo. Moja siostra wciąż powtarza mi jedną radę: „Wyrzuć go, jest dorosły, musi sam sobie radzić”. Łatwo jej mówić, bo to nie ona jest na moim miejscu. I to nie ona znalazła go wczoraj płaczącego. Jak po czymś takim mogłabym go wyrzucić za drzwi?

- Linia na piasku... - mruknął pod nosem.

- Słucham?

- Każdy z nas podświadomie ustala pewną granicę, której za nic nie przekroczy. Mój dziadek wiele rozumie, ma duży zasób tolerancji dla ludzkich błędów, ale gdy w grę wchodzi honor, wtedy z miejsca sprawa jest poza dyskusją. Twoja mama też wykreśliła swoją nieprzekraczalną linię. Cokolwiek się stanie i jakiegokolwiek koszty przyjdzie ponieść, ona nie wróci już do swojej poprzedniej sytuacji życiowej. Z kolei mój starszy brat Clint pragnie otrzymać coś od mego dziadka i właściwie czeka z rozpoczęciem prawdziwego życia, aż tego czegoś nie dostanie. To akurat najbardziej bezsensowna linia na piasku.

z jaką kiedykolwiek się zetknąłem. Ty z kolei zakreslasz granicę, gdy w grę wchodzi miłość i lojalność. Nie możesz postępować wbrew nim, więc nigdy nie powiesz tacie, żeby poszukał sobie innego miejsca zamieszkania.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób...
- rzekła w zamyśleniu.

- Ta granica dla każdej osoby przebiega w innym miejscu, jest unikalna. I nawet gdybyśmy chcieli, nie umiemy jej przekroczyć.

Przyglądała mu się badawczo.

- A twoja linia na piasku?

- Moja? - powtórzył, by zyskać na czasie.

- Tak, twoja. Może raz dla odmiany porozmawiajmy o tobie, co? Mam wrażenie, że od słuchania o moich sprawach chyba już ci uszy spuchły.

W tym jednak momencie weszli do głównego laboratorium, więc Lucy natychmiast skierowała się do swojego sejfu. Biedactwo, od lunchu minęło całe dwadzieścia minut, musiała umierać z głodu! Nie wyjęła jednak Niebiańskiej Rozkoszy, jakby się obawiała, że ta czekolada rzeczywiście zmienia porządne dziewczyny w rozpasane nimfomanki.

- Nick, naprawdę nie musisz tu ze mną zostawać. Gdy będę chciała wrócić, mogę sobie pożyczyć jeden z samochodów służbowych.

- Akurat nie mam nic pilnego do roboty, więc

chętnie zostanę i popatrzę, co robisz. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciw temu.

- Nie, nie mam, ale muszę cię uprzedzić, że nie robię dzisiaj nic szczególnie ekscytującego.

Natychmiast pomyślał o tym, co mogliby zrobić ekscytującego... Dziwne, ale ostatnio coraz częściej zdarzało mu się to przy Lucy. Nigdy wcześniej nie myślał o niej w podobnych kategoriach, ponieważ gdy tylko się poznali, zaklasyfikował ją jako należącą do tych kobiet, które traktuje się jak młodszą siostrę, a gdy stało się jasne, że ona się w nim podkochuje, odruchowo stał się wobec niej jeszcze bardziej rycerski i opiekuńczy.

Od jakiegoś jednak czasu miewał całkiem niezłe fantazje seksualne z Lucy w roli głównej, co go o tyle zdumiewało, że była w ciąży i z łatwością potrafił wyobrazić ją sobie z wielkim brzuchem albo trzymającą jakieś wrzeszczące maleństwo. Nie były to żadne podniecające obrazy, niemniej w żaden sposób nie potrafiły umniejszyć jego ochoty, więc dalej oddawał się nieprzyzwoitym myślom, gdy tylko mógł. Co więcej, tak ustalił sobie harmonogram na najbliższy czas, by jak najczęściej widywać się z Lucy. To wszystko stawało się coraz bardziej niepokojące...

Po zjedzeniu solidnego kawałka czekolady, ruszyli w stronę szklarni.

- Byłaś u lekarza? - spytał w nadziei, że może

tak przyziemne sprawy odciągną jego uwagę od tego, na co miałby ochotę.

- Tak. Wszystko w najlepszym porządku. Dał mi też listę godnych polecenia ginekologów, ale dalej będę chodzić do niego, chociaż jest tylko lekarzem rodzinnym. Ma naprawdę dużą praktykę, a to o czymś świadczy.

- Może jednak lepiej byłoby iść do specjalisty?

- Gdyby pojawił się jakiś poważny problem, to pewnie tak, ale ja jestem zdrowa jak ryba. Ufam mu. Co ważniejsze, polubiłam go. Znam całą masę lekarzy, nie zapominaj, z jakiej rodziny pochodzę, mimo to nie lubię do nich chodzić i nie najlepiej się z nimi dogaduję. Ten jest inny. Rzeczowy, bezpośredni, ma poczucie humoru, które mi się podoba.

- Dał ci coś na te mdłości?

- Tak, ale już i tak mi się polepszyło. W ogóle nie zmieniaj tematu, obiecałeś mi powiedzieć o swojej linii na piasku.

- Miałem nadzieję, że już wyleciało ci to z głowy.

- Nie licz na to. No, przyznaj się!

- Powiem ci, dam słowo, jak tylko coś wymyślę.

- Ale się wykręcasz - mruknęła, wystukując kod.

Tak jak Nick się tego spodziewał, Lucy zapomniała o nim, ledwie weszli do szklarni. W tym momencie liczył się dla niej tyle samo, co jakiś

robak. Chociaż nie! Robak pewnie okazałby się ważniejszy, przecież potencjalnie mógłby uszkodzić te jej wychuchane roślinki.

Czy to możliwe, by zakochał się w kobiecie, która wyżej od niego stawiała jakieś zielsko?

- To co robimy? - zawołał, gdyż już zdążyła zniknąć wśród liści.

- Ty nic nie musisz robić - odkrzyknęła.
- Odpocznij sobie. Ja tylko sprawdzę, jak się czują moje nowe dzieci.

- Dzieci?

Poszedł za jej głosem i znalazł ją klęczącą na ziemi obok podłużnego korytka z sadzonkami.

- To moje najmłodsze. - Jej głos aż drżał z podniecenia. - Czyż nie są cudowne?

- No... tak, oczywiście...

- To najpiękniejsza część mojej pracy - wyznała ze wzruszeniem.

Znał ją i wiedział doskonale, że nie należy jej w żaden sposób zachęcać do kontynuowania tematu, bo ona może o pracy gadać w nieskończoność. Ale jak miał nie wyrazić zainteresowania, gdy jej oczy błyszczały i w ogóle zdawała się cała promieniować większą energią niż Słońce?

- Producenci czekolady zawsze byli zainteresowani krzyżowaniem odmian, robiono to od wieków, lecz celem było nieodmiennie osiągnięcie lepszej jakości ziarna. Nikt nie próbował

ingerować w samą naturę kakaowca. Orson pierwszy wpadł na ten pomysł. To wielkie odkrycie.

- Mhm...

Jego spojrzenie spoczęło na jej tyłeczku. Jeśli z powodu ciąży przytyła chociaż kilogram, nie było tego widać. Miała rozkoszny tyłeczek. Mały, zgrabniutki, w pewnym sensie... elegancki. Myśli za to budził nieeleganckie, bo facet natychmiast miał ochotę...

- Nie nudzę cię, mam nadzieję?

- Nie, skądże!

- To świetnie. Znasz oczywiście teorię Darwina, która mówi, że słabsi muszą wyginać, a przeżywają tylko najsilniejsi. To dotyczy nie tylko świata zwierząt, ale również i roślin. Jednak nikt nie był zainteresowany uzyskaniem jak najsilniejszych i najodporniej szych drzew, tylko takich, których ziarno dawałoby najsmaczniejszą czekoladę.

- Dziadek też tak robił przez lata.

- Wiem. Potem zmienił sposób myślenia, lecz wydawało się, że to ślepa uliczka, bo ziarno z nowych odmian dawało niedobłą, nieprzyjemnie gorzką czekoladę. Przełom nastąpił, kiedy w ramach kolejnego eksperymentu skrzyżowaliśmy dwa drzewa z dwóch różnych kontynentów. I wyglądało to tak, jakby... jakby się w sobie zakochały.

- Aha. Drzewa. Zakochały się. W sobie.

- Dobra, śmieję się, jeśli chcesz, ale coś takiego

nastąpiło. Posadziliśmy je razem i nagle zaczęły rosnać jak szalone, jakby razem było im ogromnie dobrze. Kiedy zapyliśmy kwiaty jednego pyłkiem drugiego, uzyskaliśmy zupełnie nowe ziarno, które daje Niebiańską Rozkosz. Nie dość na tym, tu są dzieci z tego związku, kakaowce, które nie muszą rosnać w klimacie tropikalnym. Niesamowite...

- I twoim zdaniem to wszystko z miłości?

- Wiem, że to brzmi trochę wariacko, ale nie znajduję innego wytłumaczenia. Z naukowego punktu widzenia oczywiście jest niemożliwe, by drzewa darzyły się uczuciem, ale fakty są faktami. One dosłownie rozkwitają w swojej obecności i rosą tak bujnie, jak nie rosą nawet w swoich naturalnych warunkach. Jakby wzajemnie dawały sobie siłę.

Nie zamierzał się z nią spierać, bo gdy chodziło o kakaowce i czekoladę, Lucy przypominała walec drogowy. Z walcem się nie dyskutuje, tylko schodzi mu się z drogi.

Wstała wreszcie, po czym pochyliła się, by otrzepać ziemię z kolan. Gdy się wyprostowała, na jej twarzy malowała się tak promienna radość, że Nick oniemiał. Kiedyś myślał, że Lucy jest dziewczyną o dość przeciętnym wyglądzie. Kiedyś myślał, że jemu ktoś taki nigdy by się nie spodobał. Nawet nie bardzo pamiętał tamte szalo-

ne chwile, gdy byli ze sobą, zbyt był odurzony, to było jakieś czyste wariactwo.

W tym momencie jednak nie było mowy ani o żadnej przeciętności, ani o żadnym wariactwie. Miał przed sobą kobietę o błyszczących oczach, pogodnym uśmiechu, delikatnej skórze i... z plamami brudu na kolanach. Jak jego serce miało to znieść bez szwanku?

- Luce...

- Pewne chcesz już iść? Zaraz, tylko trochę sprzątnę, to zajmie mi dosłownie sekundkę...

- Pytałaś mnie, jaka jest moja nieprzekraczalna linia.

Zatrzymała się, spojrzała na niego, przechylając głowę na bok.

- Tak, pytałam.

- Otóż w pewnych sytuacjach nie mogę się wycofać. Nawet jeśli będzie mnie to dużo kosztować, nawet jeśli wszyscy inni ludzie potrafiliby w danej sytuacji odwrócić się i odejść... Ja nie potrafię. Nie chcę. Jeśli jest to jakiś problem, z którym muszę się uporać, jakieś wyzwanie, to nie czekam. Muszę się od razu z nim zmierzyć.

- Chyba rozumiem. A co na przykład mogłoby być takim wyzwaniem?

- To.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lucy spostrzegła, że Nick robi krok w jej stronę, wyciągając ręce. Odruchowo spojrzała po sobie, sądząc, że musiała się ubrudzić, a on chce ją otrzepać. Miała wyjątkowy talent do tego, by umorusać się w pięć minut i przypominać nieboskie stworzenie, podczas gdy Nick w każdej sytuacji wyglądał nienagannie i elegancko.

W ciągu tej krótkiej chwili, gdy mierzyła się krytycznym spojrzeniem, Nick zdążył zrobić drugi krok. Chwycił ją za nadgarstki, uniósł jej ręce i splótł je sobie na karku. Zrozumiała, że zamierza ją pocałować, otworzyła usta, lecz nie wydobyło się z nich ani jedno słowo protestu, gdyż spoczęły na nich wargi Nicka.

Przez tyle długich tygodni zachowywała się naprawdę grzecznie i przyzwoicie. Starła się nie

okazywać, jak ogromne robił na niej wrażenie, nie zdradzała, że nieustannie gościł w jej myślach. On jednak szalenie utrudniał jej bycie taką porządną, ponieważ nieustannie prowokował ją do tego, by podziwiała go jeszcze bardziej! Oddał jej swój dom do dyspozycji, pragnął pomagać i zaspokajać jej potrzeby, pozwolił, by to ona ustaliła, co zrobić, wreszcie bez mrugnienia okiem przyjął jej decyzję o urodzeniu dziecka. Na pewno nie było mu łatwo w tak ważnej kwestii oddać stery w ręce kogoś innego.

Na początku myślała, że to wyłącznie fizyczna fascynacja, zwykła chemia, gra feromonów i hormonów. Teraz jednak wiedziała już, że to coś znacznie, znacznie więcej. Nick był nie tylko godzien podziwu.

Był godzien miłości.

Dlatego też pocałowanie jej było najgorszą rzeczą, jaką mógł zrobić!

Mocniej otoczyła go ramionami. Wyżej wspięła się na palce. Silniej zacisnęła powieki. Oddała pocałunek, wkładając w to całą siebie. Och, jak on fantastycznie smakował! Smakował czekoladą. Dokładnie tak, jak pamiętała.

Już i tak była w ciąży, więc chyba mogła się zapomnieć? W tej sytuacji nikt nie powinien jej za nic winić, prawda?

Prawda!

Może z racjonalnego punktu widzenia nie najmądrzej wybrała ojca swego dziecka, gdyż przez to całe jej życie stanęło na głowie, ale z drugiej strony nie mogła wybrać lepiej. Był seksowny i inteligentny. Spokojny i opanowany. Miał diabelnie zgrabne pośladki i wielkie serce. Szanował swoją rodzinę. Ich dziecko odziedziczy wspaniałe geny. Przynajmniej po nim...

Otaczało ich przefiltrowane przez gąszcz liści światło, zapach żyznej ziemi oraz cisza, w której słyhać było jedynie bicie ich serc, bo nawet nie oddechy, nie mieli czasu oddychać, całując się z rosnącym zapamiętaniem. Lucy dokładnie pamiętała smak jego warg, dotyk jego języka, wszystko to wryło jej się w pamięć podczas Nocy Czekolady, lecz tym razem nie próbowała Niebiańskiej Rozkoszy, nie piła też szampana, w dodatku był środek dnia, więc nie istniał żaden racjonalny powód, dla którego miałaby czuć się w jego ramionach tak rozpalona, tak wyzwolona, tak... bezwstydna. Wszystkie jej głęboko skrywane fantazje nagle wyszły na jaw, wszystkie pragnienia również - i przejęły rządy.

Wyprężyła się i zmysłowo otarła o ciało Nicka, czując, jak jej piersi, i tak większe niż miała kiedykolwiek, aż pęcznieją. Jej brzuch, odrobinę już wypukły, zachęcająco przejechał po jego płaskim brzuchu. Reakcja Nicka była natych-

miastowa - twarda, gorąca, łatwo wyczuwalna przez ubranie.

Na moment oderwał wargi od jej ust, by gwałtownie wciągnąć haust powietrza, otworzył oczy, zerknął na Lucy, na jego twarzy odbiło się zdumienie, po czym znowu zaczął ją całować, coraz namiętniej i chciwiej, a jego dłonie odnalazły górny guzik jej bluzki. Rozpięły go. Potem następny. I następny. Każdy kolejny rozpięty guzik oznaczał pakowanie się w kolejne kłopoty, chociaż zdaniem Lucy i tak mieli ich wystarczająco dużo.

Zabrała ręce z karku Nicka.

Zabrała je tylko po to, by wsunąć je pod jego bluzę z długim rękawem, przesunąć z lubością po jego torsie, podciągnąć mu bluzę wyżej i wreszcie ściągnąć mu ją przez głowę. Na jego ustach pojawił się uśmiech, lecz znikł szybko, kiedy Lucy wspięła się na palce i tym razem to ona go pocałowała, ale tak, że wyrwał mu się gardłowy jęk, zupełnie jednoznaczny w swojej wymowie. Puls jeszcze jej przyspieszył. To niewiarygodne, wyśniony mężczyzna Lucy pragnął właśnie jej!

Spodnie i tak miała już rozpięte, ponieważ od jakiegoś czasu nie dopinały się na niej, dlatego też nosiła wyłącznie dłuższe koszule, które wyrzucała na wierzch. Nick chwilowo nie wykorzystał tego ułatwienia, zajął się ściąganiem z niej bluzki, a potem staniczka. Biustonosz był nowy, gdyż

w poprzednie przestała się mieścić. Niestety, Nick nawet nie zauważył, jak seksownie wyglądała w tej bieliźnie w kolorze czekolady z cytrynową koronką. Staniczek błyskawicznie poszybował gdzieś pomiędzy liście w ślad za koszulą i bluzą.

Nick przygarnął ją mocno do siebie i powoli usiadł na ziemi, tak by Lucy musiała opleść go nogami. Dzięki temu poczuła go mocniej i chociaż oboje mieli na sobie spodnie, było to niewiarygodnie podniecające doznanie.

- To czyste szaleństwo... - mruknął Nick.
- Wiem.
- Teraz sama widzisz, że czekolada nie ma z tym nic wspólnego.
- Widzę.
- Nie wiem tylko, czy kobieta w ciąży może to robić.
- Kobiecie w ciąży nie odmawia się niczego.
- Do licha, Lucy, nie żartuj sobie! Tym razem to będzie moja wina!
- Mam nadzieję... - szepnęła, nachyliła się i przesunęła wargami po jego szyi.

Jeszcze dało się wyczuć rzeźki zapach jego pianki do golenia, a już odrastający zarost zmysłowo drażnił jej usta. Odchyliła się z uśmiechem, by ogarnąć zachwyconym spojrzeniem tors Nicka, zapominając przy tym, że dzięki temu on może z równym upodobaniem obejrzeć sobie jej

biust. Nieduży, za to ogromnie wrażliwy na pieszczoty, o czym Nick wkrótce się przekonał.

Wbrew temu, czego spodziewała się Lucy, zwolnił trochę tempo i nie zaczął się z nią turlać po podłodze. Tym razem to on się nachylił i powiódł językiem wzdłuż jej szyi i dekoltu, po czym bez trudu podsadził ją nieco na rękach i dobrał się do jej piersi, smakując je bez pośpiechu, z wycuciem.

Nie miała pojęcia, że czułość potrafi być jeszcze bardziej zmysłowa niż nagie pożądanie - tak zmysłowa, że aż niemal nie do zniesienia. Lucy przestała myśleć, prawie zapomniała, jak się oddycha. Poczuła się straszliwie bezbronna.

- Nick... - jęknęła cichutko, w jej głosie zabrzmiała obawa.

Chociaż o nic go nie spytała, odpowiedział, jakby ją doskonale rozumiał:

- Nie zrobię nic, czego byś nie chciała. Nigdy.
- Na chwilę uniósł głowę, spojrzał jej w oczy.
- Zaufaj mi.
- Ufam ci.
- Do licha, ale nie ufaj mi aż tak!
- Tylko tobie ufam aż tak.
- Po prostu nie chcę, żebyś kiedykolwiek żałowała...

- Nick, czy mógłbyś przestać gadać? - Kiedy umilkł, rzekła: - Dziękuję. - I pocałowała go.

Dobrze się złożyło, że Nick miał doświadczenie

w tych sprawach, gdyż ona nie miała bladego pojęcia, jak ściągnąć i swoje spodnie, i jego, ponieważ żadne nie chciało się od tego drugiego oderwać na kilkanaście sekund, które były potrzebne, by pozbyć się reszty ubrań. W rezultacie zajęło im to nieco dłużej i wymagało prawdziwych akrobacji. Nie mieli się na czym położyć, dlatego Nick wymyślił tę siedzącą pozycję. W rezultacie Lucy wyszła na tym lepiej, gdyż spoczywała wygodnie na udach Nicka, on jednak aż jęknął, gdy po zdjęciu bielizny usiadł na zimnym cemen-cie. Lucy nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem, spoważniała jednak prawie natychmiast.

Wszedł w nią - czuły, uważny, zmysłowy i... równie samotny jak ona. Dlatego tylko jemu jej serce mogło zaufać. Przy nim czuła się bezpieczna, a więc i wolna, by robić to, czego naprawdę pragnęła. To nie czekolada, nie szampan i nie poczucie sukcesu tak ją wtedy upoiły, tylko on sam. To on tak na nią działał. Wiedziała, że nigdy nie spotka drugiego takiego mężczyzny, dlatego też chciała znów być z nim jeszcze ten jeden raz. Za nic by z tego nie zrezygnowała, ponieważ już tylko z nim mogła się kochać. I chciała urodzić jego dziecko.

Przepełniło ją poczucie ogromnej mocy oraz radości, jakiej nigdy jeszcze nie zaznała. A do tego, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki,

zmieniła się w roznamiętnioną, nieprzyzwoitą kobietę, nie mającą żadnych zahamowań, gdy chodziło o zaspokojenie jej seksualnych potrzeb.

Nawet nie „jak”, ale dosłownie za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, którą dysponował Nick...

Poruszał się rytmicznie, coraz szybciej i szybciej, zabierając ją w rejony takich doznań, jakich istnienia dotąd nie podejrzewała, więc nawet nie mogła o nich marzyć. Skóra ich obojga stała się gorąca i pokryła się potem, ich otwarte oczy, szalone, półprzytomne, nie odrywały się od siebie ani na chwilę.

- Nick, proszę... Weź mnie, weź...

Odszepnął coś, co brzmiało jak:

- Kochaj mnie, Lucy...

Musiała się przestyszeć, gdyż to byłoby już zbyt piękne. I tak nie dowierzała własnemu szczęściu, mogłaby przysiąc, że nigdy żadna kobieta nie przeżyła czegoś równie wspaniałego. Przypieszył jeszcze, odgadła, że chciał, by szczytowali razem, nie musiał nawet nic mówić, niewypowiedziane słowa pulsowały jej w uszach: „Chodź, chodź, teraz, teraz, teraz...”

Wstrząsnął nią dreszcz rozkoszy, gorący, przejmujący, słodki, intensywny. Zaraz potem poczuła napełniające ją gorąco, gdy Nick eksplodo-wał tuż po niej z taką siłą, że aż wyrwał mu się okrzyk zaskoczenia, a potem cichy śmiech. Wreszcie oboje opadli z sił. oparli się o siebie

bezwładnie, głowa Nicka spoczęła na ramieniu Lucy, ona z kolei oparła policzek o jego głowę i tak trwali, oddychając ciężko, ba, raczej sapać jak dwie lokomotywy, i to parowe.

Lucy nie zamierzała się ruszyć w najbliższej przewidywalnej przyszłości. Najchętniej przysnęłaby, wciąż czując w sobie Nicka, będąc bezpiecznie z nim zamknięta w miejscu, które kochała najbardziej. Powstrzymała ją jedynie myśl, że jemu zapewne jest znacznie mniej wygodnie niż jej.

- Luce? - mruknął.

- Mmm? - odmruknęła.

- Chyba oboje upadliśmy na głowę.

Wyprostowała się, ujęła jego twarz w dłonie, z powagą zajrzała mu w oczy.

- Nie żałuj tego, proszę.

- Nie mógłbym tego żałować - zapewnił ją natychmiast, bojąc się, że mogła go źle zrozumieć. - Nigdy.

Odetchnęła z ulgą.

Cóż, było trochę za późno na udawanie, że wcale się w nim nie zakochała. W każdym razie nie mogłaby wybrać lepiej. Owszem, nie miała gwarancji, że on kiedyś też coś do niej poczuje. Owszem, samotne macierzyństwo pewnie okaże się znacznie trudniejsze, niż się spodziewała. A mimo to nie mogła mądrzej ulokować swoich uczuć.

Tylko z Nickiem czuła się jak kobieta zupełnie

wolna i pełna mocy, tylko przy nim stawała się taka, jaka zawsze chciała być. Cała reszta świata mogła ją uważać za nudną pedantkę, proszę bardzo. Wcale jej to nie przeszkadzało, ponieważ dzięki Nickowi wiedziała już, że jest kimś więcej. że kryje się w niej ogromny potencjał. Będąc z Nickiem, zadziwiła samą siebie.

Chciał się z nią ożenić... Oczywiście kierowało nim wyłącznie poczucie odpowiedzialności, Lucy nie miała co do tego żadnych złudzeń. Gdyby nie ciążyła, nigdy by nie pomyślała o związku z nią. Starła się to zaakceptować, ponieważ i tak otrzymała od niego coś, co dało jej więcej niż cokolwiek innego w życiu. I już nikt jej tego nie odbierze, nawet gdyby na tym miał być koniec.

Minęły dwa tygodnie, a Nick nie potrafił zapomnieć o tamtym popołudniu. Chociaż miał na głowie całą masę spraw i problemów, nieustannie widział przed sobą twarz Lucy i myślał o tym, jak bardzo jest za nią odpowiedzialny. Nie miało znaczenia, kto sprowokował zajścia tamtej szalonej nocy, liczyło się tylko to, że narodziny dziecka - jego dziecka - już na zawsze zmienią życie Lucy.

A jednak nawet największe poczucie odpowiedzialności nie tłumaczyło emocji, jakie zaczęła w nim budzić. Lubił ją, oczywiście. Od samego początku. Ciekawe, że zupełnie nie przypominała

znanych mu kobiet. Och, Nick doskonale wiedział, jak radzić sobie z luksusowymi kobietami, ale nie miał pojęcia, co począć z taką, która nic od niego nie chciała i w sumie chyba dość nisko ceniła to, co miał do zaoferowania. Nawet nie zadawała sobie trudu, by znaleźć dla niego czas! Dla mężczyzny, za którym płęć piękna uganiała się przez całe lata. Była to niezła lekcja pokory.

Na pewno podkochiwała się w nim, to nie ulegało wątpliwości. Gdyby nic do niego nie czuła, nie doszłoby do tamtej nocy. Ani do tamtego popołudnia. Wystarczyło ją pocałować, by natychmiast rozplątywała się... jak czekolada w ustach. Z drugiej strony wystarczało, by znajdowała się dalej niż na wyciągnięcie ręki, a natychmiast zaczynała traktować go bardzo rzeczowo, choć przyjaźnie i wyraźnie starała się zachowywać dystans.

Nie dość, że nie chciała za niego wyjść, to jeszcze na każdym kroku dawała mu to do zrozumienia! Co więcej...

- Jedźmy wreszcie! - zakomenderował Orson.

Jego szofer i wnuk ukradkiem wymienili spojrzenia. Orson od dziesięciu dni nie mógł obejrzeć ukończonej nowej szklarni, ponieważ prawa noga dawała mu się mocno we znaki, a konkretnie staw biodrowy. Tego dnia czuł się jeszcze gorzej, w dodatku zbierało się na burzę, lecz mimo to Madris i Nick woleli ulec jego żądaniom i zabrać

go z domu, niż zostawiać go dłużej w tym „więzieniu”, jak się wyraził. Miał dość tego cackania się z nim, życzył sobie natychmiast obejrzeć postępy przy realizacji projektu!

Nie potrafił pogodzić się z chorobami i poważniejszymi dolegliwościami, więc gdy go dopadały, stawał się nieznośny, opuszczały go zwykłe opanowanie, rozwaga i pogoda ducha. Wszyscy próbowali schodzić mu z drogi i w rezultacie rozeźlony Orson zawsze dzwonił wtedy po młodszego wnuka, gdyż nikt inny nie był w stanie znieść jego humorów.

Kiedy dojechali na miejsce, Orson odwrócił głowę od okna i przytąpał tamtych dwóch na kolejnej wymianie znaczących spojrzeń.

- Nie życzę sobie żadnych komentarzy - warknął rozeźlony.

- Nie zamierzam nic mówić - odparł spokojnie Nick. - Lucy mnie wyreczy, bo kiedy zobaczy, jak utykasz, od razu zmyje ci głowę,

- Nic podobnego. W odróżnieniu od was dwóch ma dla mnie szacunek!

Madris, który już za czasów dzieciństwa Nicka wyglądał jak pomarszczony staruszek, znał swego chlebobawcę doskonale, nie tracił więc czasu na zbędne dyskusje. Zamiast tego zwrócił się do Nicka:

- Będę tu czekał.

- Nie - uciał Orson. - Wracaj do domu, przyjedziesz, jak zadzwonię.

- Dobrze, proszę pana - przytaknął szofer, a gdy szef odwrócił głowę, samym ruchem warg przekazał Nickowi: - Będę tu czekał.

Madris wysiadł, by otworzyć Orsonowi drzwi, Nick zaś wziął laskę, obszedł samochód i podał ją dziadkowi.

- Wczoraj wieczorem rozmawiałem z twoim bratem. W czerwcu chce zabrać Gretchen do Europy.

- To świetnie.

- Spytał, czy nie pojechałbym z nimi - ciągnął Orson.

Nick wyczuł, że dalsza część rozmowy nie przebiegła najprzyjemniej, choć nie potrafił jeszcze odgadnąć, o co poszło.

- To trochę długa podróż dla kogoś z chorą nogą - zauważył ostrożnie.

- Nie z takimi dolegliwościami zdarzało mi się jeździć po świecie - fuknął Orson. - To by mnie nie powstrzymało.

- A powstrzymuje cię coś innego? Nie chcesz jechać?

- Oczywiście, że chcę.

Co więc odpowiedziałeś?

- Odmówiłem z miejsca. Jak Clint chce mnie gdzieś zaprosić, to niech to będzie uroczysty

obiad z okazji zabrania się do jakiejś sensownej pracy. Oto, co mu powiedziałem!

Nick skrzywił się nieznacznie, gdyż z łatwością potrafił sobie wyobrazić dalszy ciąg rozmowy, a tymczasem dziadek wysforował się do przodu mimo bolącego biodra. Zamiast spokojnie opierać się o laskę, walił nią o ziemię jak taranem. Po drodze łypał ponuro na pracowników, jedna Reiko została potraktowana łagodniej i obdarzona skinieniem głowy.

Lucy nie było ani w głównym, ani w prywatnym laboratorium, nie zastali jej też w ukochanej szklarni. Poszli dalej, gdzie wznosiły się nowe. Pierwsza była już ukończona, pozostałych pięć wyglądało na razie jak podłużne szkielety jakichś ogromnych stworów.

Przed wejściem do ukończonej szklarni stał samochód z firmy zakładającej instalacje wodno-kanalizacyjne. Jej pracownik wysłuchiwał właśnie jakiejś reprimendy od Lucy, która zasypywała go gradem słów, gestykulując gwałtownie. Wyglądała jak Dawid naprzeciw Goliata i oczywiście nie trzeba było nikomu przypominać, który z nich wygrał. Kiedy zauważyła gości, porzuciła nieszczęsnego człowieka i pospieszyła ku nim, a tamten z westchnieniem ulgi otarł zroszone potem czoło.

- Witajcie! Czemu nie uprzedziliście mnie o swojej wizycie?

- Chcieliśmy zrobić ci niespodziankę. - Orson nachylił się, by Lucy pocałowała go w policzek.

W odróżnieniu od dziadka Nick nie dostał całusa, lecz wzrok Lucy z ogromną czułością na moment zatonął w jego oczach. Nick dotąd nie wiedział, że można kogoś pocałować samym spojrzeniem.

- Ale sobie wybraliście dzień na wizytę! Przecież idzie burza. - To mówiąc, wzięła Orsona pod rękę, jakby tylko w geście przyjaźni, zdradzała ją jednak to, że przedtem z troską zerknęła na łaskę, którą się podpierał.

- Nic nie szkodzi. Chciałem wreszcie zobaczyć, jak posuwa się praca.

- Jak pan widzi, pierwsza szklarnia jest już gotowa, za dwa dni przychodzi pierwsza partia sadzonek. Do tego czasu musimy jeszcze bardzo dużo zrobić.

- Wiem, że masz dużo pracy, moja droga, ale czy mogłabyś mnie oprowadzić po tej nowej szklarni?

- Bardzo chętnie, tylko... Widzi pan, dzisiaj czuję się ogromnie zmęczona. Czy moglibyśmy raczej pojechać wózkiem elektrycznym? Dla mnie byłoby to dużo wygodniejsze. Nie ma pan nic przeciw temu?

- Nie, oczywiście, że nie.

Nick pokiwał głową. No tak, gdyby to on zaproponował jeżdżenie zamiast chodzenia, dzia-

dek dałby mu nieźle do wiwatu, ale ponieważ pomysł wyszedł od Lucy, wszystko było w porządku. No, lecz ona miała znakomity pretekst w postaci swojego stanu, zaś Nick był pozbawiony podobnych argumentów.

Greger, który nie odstępował Lucy na krok, natychmiast pobiegł po wózek, lecz nie dała mu go prowadzić, sama usiadła za kierownicą i obwiozła ich po całym terenie. Buzia jej się przy tym nie zamykała, bo przecież trzeba było opowiedzieć o szczepieniach, sposobach nasadzeń, typach gleby i poziomie wilgotności... Gdy wdała się w ożywioną dyskusję z Orsonem na temat nawozów, Nick przestał słuchać.

Za to nie przestał przyglądać jej się z upodobaniem. Jak zwykle miała na sobie džinsy i proste sandały, lecz tego dnia zamotała na głowie chustkę z bajecznie kolorowego madrasu. Jak zwykle ani śladu makijażu, za to ślady błota na kolanach, dłoniach, jednym łokciu i na policzku. Szkoda brudzić taki śliczny, świeży policzek, pomyślał nagłe. To powinno być zabronione.

Niebo rozdarła błyskawica, potem huknął grom, lecz Lucy nawet się nie zająknęła, rozprawiając dalej ze swadą o uprawie kakaowców.

- Bardzo się cieszę z tej dzisiejszej burzy - oświadczyła. - Sprawdzimy, jak w trudnych warunkach spisuje się oświetlenie, system bez-

pieczeństwa, i tak dalej. Sadzonek jeszcze nie ma. więc w razie czego nie zostaną uszkodzone. Nie mogło się lepiej złożyć.

- Ja też się bardzo cieszę - odezwał się Nick po raz pierwszy. - Ale przeczekaś tę swoją wspianą burzę bezpiecznie w głównym budynku. Ani mi się waż obserwować to, co się będzie działo, z jakiejś bliższej odległości.

Uśmiechnęła się do Orsona.

- On i Greger nie dają mi nawet odetchnąć! Wciąż mi czegoś zabraniają. Nie wiem, który gorszy, idą łeb w łeb...

Nagle rozległ się dziwny dźwięk, cichy i krótki. Lucy zaczerwieniła się po same uszy i odruchowo przycisnęła dłonie do brzucha.

- Znowu odleciał mi guzik - wyjaśniła z zażenowaniem. - Robię się gruba jak beczka. - Machnęła ręką i zapomniała o tym, ponieważ zadzwoniła jej komórka i trzeba było udzielić komuś jakichś precyzyjnych wyjaśnień w kwestii kolejnej dostawy sprzętu laboratoryjnego.

Ledwie skończyła rozmawiać, znowu miała pilny telefon, potem następny, a jeszcze czekali na nią spece od instalacji wodno-kanalizacyjnych, więc Orson zdecydował, że nie będą dłużej zabierać jej czasu, gdyż robota rzeczywiście paliła jej się w rękach.

Nick pojechał z dziadkiem do domu, stamtąd

zaś udał się do swojego biura, gdzie spędził resztę dnia. Po szóstej znów znalazł się w rezydencji. gdyż dziadek poprosił, by wnuk wpadł do niego po pracy. Niebo zaciągnęło się grubą warstwą chmur, zaczęło porządnie padać i byłaby to nawet przyjemna wiosenna burza, gdyby nie porywisty wiatr.

Ledwie Nick zamknął za sobą drzwi, dopadły go psy, wyraźnie znudzone i spragnione zabawy. Pętały mu się pod nogami, nadstawiały do głaskania, znosiły mu piłki, żeby je rzucał do aportowania, piszczące zabawki, gumowe kości, a nawet skarpetki i jeden kapeć. Bubu zdołała ukraść skądś ręcznik i trzymając go mocno w zębach, kręciła łbem na wszystkie strony, powarkując zachęcająco i zapraszając do zabawy. Baby wyłaziła ze skóry, by nakłonić pana do drapania jej za uszami.

Nick wreszcie przedarł się przez te psie zasięki i poszedł poszukać dziadka. Znalazł go siedzącego w salonie od frontu. Obok fotela stała taca z nietkniętą kolacją, kominiek był zimny i ciemny, telewizor wyłączony. Orson miał marsa na czole.

- Zamierzam wynająć prywatnego detektywa - oznajmił wojowniczym tonem.

Nick nie posiadał się ze zdumienia.

- Chcesz śledzić Clinta?

- Po co? Wiem o nim wszystko, i o jego przewinach też, jeszcze zanim je popełni. Będę śledzić Lucy.

- Co?! A niby czemu?

Dziadek wstał, zachwiał się lekko, złapał laskę i zaczął chodzić po pokoju, opierając się na niej.

- Muszę się dowiedzieć, kto jest ojcem jej dziecka. A jak się dowiem, to marne jego widoki.

Nick zamarł ze zgrozy, a gdy wreszcie odzyskał zdolność ruchu, udał się prosto do małego stoliczka, na którym stała karafka z brandy oraz kieliszki. Co prawda prawie nic jeszcze tego dnia nie jadł i wolałby nie pić na pusty żołądek, ale czuł, że będzie tego potrzebował.

- Dziadku, nie masz prawa ingerować w jej prywatne sprawy - rzekł cicho.

- Nie dbam o to! - huknął dziadek. - Widziałeś, co się dzieje. Dziewczynie zaczyna brzuch rosnać, to na razie jeszcze nie rzuca się w oczy, ale niedługo ludzie się zorientują, zaczną ją wypytywać... Nie rozumiem, czemu jej rodzice nie podjęli dotąd żadnej interwencji w tej sprawie.

- Ponieważ to nie ich sprawa ani nikogo innego. Lucy od dawna jest pełnoletnia i potrafi sama zdecydować, co będzie dla niej najlepsze.

- Może ty tak myślisz, ale ja nie. Moim zdaniem tego, kto to zrobił, należałoby wybatożyć! Jak można zostawić kobietę w ciąży ze swoim dzieckiem i nadal zasługiwać na miano mężczyzny?

- Dziadku, to nie jest racjonalne podejście. Nawet nie wiesz, co Lucy sądzi na ten temat.

- Nie obchodzi mnie, co ona sądzi! Wynajmę prywatnego detektywa, znajdę tego drania, załatwię sprawę po mojemu i basta! Jej pewnie wydaje się teraz, że da sobie radę, bo jest młoda i silna, ale jak przyjdzie co do czego, zmieni zdanie. Taka dziewczyna nie może mieć pojęcia, bo i skąd, co to znaczy być samotną matką.

- Dziadku...

- Pewnie chcesz mi powiedzieć, że mam staroświeckie poglądy? Ale to moje poglądy są słuszne, a nie jakieś nowe mody, bo w moim wieku ma się znacznie większą wiedzę o życiu! Dlatego nie zostawię Lucy samej. To wspiała dziewczyna i ktokolwiek zrobił jej krzywdę...

- Dziadku...

- Ktokolwiek to zrobił, znajdę go i...

- Dziadku, nie wynajmiesz prywatnego detektywa do śledzenia Lucy, koniec, kropka! Nie tylko dlatego, że ona by tego nie chciała, ale również dlatego, że nie ma takiej potrzeby. Wiem, kto jest ojcem.

Zapała pełna napięcia cisza. Orson wbił spojrzenie we wnuka, który odstawił kieliszek z brandy, nawet nie zamoczywszy w niej ust. Nie potrzebował alkoholu dla dodania sobie odwagi.

- Wiesz?

- Tak.

- Kto?

- Ja.
- To niemożliwe.
- A jednak.
- Czyli jej dziecko to mój prawnuk?
- Tak.
- Jak mogłeś wykorzystać tę młodą dziewczynę?
- Dziadku, to jest dojrzała kobieta.
- Owszem, ale krucha i wrażliwa. Nie, nie mogę w to uwierzyć. - Orson nie obdarzył wnuka żadnym epitetem, nie podniósł głosu, nie zaklął. Patrzył tylko takim wzrokiem, jakby jeszcze nigdy nic w życiu nie sprawiło mu większego bólu. - Nie ty, Nick. Każdy, tylko nie ty...

To było jak cios w samo serce.

- Dziadku, chciałem ci powiedzieć wcześniej, bo wiedziałem, że się o nią martwisz. Ale ona nie życzyła sobie, by ktokolwiek się dowiedział.
- Ożeń się z nią.
- Nie mogę.
- Musisz.

Była to jednak jedyna rzecz, której Nick zrobić nie mógł, ponieważ takiemu rozwiązaniu zdecydowanie sprzeciwiała się Lucy. Jak miał to wszystko wytłumaczyć dziadkowi, którego bardzo kochał i którego szacunek mógł właśnie utracić, przy czym każde słowo groziło pogorszeniem sytuacji?

Dopiero w tym momencie zrozumiał, jak bardzo ciążyło mu na sumieniu utrzymywanie tej sprawy w tajemnicy przed dziadkiem. Czuł się przez to jak ostatni tchórz. Mimo to wyznanie prawdy wcale nie przyniosło mu ulgi, gdyż cichy głos dziadka i ból w jego oczach okazały się trudniejsze do zniesienia niż najgorsza awantura.

- Dziadku, czasem opieka nad kobietą polega na tym, by uczynić to, czego ona potrzebuje, a nie to, co nam wydaje się dobre.

- Brednie - uciał Orson. - Jak mogłeś zrobić dziecko tej słodkiej, niewinnej dziewczynie, która nie ma nawet dwudziestej części twojego doświadczenia? Co więcej, jak mogłeś spać z osobą, którą zatrudniasz? A przede wszystkim, jak mogłeś spać z kimś, do kogo zupełnie nic nie czujesz?

Nick nie mógł na to odpowiedzieć, ponieważ za żadne skarby świata nie zdradziłby nikomu, kto kogo uwiódł. Wtedy Orson zawiódłby się również na niej i cierpiałby jeszcze bardziej.

- Wyjdz. Wyjdz z mojego domu - zażądał dziadek zduszonym szeptem.

Czyli jednak! Ktoś, kogo Nick kochał ponad wszystko, nie chciał go widzieć, wzgardził nim.

- Dziadku, musimy porozmawiać - poprosił, przewyciężając dziwne dławienie w gardle. - Nie ze względu na mnie, bo wiem, że cię zawiodłem, ale ze względu na Lucy. Kiedy się z nią zobaczysz...

- Wyjdź. Porozmawiam z tobą, ale nie teraz. Teraz nie mogę znieść twojego widoku. Zostaw mnie.

Nick był wewnętrznie przygotowany na wszystko, ale nie na tak rozdzierający smutek w głosie dziadka, nie na takie cierpienie. Najostrzejsze słowa mniej by go zraniły niż cisza, jaka zapadła między nimi dwoma.

Kiedy był chłopcem, bał się, że w jakiś sposób zawiedzie dziadka, ale nawet w najgorszych snach nie przypuszczał, że stanie się to, gdy dorośnie. Czuł się tak, jakby utracił grunt pod nogami, jakby rozsypał się fundament, na którym budował całe życie. Mimo to nie mógł zrobić nic innego, jak spełnić życzenie dziadka i wyjść.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Lucy zawzięła się, że się nie rozklei, choćby nie wiadomo co się działo. W porządku, od trzech tygodni chaos w jej życiu przechodził już w obłęd, lecz tłumaczyła sobie, że nie ma nic przeciw temu, ba, zaczyna się przyzwyczajać, a nawet to lubić. W porządku, jej rodzice się rozwodzili, czyniąc przy tym wiele szumu i zamieszania. W porządku, tata nieustannie przyjmował przyjaciół w jej domu, nie licząc się z porą dnia, a raczej nocy, ale przynajmniej strach przed Gretą kazał mu utrzymywać czystość. W porządku, każde kolejne spotkanie z Nickiem tylko zwiększało to dziwne elektryzujące napięcie, jakie się między nimi pojawiło. W porządku, w pracy nie miała sekundy wytchnienia, gdyż oddano do użytku drugą szklarnię i właśnie miała przyjechać kolejna partia sadzonek.

Wszystko w porządku.

Ale przybycie dwóch partii sadzonek jednego dnia nie było w porządku!

Tego Lucy zupełnie się nie spodziewała. W wyniku czyjejś pomyłki musiała przyjąć dwa razy większą liczbę drzew, niż planowała, niestety, parę rąk miała tylko jedną. Po raz pierwszy w życiu marzyła, by wyhodować swojego klona. Po podróży rośliny były w szoku, należało się nimi zająć z wyjątkową pieczołowitością, każdą zanieść na miejsce, z którego nie będzie już ruszana, każdą odpowiednio podlać i nawieźć, każdą staranie obejrzeć, należało też ocenić, które wymagają przycięcia, a które trzeba już szczepić, gdyż inaczej będzie za późno.

- Nie chcę, żeby mi się tu ktokolwiek kręcił - tłumaczyła gorączkowo Gregerowi. - Ktokolwiek! Niech nikt tu nie wchodzi, nie dotyka moich roślin, nawozów, przyrządów, niczego!

- Będzie dobrze. Lucy, nie denerwuj się.

- Wcale się nie denerwuję!

- Taa, właśnie widzę. Nie zapominaj, że masz mnie. Nikogo tu nie wpuszczę i poprzenoszę wszystkie rośliny na miejsce.

- Dobrze, ty przenoś, ja będę sadzić i szczepić. Do roboty!

- Taa - powtórzył. - Sama nie dasz rady. Na

szczęście cały czas uważam, co robisz, i też już umiem. Ty możesz tylko patrzeć mi na ręce i sprawdzać, czy jest dobrze.

Niby brzmiało to rozsądnie, lecz Lucy mu nie ufała. To znaczy, ufała mu bezgranicznie, gdy chodziło o opiekę nad nią, ale nie pozwoliłaby mu dotknąć jej bezcennych drzew. Każde sadzenie, przycięcie, szczepienie musiało być wykonane w odpowiedni sposób. Czyli dokładnie tak, jak ona chciała.

- A teraz pójdziesz na lunch - zakomenderował w południe Greger.

- Już idę - zgodziła się potulnie i pracowała dalej jak szalona.

O pierwszej przyniósł jej jedzenie. Widać musiała wspomnieć, że ma ostatnio ochotę na owoce morza, gdyż dostała zupę z homara, sałatkę z krabów i kanapkę z tuńczykiem. Dostała też jabłko.

O trzeciej zażądał:

- A teraz trochę odpoczniesz.

- Tak, kilka minut przerwy dobrze mi zrobi - przyznała, nawet nie zwalniając.

O wpół do czwartej oznajmił spokojnie, że albo Lucy robi sobie dwudziestominutową przerwę, albo on dzwoni po pana Bernarda. Natychmiast zgodziła się na wszystko.

O czwartej przyprował Reiko, która zmyła

jej głowę za głupotę i niepotrzebne przepracowywanie się. Ledwo Reiko wyszła, Lucy naskoczyła na Gregera. Jak mógł, zdrajca jeden, polecieć z jeżorem do jej współpracowników? Miał jej pomagać, a nie donosić na nią! W rezultacie wylała go z miejsca, ponieważ była zbyt wykończona, by myśleć rozsądnie.

Nigdy w życiu nikogo nie zwolniła, więc gdy za Gregerem zamknęły się drzwi, zrobiło jej się straszliwie głupio i wstyd. Aż musiała przełknąć łzy. Trudno, stało się. Musiała wracać do pracy, była przecież odpowiedzialna za cały projekt. Firma zaufała jej, zainwestowała pieniądze. Skoro więc trzeba jednego dnia zrobić dwa razy więcej... zrobi to.

Kochała swoją pracę, ale w niczym nie zmieniło to faktu, że kręgosłup bolał ją niemiłosiernie od nieustannego schylania się, kolana bolały ją od klęczenia, oczy bolały od ciągłego mrużenia, gdy koncentrowała się na robieniu nacięć, co wymagało niemal chirurgicznej precyzji. Ziemia powbiła jej się za paznokcie i nasypała do tenisówek, gdzie uwierała ją między palcami. Na dodatek ostatnio Lucy musiała biegać do toalety dobre dwadzieścia razy dziennie. Trochę tego było za dużo.

Kiedy usłyszała, że ktoś wchodzi do szklarni, gwałtownie uniosła głowę. Ujrzała Nicka w dreli-

chowych spodniach i starej, znoszonej bluzie. Zmierzał ku Lucy tak energicznym korkiem, jakby nie miał za sobą całego dnia pracy.

- Jeszcze ciebie mi tu brakowało - fuknęła.
- Jeśli przyszedłeś po to, żeby na mnie nawrzeszczyć tak samo jak inni, to równie dobrze możesz od razu obrócić się na pięcie i wyjść.

- Masz ciężki dzień?

- Doskonale wiesz, że tak, bo pewnie już cała firma o tym mówi. I nie próbuj udawać, że nie wiesz o wylaniu Gregera. - Głos jej zadrżał.
- Fatalnie się z tym czuję. A co dopiero on! Nawet nie chcę o tym myśleć.

- Dobrze cię rozumiem, bo wiem, jak nieprzyjemnie jest kogoś zwolnić. Ale nie przejmuj się, jutro mu to wynagrodzisz, kiedy rano normalnie przyjdzie do pracy. - Przyjrzał jej się z uśmiechem. - Wyglądasz tak, że nawet bardzo głodny tygrys by się na ciebie nie skusił.

Powinna była się domyślić, że Nick nie pozwoli skrzywdzić Gregera.

- A ty nigdy nie lubiłeś bawić się w błocie, gdy byłeś mały?

- Ba, pewnie! Nadal lubię, ale brakuje mi okazji. - Podwinął rękawy. - Mam pewien plan.

- Jaki plan?

- Otóż powiesz mi dokładnie, co jeszcze musi dzisiaj zostać zrobione. To, co naprawdę trzeba

zrobić, zauważ, a nie to, co ty byś chciała mieć zrobione. Zabierzemy się za to razem.

- Jak to? Nie zamierzasz się ze mną kłócić? Kazać mi co chwilę odpoczywać? Z powodu ciąży traktować mnie jak kalekę?

- Słuchaj, tutaj to ty jesteś szefem, mała, i ty wydajesz rozkazy. Korzystaj więc z okazji, że masz chętnego, w którego możesz poorać.

Uległa, ponieważ ani nie próbował dotykać roślin, ani nie robił żadnych uwag na temat jej pedanterii. Zamiast tego postępował jak osoba asystująca chirurgowi, dbając o to, by Lucy zawsze dostawała do ręki dokładnie to narzędzie, którego w danym momencie potrzebowała. W rezultacie mogła skupić się na samym sadzeniu, przycinaniu i szczepieniu, bez konieczności pchania wózka z narzędziami i schylania się po nie za każdym razem. Wystarczało, nawet nie patrząc, wyciągnąć rękę w bok, a Nick zabierał jedno narzędzie i podawał drugie. Chociaż nie sprawdzała czasu, wiedziała, że robota idzie jej znacznie szybciej niż wtedy, gdy pomagał jej Greger, nie wspominając już o tej godzinie czy dwóch, gdy pracowała sama.

Z powodu przemęczenia i stresu nie od razu do niej dotarło, że coś jest nie tak. Nick w ogóle się nie odzywał, za co była mu wdzięczna, gdyż każde słowo rozpraszałoby ją, jednak to jego

milczenie w końcu wydało się Lucy dziwne. Uśmiechnął się tylko raz, i to w odpowiedzi na jej uśmiech. Wydawał się spięty, w jego oczach czaił się smutek i jakby ogromne znużenie.

W połowie ostatniego rzędu sadzonek rzuciła nagle:

- A teraz powiesz mi, co się stało.

Jednocześnie szybko obróciła głowę ku niemu, by ujrzeć wyraz jego twarzy.

- Nic.

Kiedy nie przestała przyglądać mu się badawczo, przyznał:

- No dobra, jestem zmęczony.

Gdy nadal nie spuszczała z niego pytającego spojrzenia, nie pozostało mu nic innego, jak rzec:

- Mam ci coś do powiedzenia, ale poczekam z wyznaniemi, aż nie będziesz musiała się tak koncentrować.

- Mów teraz.

- Dziadek wie, że to ja jestem ojcem.

Święty kozik, który swego czasu otrzymała od Ludwiga, wypadł jej z ręki.

- Jak to możliwe?! Nick, przecież mi obiecałeś! Och nie...

- Nie miałem wyjścia. Zamierzał wynająć prywatnego detektywa, śledzić cię, dowiedzieć się, kto zawinił i spuścić mu lanie.

- Co takiego? O, mój Boże! - Parsknęła

krótkim śmiechem. - Sama nie wiem, czy mam śmiać się czy płakać. - W następnej chwili spowaźniała. - Nick, tak mi przykro! To musiała być ogromnie bolesna rozmowa.

- Cóż... Przynajmniej teraz jest wszystko jasne. To i tak prędzej czy później wysłoby na jaw.

- Porozmawiam z twoim dziadkiem.

- Nie zgadzam się.

- Słuchaj, nie wmawiaj mi, że nie obarczył cię całą winą, bo znam jego staroświeckie poglądy. My jednak wiemy doskonale, kto ponosi odpowiedzialność za to, co się stało.

- Tak. My oboje. Bo zrobiliśmy to razem, pamiętasz?

O, tak, pamiętała! Jak mogłaby zapomnieć i o Nocy Czekolady, i o tamtym cudownym popołudniu w szklarni, gdy kochali się na betonowej podłodze, a dookoła nich leżały porzucane ubrania? W obu przypadkach wrył jej się w pamięć każdy gest, każdy pocałunek, każdy jęk pożądania, każdy uśmiech, jaki wymienili. Zapach jego skóry. Dotyk jego rąk. Smak jego ust.

Nie miała pojęcia, czemu wtedy chciał się z nią kochać. Rozmyślała o tym niemal przez całą noc z soboty na niedzielę, lecz nic nie wymyśliła. Wiedziała tylko jedno - znowu zmieniła się w inną kobietę, kobietę wyzwoloną, silną i od-

ważną, która bardzo jej się podobała. Tym razem jednak nie był to wpływ Niebiańskiej Rozkoszy, lecz samego Nicka. Czyżby i za pierwszym razem chodziło właśnie o niego?

- Wiesz co? Chyba jednak skończymy na dzisiaj, jestem już zupełnie skonana.

Owszem, była skonana, lecz to nigdy nie powstrzymałoby jej przed dokończeniem tego, co sobie zaplanowała, w rzeczywistości chodziło jej wyłącznie o dobro Nicka. Przygarbił się, wyglądał na znużonego, lecz nie pracą fizyczną. Przygniatał go ciężar konfliktu z dziadkiem. Powrót do domu i odpoczynek lepiej mu zrobią niż ciężka harówka u boku Lucy.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

Ku jej zaskoczeniu Nick uparł się, że powinna nocować u niego i nic nie mogło odwieść go od tego pomysłu.

- Tak będzie najrozsądniej i w sumie najprościej. Lecisz z nóg, do ciebie jest pół godziny drogi, a do mnie ledwie rzut kamieniem. W dodatku będziesz pewnie chciała bardzo rano wstać, żeby dokończyć dzisiejszą pracę.

- Muszę wrócić do domu.

- Nie będę ci w żaden sposób przeszkadzał, nie obawiaj się. Mam całą stertę papierkowej roboty, więc zaszyję się w moim gabinecie i tyle

będziesz mnie widziała. Wykąpiesz się spokojnie, odpoczniesz... Czy mam ci przypomnieć, jak wygląda moja łazienka? Wiesz, ta z wanną przed kominkiem, wieżą stereo i telewizorem na ścianie, no i z...

- Nie musisz, pamiętam - odparła, zupełnie już przekonana do pomysłu, gdyż bolała ją każdy miesiąc, więc wizja kąpieli w tej bajecznej łazience okazała się nie do odparcia. Wyłącznie dla zachowania pozorów Lucy zdobyła się jeszcze na słaby protest: - Ale nie będę miała się w co przebrać, przecież ten fiołkowy szlafrok zabrałam do siebie... I muszę jeszcze zadzwonić do mamy i do siostry...

Na wszystko miał gotową odpowiedź. Lucy może bez ograniczeń korzystać z jego telefonu. Chodzić w jego szlafroku, bardzo miękkim, ciepłym i wygodnym. A przede wszystkim skorzystać z jego lodówki, znakomicie zaopatrzonej, nawiasem mówiąc.

Z tym ostatnim wcale nie przesadził. Lucy nie pamiętała, by wspomniała mu o straszliwym apetycie na orzeszki, jaki miała ostatnio, lecz ledwie przestąpili próg jego domu, Nick zaserwował jej kanapkę z masłem orzechowym. Gdy zaspokoili pierwszy głód, dostała sałatkę Waldorf z selera, jabłek i orzechów, potem kurczaka w migdałach, a na deser babeczki z marchwi i...

orzechów. Gdyby jakiś inny mężczyzna podjął ją taką ucztą, pewnie spodziewałby się jakiejś formy zapłaty ze strony tak ugoszczonej kobiety, Lucy nie wątpiła jednak, że Nick dbał o nią wyłącznie ze względu na ciążę i swoje poczucie odpowiedzialności.

Niemal z tęsknotą pomyślała o epoce kamienia łupanego, gdy nie zawierano małżeństw, więc ciąża pozamałżeńska była po prostu ciążą, a nie czymś, co komplikowało ludziom życie. Skutki jednego jedynego szalonego wyskoku Lucy zdawały się zataczać coraz szersze kręgi, ogarniając coraz więcej osób. Nie tylko na zawsze odmieniła swoje życie i Nicka, ale również zagroziła wzajemnej miłości dwóch ludzi, którzy byli jej tak bliscy!

Nick szybko uporał się z kolacją i wycofał do gabinetu, polecając Lucy, by zawołała go, gdyby czegoś potrzebowała. Nie potrzebowała niczego, dokończyła kolację, zmiatając wszystko do ostatniego okruszka, wzięła kąpiel, a potem obejrzała film „Turner i Hooch”, jeden ze swoich ulubionych, którego nie widziała już od dawna. Niestety, tym razem nie poprawił jej nastroju, gdyż prawie nie zwracała uwagi na akcję.

Jej ręka co chwilę wracała na powoli rosnący brzuch. Lucy znienacka wyobraziła sobie spokojne

ciemnowłose maleństwo o niebieskich oczach. A potem jasnowłose i uparte. Niezależnie od tego, jak miało wyglądać i jakie miało być, ogarnęła ją taki przypływ macierzyńskich uczuć, że myślała, że zaraz pęknie.

Kiedy film się skończył, postanowiła iść do Nicka i porozmawiać z nim o Orsonie. Ogromnie pragnęła jakoś załagodzić tę patową sytuację, lecz nie miała pojęcia, co mogłaby zrobić. Nim poszła do gabinetu Nicka, na chwilę przysiadła na jego łóżku, próbując pozbierać myśli.

Kiedy się obudziła, leżała w granatowej pościeli, a poranne słońce łagodnie ogrzewało jej twarz.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Nick nie wyszedł do pracy przed siódmą rano. Stał przy otwartym kuchennym oknie i patrzył na skraj zagajnika, skąd wyłoniła się sarna ze swoim młodym. Biało-brązowy jelonek był jeszcze tak malutki, że potykał się, gdy próbował truchtać nieco szybciej, za to przyssać się do źródła mleka umiał znakomicie. Właśnie to zrobiło, a jego mama stała nieruchomo, jedynie trwożliwie obracając głowę na wszystkie strony i obserwując ciemnymi oczami, czy gdzieś nie czyha niebezpieczeństwo. Nick prawie nie śmiał oddychać, bojąc się ją spłoszyć. Pomyślał, że Lucy będzie

właśnie taką mamą - opiekuńczą i czujną, a jednocześnie rozumiejącą potrzeby dziecka, więc nie ograniczającą go.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz pozwolił sobie i wszystkiemu naokoło po prostu być, kiedy ostatni raz stał spokojnie, wdychając zapach porannej rosy i róż, przyglądając się temu, co żyje... Nagle zadzwonił telefon. Albo sarna usłyszała ten dźwięk, albo spostrzegła gwałtowny ruch w oknie, w każdym razie błyskawicznie znikła ze swoim młodym w zagajniku. Nick odebrał, zaskoczony imieniem, jakie ujrzał na wyświetlaczu. Clint nie miał zwyczaju wstawać przed dziesiątą.

- Co, do diabła, wydarzyło się między tobą a dziadkiem?

To tyle, jeśli chodzi o wachanie róż, pomyślał z rezygnacją Nick i nalał sobie z ekspresu już trzecią tego dnia kawę.

- Nie jest ci przyjemnie, że dla odmiany to nie ty masz u niego przegwizdane?

- Nie - zirytował się Clint. - Wcale mnie nie bawi, że mój brat się czymś podłożył. W dodatku nie wiem, czym, a co za tym idzie, nie wiem, jak mógłbym pomóc.

- Nie informowałem cię o niczym, bo nie chciałem cię wciągać w moje problemy. Najlepiej mi pomożesz, jak będziesz miał oko na dziadka.

On na razie nie chce mnie widzieć, a wcale nie jest taki zdrowy i sprawny, za jakiego próbuje uchodzić. Trzeba go pilnować.

- Już widzę, jak mi pozwoli! - prychnął Clint, po czym nie wytrzymał i zaczął się rozwodzić nad urazą Orsona do niego i nad swoją do dziadka, wyraźnie okazując, jak boli go ten ciągnący się latami konflikt.

W pewnym momencie do kuchni weszła Lucy. Nick znalazł ją poprzedniego wieczoru przed północą, śpiącą kamiennym snem na jego łóżku bez żadnego przykrycia. Nie obudziła się nawet wtedy, gdy wyciągnął spod niej narzutę, ułożył Lucy wygodnie i troskliwie otulił kołdrą. Nim to zrobił, zauważył, jak jego szlafrok, w który była ubrana, rozchylił się nieco, ukazując wypukły brzusek. Dziecko.

Kiedy już ją przykrył, usiadł na granatowym skórzanym fotelu, stojącym w rogu sypialni i spędził tak Bóg wie ile czasu. Nie umiał sobie poradzić z emocjami, jakie budziła w nim Lucy. Nie umiał sobie poradzić z tym, że został odrzucony przez dziadka. Nic nie szło tak, jak powinno. Do kompletnego zamętu w jego życiu osobistym dochodził jeszcze stres związany z wdrożeniem nowego projektu, nie wspominając o obciążeniach, jakie nakładały na Nicka jego zwykłe obowiązki, którymi i tak dałoby się

obdzielić parę osób. Wśród tego wszystkiego nie zdołał jak dotąd skupić się na najważniejszym. Dopiero teraz uderzyło go, że chociaż przez ostatnie tygodnie myślał o ciąży Lucy, praktycznie nie myślał o tym, co istotne - w brzuchu kobiety, która właśnie spała znużona na jego łóżku, rosło jego dziecko.

Nie zmrużył oka przez całą noc. Jego myśli krążyły wokół ojcostwa, wokół nienarodzonego dziecka, wokół jego własnego ojca oraz Orsona, który przeżył śmierć jedyne go syna i zajął się wychowaniem wnuków. Zastanawiał się, czym właściwie jest rodzina i jaka powinna być, jeśli ma przyjąć przychodzącego na świat bezbronnego małego człowieka. Ostatecznie doszedł do wniosku, że nie zazna spokoju, dopóki Lucy nie zdecyduje, jaką rolę mu przeznacza w życiu swoim i dziecka, jak widzi ich przyszłość.

Kiedy weszła rano do kuchni w za dużym szlafroku, boso i ziewając, wyglądała jak sierotka, która zabłąkała się w lesie. Takie toto małe, a ile zdołało zmienić!

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz spostrzegła, że Nick rozmawia przez telefon. Czym prędzej zakończył rozmowę i pożegnał się z rozżalonym Clintem.

- Muszę już pędzić do pracy - rzekła na powitanie.

- Jestem pewien, że twojemu szefowi nie będzie przeszkadzać, jeśli spóźnisz się parę minut
- rzucił, otwierając drzwi szafki.

- Ale moim drzewom będzie. Kilka godzin uczciwej pracy, i sprawy trochę się wyprostują, muszę więc jak najszy...

Pomachał jej przed nosem dwiema torbami płatków śniadaniowych, a Lucy zmiękła natychmiast. W jej oczach ujrzął taką ekstazę, jakby właśnie przeżywała moment erotycznej rozkoszy. Niesamowite...

- Moje ulubione! Skąd wiedziałeś?

- Przeczucie. Potem zawiozę cię do pracy, ale najpierw musisz coś zjeść. Ja zresztą też.

To drugie akurat mijają się z prawdą, gdyż Nickowi rano wystarczyło parę filiżanek kawy i jedno jabłko. Odgadywał jednak, że ona musi umierać z głodu i oczywiście miał rację. Zjadła dwie porcje płatków z mlekiem. Omlet z serem i pieczarkami. Twaróg ze szczypiorkiem i papryką. Podziękowała za kawę. Skusiła się na tosta. Bułeczkę. Jabłko. I banana.

Nick siedział po przeciwnej stronie stołu, przyglądając się Lucy ze zgrozą i podziwem.

- Rozumiem, że nie masz już problemów z żołądkiem?

- Najmniejszych. To niewiarygodne, ale któregoś dnia obudziłam się i po mdłościach nie było

nawet śladu, za to dostałam wilczego apetytu. Mogłabym jeść bez przerwy.

- Gdzie ty to wszystko mieścisz, na litość Boską?

Roześmiała się tylko.

Opowiedział jej o sarnie z jelonkiem. Ona z kolei spytała go o Clintę i o Gretchen. Następnie on chciał się dowiedzieć, jak ma się Russell i jej ojciec. Zdumiewające, jak swobodnie im się rozmawiało, niezależnie od napiętej sytuacji i nierozwiązanych problemów. W pewnym momencie Lucy aż przestała jeść i podniosła głowę.

- Wiesz, w życiu bym nie przypuszczała, że będę kiedyś z tobą tak swobodnie rozmawiać.

- Szczerze powiedziawszy, właśnie pomyślałam dokładnie to samo.

Po raz pierwszy od długiego czasu zupełnie otwarcie spojrzała na niego ciepło i z prawdziwie kobiecą czułością, lecz trwało to przez moment, bo zaraz potem Nick wyczuł, jak ona znów emocjonalnie odsuwa się od niego na bezpieczną odległość.

Kiedy skończyła jeść, pobiegła się ubrać, a Nick znów stanął przy oknie. Sama i jej młode nie pojawiły się ponownie, lecz i tak było na co patrzeć, gdyż promienie słońca padały na pokrytą rosą ziemię, więc wydawało się, jakby w świeżej trawie skrzyły się diamenty. Nick zrozumiał

nagle, że dostrzegął to dzięki obecności Lucy. Przy niej jakimś cudem zapominał o stresach. Zapominał też, jak bardzo do siebie nie pasowali. Kiedy pracowali razem nad czymś, potrafiła być upiornie pedantyczna, nieznośna i uparta, lecz mimo to zawsze zadanie zostawało wykonane wyjątkowo sprawnie, cokolwiek to było.

- Już lecę, lecę! - zakrzyknęła z głębi domu i po chwili wpadła jak bomba do kuchni w ubraniu, które nosiła poprzedniego dnia. Zatrzymała się przed Nickiem.

- Słuchaj no, ty! - zaczęła, jakby zamierzała zbesztać jakiegoś smarkacza.

Nick miał ochotę potrząsnąć głową i przetkać sobie uszy. W głosach kobiet słyszał zazwyczaj pożądanie. Zainteresowanie. Podziw - nawet jeśli ten podziw wzbudzała wyłącznie ilość pieniędzy, jaką posiadał. Jednak żadna nigdy nie zwróciła się do niego takim tonem, jakby tylko przysparzała jej problemów. Czyżby Lucy już nie była w nim zakochana?

- Słuchasz mnie czy nie?

- Słucham, oczywiście.

- Wczoraj był wyjątkowy dzień, kompletnie zwariowany, a ja faktycznie trochę przesadziłam z robotą. Ale to mnie nie tłumaczy! Narobiłam ci kłopotu i jeszcze zajęłam łóżko. Doceniam twoją pomoc w szklarni i twoją gościnność, lecz na-

prawdę nie musiałeś wrzucać moich ubrań do pralki, żebym rano miała wszystko czyste. Postawmy więc sprawę jasno... To się więcej nie powtórzy. Więcej nie zwalę ci się na głowę, nie obawiaj się.

Jak zwykle nie chciała od niego nic i to już powoli zaczynało go drażnić. Wyskoczyła na zewnątrz, otworzyła drzwi samochodu, wrzuciła do środka swoją torebkę.

- Hej, idziesz?

Pospieszył za nią, a ponieważ nie wsiadła jeszcze do auta, wykorzystał okazję. Chwył ją za ramię, obrócił ku sobie, przycisnął ją plecami do wilgotnego od porannej rosy wozu, nie przejmując się zupełnie tym, że będzie miała przez to mokre ubranie, i zaczął ją całować. Całował tak długo, aż nasycił się jej smakiem i zapachem, aż stracił zdolność myślenia, aż stał się twardy jak kawał drewna. Dopiero wtedy uniósł głowę.

No, teraz wyglądała, jak trzeba. Jej usta były wilgotne, nabrzmiałe i bardzo czerwone, oczy wielkie i ciemne, pełne pożądania. Już nie patrzyła na niego, jakby ją irytował, na jej twarzy malował się głód.

- Wsiadaj! - zakomenderował Nick, a Lucy tak szybko zajęła miejsce w samochodzie, jakby nogi się pod nią uginały. - Pracujesz dziś do trzeciej i ani minuty dłużej. Mamy do załatwienia sprawę nie cierpiącą zwłoki.

- To znaczy?
- Idziemy na zakupy.
- Co takiego?
- Widziałem, jak urosłaś. Potrzebujesz nowych spodni i w ogóle ubrań ciążowych. Za jednym zamachem moglibyśmy też kupić wszystko, co potrzebne dla dziecka.

Zamknął za nią drzwi, obszedł samochód, usiadł za kierownicą. Lucy obróciła głowę i spojrzała na niego z niebotycznym zdumieniem.

- Chcesz jechać ze mną na zakupy?

Chciał? Oczywiście, że nie chciał. Już chyba wolałby przespać się na gnieździe szerszeni. Wyrwać sobie paznokieć. Obejrzeć w telewizji program dla kobiet. Nie przychodziło mu do głowy nic, co byłoby gorsze niż pójście na zakupy, co nie zmieniało faktu, że musiał zająć się tą kobietą i poradzić sobie z istniejącą sytuacją, jak tylko umiał najlepiej. Jeśli wymagało to z jego strony cierpienia, trudno, pocierpi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tego dnia jedną z głównych spraw, omawianych na posiedzeniu akcjonariuszy, była Miotła Czarownicy.

- Co to takiego? - spytał szeptem Clint siedzący obok Nicka.

Clint rzadko zjawiał się na posiedzeniach, lecz tym razem przyszedł, ponieważ odkąd Orson zawiódł się boleśnie na młodszym z wnuków, zaczął odrobinę łagodniej traktować starszego. Nie nastąpił co prawda żaden znaczący przełom we wzajemnych stosunkach, lecz można by już mówić o lekkiej odwilży.

Mimo nieuczestniczenia w działaniach firmy Clint zazwyczaj posiadał informacje o tym, co się aktualnie działo w Bernard Chocolate, chociaż zazwyczaj nie ujawniał, jak dużo wie. Określenie

„Miotła Czarownicy” było jednak znane jedynie ludziom, którzy przez cały czas intensywnie zajmowali się wszelkimi kwestiami związanymi z produkcją, sprzedażą i kupnem ziarna kakaowego.

- Jak wiesz, główne zbiory przypadają w lutym, dostarczając około trzech czwartych rocznej produkcji ziarna.

- Wiem, wiem - mruknął z irytacją Clint.

Nick nie zamierzał obrażać brata tłumaczeniem mu oczywistych rzeczy, ale ponieważ nie miał pojęcia, ile Clint naprawdę wie, dlatego też wolał zaczynać od podstawowych informacji.

- W tym roku jest więc już po zbiorach, na więcej ziarna nie ma co liczyć. Rzecz w tym, że wycina się coraz więcej lasów tropikalnych, a w dodatku w zeszłym roku kakaowce zdziesiątkował wirus nazwany Miotłą Czarownicy. Ceny ziarna skoczyły do góry, sytuacja na rynku czekolady jest kryzysowa. Jak tak dalej pójdzie, cena przekroczy sześć tysięcy dolarów za tonę.

- A co z programem stworzenia rezerw, dzięki któremu dałoby się utrzymać ceny surowca i produktu na stabilnym poziomie?

- Od czterdziestu lat są z tym kłopoty. Jak tylko system kwotowy zaczyna funkcjonować, od razu jakiś kraj się wycofuje. Na przemian więc rezygnują z programu i go wdrażają. A do tego jest problem z Unią Europejską.

- To znaczy?

- UE pozwoliła stosować zamiast masła kakaowego jego substytutu - do pięciu procent wagi produktu. Nasz kraj, jako jedyny na świecie, zakazał sprzedaży takich produktów. Jedni mówią, że w ten sposób dbamy o jakość naszej czekolady. Inni, że dzięki temu możemy dominować na rynku krajowym i narzucać wyższe ceny. Tak więc mamy kiepski rok. Ceny ziarna szaleją, Unia jest na nas wściekła.

- Rozumiem. Wszystko to fatalnie odbije się na zyskach firmy. Ale jednocześnie to otwiera znakomite perspektywy dla Niebiańskiej Rozkoszy.

Siedzący u szczytu długiego prezydialnego stołu Orson huknął młotkiem, uciszając tę rozmowę na stronie. Właśnie tłumaczył udziałowcom mniej więcej to samo, co Nick Clintowi. Jedenaście osób biorących razem z Bernardami udział w posiedzeniu posiadało w sumie trzydzieści procent akcji, pozostałe siedemdziesiąt należało do rodziny. To po tym, jak Nick przejął rządy w firmie, wystawiono akcje na sprzedaż w celu pozyskania środków na rozwój Bernard Chocolate. Udało się.

Nie zdarzyło się jeszcze, by udziałowcy głosowali przeciw jakiemukolwiek projektowi Nicka, głównie dlatego, że szybko się przekonali, jak

wysokie zyski generują jego kolejne posunięcia. Zadawali jednak zawsze szczegółowe pytania, więc posiedzenia trwały po kilka godzin. Tym razem Nickowi trudno było się skoncentrować. Po pierwsze, dawała mu się we znaki nieprzespana noc, po drugie, prześladowało go wspomnienie tego porannego pocałunku z Lucy. Jeszcze nigdy jeden pocałunek nie rozpałił go do tego stopnia. Nic podobnego nie przydarzyło mu się z żadną inną kobietą.

Ta myśl była dziwnie irytująca i Nick z każdą upływającą chwilą miał coraz gorszy nastrój. Wreszcie posiedzenie dobiegło końca. Akcjonaariusze zaczęły wychodzić, cały czas dyskutując o omawianych podczas spotkania kwestiach, Orson zbierał rozłożone przed sobą papiery. Nick ruszył ku drzwiom i już miał wyjść -jako ostatni - gdy usłyszał krótkie:

- Zostań.

Odwrócił się.

- Zamknij drzwi.

Nick wykonał polecenie, tymczasem dziadek zaczął wyrównywać pozbierane kartki. Trwało to niemal w nieskończoność.

- Musisz się z nią ożenić.

- Tak to teraz będzie wyglądać? Ilekroć się spotkamy, będziesz poruszać tylko ten jeden temat?

- Możliwe. Przynajmniej dopóki nie zrobisz

tego, co należy i nie ożenisz się z nią. - Orson stracił wreszcie cierpliwość do wyrównywania papierów i cisnął nimi o stół.

Nick wyprostował się.

- Nie mogę.

- Oczywiście, że możesz. To jedyne honorowe wyjście z tej sytuacji.

- To w twoim pokoleniu ślub oznaczał honorowe wyjście.

- W każdym oznacza to samo. - Orson w charakterystyczny sposób wysunął brodę do przodu. Jego dziadkowie byli skromnymi, biednymi, zahukanymi imigrantami, którzy przybyli do Ameryki z Brukseli, lecz on sam miał już tyle przekonania o słuszności swego postępowania, co prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Nie, dziadku. Czasy się zmieniły. Teraz honorową rzeczą jest zrobić to, co będzie najlepsze dla kobiety.

- Nie mówimy o jakiejś tam kobiecie! - wybuchnął Orson. - Chodzi o Lucy! Matkę mojego prawnuka!

Wzburzony Nick zaczął chodzić wzdłuż ściany, dokładnie w tym samym momencie, gdy Orson zaczął chodzić wzdłuż ściany przeciwnej.

- Wiesz, dziadku, z czego nie zdajesz sobie sprawy? Z tego, że twojemu pokoleniu było bez porównania łatwiej.

- Słucham?!

- To prawda. Zazwyczaj wiedzieliście, co jest białe, a co czarne. Jeśli kobieta zachodziła w ciążę, mężczyzna ją poślubił. Proste. Ona tego chciała, mężczyzna wiedział, że tego się od niego oczekuje. Rozwiązanie problemu mieli podane jak na tacy. W naszych czasach trudno o takie luksusy.

- Luksusy? - zagrmiał Orson. - Nazywasz luksusem postąpienie jak człowiek honoru?

- Tak. W dawnych czasach mężczyzna doskonale rozumiał, co powinien zrobić w podobnej sprawie. Albo żenił się z dziewczyną, albo uchodził za skończonego łajdaka. Trzeciej możliwości nie było. Nie było też rozterek, wątpliwości, pytań. Obecnie łatwiej nauczyć się obcego języka, niż rozstrzygnąć, co będzie słuszne.

- Dziecko potrzebuje obojga rodziców.

Nick przystanął i uniósł dłoń takim gestem, jakby zdecydowanie mówił: „Stop!”.

- Musimy to sobie jasno wytłumaczyć, ponieważ nie chcę, żebyśmy się ze sobą spierali w tej kwestii za każdym razem, gdy tylko się zobaczymy. Nie mogę zmusić Lucy do poślubienia mnie. Nie mogę załatwić tej sprawy w taki sposób, jak robiono to w twoim pokoleniu. Jedyne, co mogę zrobić, i co przez cały czas robię, to być przy niej i opiekować się nią. Pomagam Lucy na tyle, na ile

mi pozwala, gdy tylko dowiem się, że czegoś potrzebuje. I będę tak postępował dalej, niezależnie od tego, czy będzie to dotyczyło jej pracy, czy spraw rodzinnych, czy zdrowia. Ale, do cholery jasnej, nie zamierzam jej zmuszać do niczego, czego ona nie chce. I koniec!

Orson zatrzymał się również, wyraźnie uderzyły go już pierwsze słowa wnuka.

- Zaproponowałeś jej ślub?

- Na samym początku. Ona jednak zdecydowanie odmówiła. - Nick zmierzył dziadka gniewnym spojrzeniem. - Na mnie możesz naciskać, ile ci się żywnie podoba, ale jej daj spokój. Nie życzę sobie, żebyś na nią krzyczał albo robił jej uwagi. Nie pozwolę, by ktokolwiek przypierał ją do muru. Możesz sobie myśleć, że ona źle robi. Ja mogę myśleć, że ona źle robi. A mimo to będzie dokładnie tak, jak ona chce!

Mógłby ciągnąć tak jeszcze dłużej, gdyż zapalił się do tematu, lecz nagle zdał sobie sprawę z tego, że dziadek już nie piorunuje go wzrokiem, przeciwnie, przygląda mu się z rozculeniem.

- A niech mnie! - rzekł Orson. - Jesteś zakochany w Lucy.

Pewnie. Tyle że to niczego nie rozwiązywało. Nick wyszedł, trzaskając drzwiami.

- Jest wpół do trzeciej - zaraportował Greger.

- Mówiłaś, żebym ci powiedział, jak będzie ta godzina.

- Tak, dzięki.

Mogła z czystym sumieniem odłożyć kozik oraz łopatę. Wykonała kawał dobrej roboty i była z siebie dumna jak rzadko. Spojrzenie Lucy przesunęło się pieszczotliwie po zastępach jej nowych dzieci. Wszystko posadzone, zaszczerpione, podlane. Ani jednego chwastu w całej szklarni, ani jednego owada, pełna perfekcja.

- Dobrze, Greger, możesz iść już do domu.

- Kiedy nawet nie drgnął, wyjaśniła: - Próbuję ci jakoś wynagrodzić to, że wczoraj zachowałam się wobec ciebie jak ostatnie prosię. Pozwól mi jakoś zrehabilitować się wobec ciebie, dobrze? Zresztą nie ma powodu, dla którego musiałbyś zostawać, bo ja sama też już idę.

- Wyjdę wtedy, kiedy i ty.

- Na razie idę wziąć prysznic. I nie potrzebuję przy tym pomocy - dodała szybko, by jej źle nie zrozumiał i nie chciał jej towarzyszyć. - W dodatku spieszę się, bo pan Bernard przyjedzie po mnie o trzeciej. Uwierz mi, że nie próbuję cię oszukać. Naprawdę możesz już iść.

Chociaż Greger był uparty jak, nie przymierzając, osioł, udało jej się go wreszcie wygonić do domu, a sama skoczyła wziąć szybki prysznic w łazience dla pracowników. Ze względu na to,

jak bardzo brudziła się w szklarni, na wszelki wypadek trzymała w pracy zapasowe ubranie, choć rzadko z niego korzystała. Nie było to nic specjalnego, ot, sweter i džinsy, ale przynajmniej czyste. Nie miała pojęcia, czy zmieści się w nie teraz... Dżinsy oczywiście nie dały się zapiąć, i to nie tylko na guzik, ale również na suwak, na szczęście dość długi sweter zdołał to zasłonić. Lucy uczesała świeżo umyte włosy, nałożyła szminę i o trzeciej była gotowa.

Wróciła do swojego pokoju, ujrzała przez okno, jak Nick podjeżdża na parking, chwyciła torebkę i popędziła ku głównemu wejściu. Właśnie zdążył otworzyć drzwi, gdy Lucy podbiegła ku niemu, wspięła się na palce i korzystając z tego, że akurat nikogo nie było w pobliżu, pocałowała go na powitanie. Och, nie tak, jak on ją pocałował rano, doprowadzając do stanu wrzenia. Nie, ona miała w zanadru kobiece metody, by mu odpłacić pięknym za nadobne. Pocałowała go słodko, niespiesznie i tak obiecująco, jak tylko potrafiła - a w obecności Nicka potrafiła różne rzeczy, o jakie nigdy wcześniej siebie nie podejrzała. Następnie wypadła na zewnątrz, zanim Nick zdążył złapać oddech, a co dopiero powiedzieć cokolwiek. Wskoczyła na siedzenie pasażera i zamknęła za sobą drzwiczki.

Chwilę potem i on wsiadł do samochodu.

- Same kłopoty przez panią, pani Fitzhenry - mruknał, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Ciężki dzień? - spytała niewinnie, doskonale wiedząc, jaki kłopot sprawił mu jej pocałunek, gdyż to poczuła...

- Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- To może ci ulży, jak się wygadasz? Wiem, że rano było posiedzenie akcjonariuszy. I że brał w nim udział twój brat. I że ceny ziarna ciągle rosną. Aha, twój dziadek odwiedził mnie w szklar- ni dziś po południu.

Nick zerknął na nią z ukosa.

- I jak przebiegła rozmowa?

- Jak zwykle był przeuroczy. Chodziliśmy razem po alejkach między kakaowcami, rozmawialiśmy o sposobach szczepienia, częstotliwości nawożenia i tak dalej, aż oboje zachrypliśmy, a biedny Greger zanudził się prawie na śmierć i w końcu gdzieś sobie poszedł, bo nie mógł już tego słuchać. Za to my spędziliśmy ten czas naprawdę wspaniale.

- I nie rozmawialiście o niczym więcej?

- Nie. Okazywał mi chyba nawet większą sympatię niż kiedykolwiek przedtem, z jego ust nie padło ani jedno słowo na temat dziecka, ciebie ani żadnych spraw osobistych. I wiesz, co jest ciekawe? On przecież regularnie zjawia się u mnie, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają, ale

dzisiaj odniosłam wrażenie, że przyszedł specjal- nie ze względu na mnie.

- W jakim był nastroju?

- Wyjątkowo dobrym.

W odróżnieniu od ciebie, pomyślała, lecz oczywiście nie powiedziała tego na głos. Od razu zauważyła minorową minę Nicka, miała jednak nadzieję rozchmurzyć go relacją o miłym spot- kaniu z Orsonem. Niestety, z niewiadomych powodów ta relacja jeszcze wzmogła jego zatros- kanie. Niby się uśmiechał, niby rozmawiał z Lu- cy, a mimo to odnosiła wrażenie, jakby przez cały czas... miał się na baczności. Ale przed czym?

- Sprawdziłem adresy sklepów w Internecie i już wiem, gdzie zrobimy zakupy. - Wymienił nazwę dużego centrum handlowego.

- To dość daleko stąd.

- Nie znalazłem bliżej innego miejsca, gdzie wszystko byłoby pod jednym dachem. Nie chce- my chyba jeździć po całym stanie, prawda? Tam dostaniemy ubrania dla ciebie, dla dziecka, wó- zek, meble... Aha, jak ci idzie z innymi zakupami przy tym nawale pracy? Pamiętam, że brałaś jakieś rzeczy na kredyt...

- Wszystko już spłacone. - Uśmiechnęła się.

- Podwyżka to świetna sprawa. Jeszcze jedna wypląta i będę plusie.

- Co z kupnem nowego samochodu?
 - Zajmę się tym, ale muszę mieć na to trochę czasu.

- Lucy, wiem, że tak naprawdę jesteś bardzo przywiązana do swojego starego wozu, lecz teraz, kiedy spodziewasz się dziecka, nie możesz sobie pozwalać na sentymenty. Potrzebujesz sprawnego, dużego auta. Po pierwsze, duży zapewnia większe bezpieczeństwo, po drugie, musi się do niego wygodnie mieścić fotelik, wózek i wszystkie inne rzeczy, jakie są dziecku potrzebne. Myślałaś może o dziapie?

- Podobno dużo pałą.
 - A co w takim razie powiesz na tradycyjne, niezawodne i bezpieczne volvo?
 - Szczerze powiedziawszy, nie odróżniam volva od volta, rozpoznaę tylko hondy. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że powinnam kupić nowy samochód, ale widzisz, ja jestem wierna, to nie w moim stylu zmieniać samochody jak rękawiczki...

Udało jej się go rozbawić, lecz nie rozchmużył się do końca.

- Teraz tak się robi, mała - skomentował, parkując pod centrum handlowym.

- Czy możemy najpierw coś zjeść? - spytała, gdyż nie miała najmniejszej ochoty iść na zakupy.

- Pewnie.

Ponieważ kiedyś napomknął, że lubi chińską

kuchnię, Lucy wybrała chińską restaurację. W centrum handlowym było tłoczno i gwarno, ona jednak nie widziała i nie słyszała nikogo oprócz Nicka. To dziwne, lecz wolała przebywać z nim, choćby miał jak najgorszy humor, niż być z dala od niego.

W rekordowym tempie spałaszowała swoją porcję, po czym spróbowała kurczaka w słodko-kwaśnym sosie, którego zamówił Nick. I jego smażonego ryżu z krewetkami. I jeszcze dwóch innych dań, których nazw nawet nie znała. Tymczasem Nick dopytywał się o jej ojca - czy wciąż jest tak bardzo przygnębiony i czy nie planuje poszukać sobie wreszcie jakiegoś innego miejsca do mieszkania niż dom córki. Spytał też o Russella i nie zdziwił się wcale, usłyszawszy, że kuzyn Lucy znów jest taki jak dawniej i z rzadka tylko wpada do niej z wizytą. Spytał nawet, jak miewa się jej siostra Ginger i jej przyjaciółka Merry, potem zszedł na temat dziecka. Czy Lucy postanowiła się już. czy zostanie w bliźniaku, czy może wolałaby się dokądś przeprowadzić? Może chciałyby mieszkać bliżej pracy? A jeśli zostaje, to czy pomyślała o zatrudnieniu kogoś, kto latem będzie dbał o trawnik przed domem?

- Jeśli natychmiast nie przestaniesz, odbiorę ci prawo głosu! - zagroziła w końcu. - Naprawdę już przesadzasz.

- Z czym?
 - Przestań być taki upiornie troskliwy, bo za moment dostanę szału! Zachowujesz się, jakbym potrzebowała dwudziestoczterogodzinnej opieki.

Odłożył widelec.

- Lucy, nie chciałem cię urazić.
 - Wiem. Zrozum jednak, że ciąża to nie choroba. I nie musimy za każdym razem rozmawiać o mnie. Może dla odmiany skupmy się na twoim życiu, co? Czy twój dziadek przestał cię wreszcie zamęczać żądaniem, żebyś się ze mną ożenił?

Nick podsunął jej miseczkę pełną klusek z warzywami.

- Nie przejmuj się nim.
 - A jednak się przejmuję. W sumie znalazłeś się w znacznie trudniejszej sytuacji niż ja.

- Nie wydaje mi się.

Lucy przechyliła głowę na bok.

- Czy ty się w ogóle bawisz?

- W jakim sensie?

- W każdym. Bardzo dużo podróżujesz, ale zawsze w interesach. Twoi rodzice zmarli młodo, więc bardzo wcześnie musiałeś zacząć się uczyć zarządzania dużą firmą. Ta kobieta, no, ta Binnie czy Sinnie...

- Linnie - odpowiedział z kwaśną miną.

- Właśnie. Na taką przelotną rozrywkę znalazłeś czas, ale przez te cztery lata, które prze-

pracowałam w Bernard Chocoiate, nie widziałam u twojego boku żadnej kobiety. Gdybyś był z kimś związany na stałe, pewnie chciałbyś oprowadzić tę osobę po firmie, pokazać jej, gdzie spędzasz znaczną część życia...

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że z nas dwojga to ja miałam być nieznośnym, pedantycznym pracoholikiem, który nigdy sobie na nic nie pozwala...

Skrzyżował ramiona i łypnął na nią ponuro.

- Czemu mam wrażenie, że tobie wcale się nie spieszy na zakupy i być może w ogóle nie zamierzasz na nie iść?

- Bo jesteś bardzo bystrym człowiekiem. Ani przez chwilę nie miałam zamiaru ciągać cię po sklepach w poszukiwaniu ubrań ciążowych. Faktycznie, muszę je wreszcie kupić, bo już nic na mnie nie pasuje, ale zrobię to sama, gdy tylko znajdę chwilę czasu.

- To może chociaż wybierzmy kołyskę i inne rzeczy dla dziecka, skoro już tu jesteśmy?

Zawahała się.

- Jeśli chcesz... To zależy od ciebie. Mnie w tej chwili bardziej interesuje, czy będzie ci się lepiej rozmawiało, gdy będziemy chodzić, czy wolisz tu dalej siedzieć?

- Przecież już porozmawialiśmy - zauważył podejrzliwym tonem.

- Ależ skąd, to była dopiero przymiarka! Prawdziwa rozmowa dopiero nas czeka.

Wstała, podejmując decyzję za niego. Zazwyczaj na widok kołyski mężczyźnie serce ucieka w pięty, a gdy Nick będzie wytracony z równowagi, łatwiej wypiewa to, co Lucy chciała z niego wydusić. Wyszukała na planie, gdzie znajduje się największy sklep z artykułami dla niemowląt, i zaprowadziła go tam.

- Dobra, mów, o co ci chodzi z tą prawdziwą rozmową - zaproponował Nick, gdy szli wzdłuż minipokoików urządzonych w różnych stylach.

- Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o ciąży, znaleźliśmy się mniej niż teraz, więc pewnych spraw nie dało się poruszyć. Jedne z nich same się wyjaśniły w ciągu minionych tygodni... a inne skomplikowały - dodała z lekkim westchnieniem. - W każdym razie chciałam ci zadać pytanie i proszę o uczciwą odpowiedź.

- Słucham.

- Czego właściwie ode mnie oczekujesz podczas tych najbliższych paru miesięcy?

Zmarszczył brwi i przyjrzał jej się z uwagą, próbując zrozumieć pytanie.

- Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć... Chyba tylko tyle, że ma ci być tak dobrze, jak to możliwe w twojej sytuacji. I że masz nie czuć się zostawiona sama z najróżniejszymi proble-

mami. I nie przejmować się niczyją obsesją, niezależnie od tego, kto będzie próbował cię do czegoś zmusić, mój dziadek, czy twoi rodzice. Masz robić to, co uznasz za najlepsze dla ciebie i dziecka.

Co za koszmarny człowiek! Oczywiście nie mogła rozpłakać się na środku sklepu z jego powodu, ale mało brakowało. Och, jaka była szczęśliwa, gdy durzyła się w nim jeszcze zupełnie niewinnie - ze względu na sam jego wygląd i urok! Niestety, on do kompletu robił całą masę rzeczy, które nie pozwalały jej go nie kochać.

- Co ty? Zamierzasz się rozkleić? - spytał nagle, zaniepokojony jej wyrazem twarzy.

- Ja? Ja się nigdy nie rozklejam. Po prostu kręci mnie w nosie od kurzu, myślisz, że oni w kółko czyszczą te muślinowe firaneczki? - Wskazała palcem ozdobioną tiulem kołyskę, przy której stali, i wytarła nos chusteczką. - Dobra, to następne pytanie. A co byś chciał dla siebie? W jaki sposób i dla ciebie ta sytuacja mogłaby być jak najlepsza?

Wsunął ręce w kieszenie i poszedł dalej. Minęli pokój, którego tematem przewodnim był cyrk, i następny, ozdobiony postaciami z komiksów. Spojrzenie Nicka przesunęło się po nich obojętnie, zwolnił dopiero przy małej sypialni urządzonej w kolorach tęczy, ale może

dlatego, że wreszcie był gotów udzielić Lucy odpowiedzi.

- Moje potrzeby nie mają w obecnej sytuacji większego znaczenia. Teraz najważniejsza jesteś ty i dziecko. Chodzi o wasze zdrowie, wasze samopoczucie, wasze szczęście... Ja jestem tylko w tle.

Minęli sypialnię, w której było pełno bohaterów z kreskówek Disneya i kolejną, gdzie królowały pluszowe misie.

- Przestań być wreszcie taki strasznie szlachetny, co?

- Wcale nie jestem szlachetny, tylko najzwyczajniej w świecie rozsądny. To przecież kobieta jest w ciąży, to ona dźwiga główny ciężar sytuacji, i fizyczny, i każdy inny. Moją rolą jest więc usuwać przeszkody z twojej drogi, gdzie tylko będzie to możliwe.

- To w ciągu najbliższych paru miesięcy. A co będzie dalej? Chcesz brać udział w wychowaniu dziecka?

- Tak.

- Jesteś pewien? - spytała bez tchu.

- Na samym początku, gdy dowiedziałem się o twojej ciąży, wcale tego nie chciałem. Przyznaję, strach mnie obleciał, co tu kryć. Oczywiście, i tak bym próbował być odpowiedzialnym ojcem, bo nie wyobrażam sobie, że mógłbym

postąpić inaczej, ale nie paliłem się do tego zbyt. Ale teraz... - Spojrzał jej prosto w oczy.
- Teraz naprawdę tego chcę. Widzisz, nigdy nie przestałem tęsknić za moimi rodzicami, a szczególnie za ojcem. Łączyła nas szczególna więź i bardzo mi go brak. Chciałbym okazać się równie dobrym rodzicem jak on. I nie miałbym nic przeciw posiadaniu całej gromadki dzieci, przeciwnie. Nie spodziewałem się co prawda, że zostanę ojcem tak... zniemacka, ale to w żaden sposób nie zmienia mojego podejścia. Tak naprawdę lubię dzieci i chyba całkiem dobrze się z nimi dogaduję. Czasem nawet wolę je od dorosłych.

- Pod tym ostatnim mogę się podpisać obiema rękami.

Zaśmiał się i poszedł za nią przez kolejny z pokojów, którego tematem przewodnim były małe zwierzątka. Na tapecie widniały szczeniaczki, kocięta i gąsiątka, nad białą kołyską zwieszał się mobil z kolorowymi kociakami, nocna lampka miała kształt śpiącego psiaka.

- Sporo rzeczy udało nam się więc ustalić - podsumował. - Od strony finansowej dziecko jest zabezpieczone. Mieszkamy w sumie nie daleko siebie, więc oboje będziemy mogli spędzać z nim czas. No i nie żyjemy do siebie wrogosci. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam

sobie, żebyśmy kiedykolwiek mogli się znienawidzić. Jak widać, nasza sytuacja jest znacznie lepsza niż wielu małżeństw.

Przykucnęła, by dotknąć chodniczka przy kółce. Był cudownie gruby i mięciutki, a do tego przedstawiał rozkosznego małego basseta. Pogładziła go, a potem podniosła wzrok na Nicka.

- Co do tego też się zgadzam.

- Skoro już chcesz poważnie rozmawiać, to dodam coś jeszcze...

Teraz i on zaczął z uwagą przyglądać się różnym rzeczom w pokoiku, wyciągać szuflady komody, zabezpieczone ogranicznikami w kształcie kurcząt. Dopiero potem Lucy przyszło do głowy, że w ten sposób udało mu się unikać patrzenia na nią.

- Powiedziałaś na samym początku, że nie chcesz za mnie wychodzić i przez cały czas podtrzymywałaś to. Dużo się nad tym zastanawiałem i w końcu doszedłem do wniosku, że przecież faktycznie nie musimy brać ślubu, ani teraz, ani kiedykolwiek. I bez tego możemy być dobrymi rodzicami. Nie ma przecież żadnej gwarancji, że jako małżonkowie lepiej opiekowalibyśmy się dzieckiem. Dlatego gdyby ktoś próbował wywierać na ciebie nacisk w tej kwestii, nic się nie martw, tylko powiedz mi o tym, a ja cię poprę. Nikt nas nie zmusi do wzięcia ślubu.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale zaraz je zamknęła i opadła na biały bujany fotel z poduszką ozdobioną wizerunkiem kota. Coś ją zaczęło dławić w gardle. To coś było coraz większe i większe, aż wreszcie przybrało rozmiary bez mała Alaski.

Wiedziała, że nic do niej nie czuł. Że nigdy by się z nią nie kochał, gdyby sama się na niego nie rzuciła. Ale przecież w ciągu tego czasu, który minął od Nocy Czekolady, udawało im się zbudować pewien szczególny rodzaj związku. Kochali się znów ze sobą, i to tak cudownie, że trudno byłoby sobie wyobrazić coś piękniejszego. Nauczyli się swobodnie ze sobą rozmawiać, osiągając tym samym więcej niż sporo małżeństw, które nie posiadały tej umiejętności nawet po wielu latach bycia razem. Nick okazywał wrażliwość, troskę i zrozumienie, nie uciekał od Lucy nawet wtedy, gdy wymiotowała na początku ciąży lub gdy zanudzała go niekończącymi się wywodami na temat kakao i czekolady. I ona miałaby nie chcieć za niego wyjść? Ależ nie marzyła o niczym innym!

Oczywiście o ślubie nie było mowy, jeśli Nick jej nie kochał.

To coś w jej gardle okazało się nie tylko wielkie, ale na dobitkę wysunęło też kolce. Zawarli umowę. Ona chce urodzić dziecko

i wychować je, on popiera ten pomysł, pomaga jej Jak może, a oboje zgadzają się, że ślub nie jest im do niczego potrzebny. Ale ustalili to na samym początku i Lucy pragnęłyby zmienić tę umowę, ponieważ w miarę upływu czasu doszła do wniosku - chyba jednak szalonego - że to, co się między nimi dzieje, to może być miłość.

Niestety, jej nadzieje okazały się płonne. Z każdym słowem Nicka stawało się coraz bardziej jasne, że nim powoduje wyłącznie ogromne poczucie odpowiedzialności, nic ponadto. Zrobiłby wszystko, może z wyjątkiem zrobienia gwiazdy, bo tego pewnie nie umiał, czego by zażądała. I właśnie dlatego za nic nie mogła zdradzić się przed nim ze swoimi uczuciami, ponieważ on wtedy znów by się oświadczył... ale z niewłaściwego powodu! Nigdy nie przystałyby na taki związek.

- Hej, co się dzieje? - Nick przykląkł przed nią i łagodnie uniósł jej brodę do góry. - Źle się czujesz?

- Nie.

- Słuchaj, nie musisz się mnie wstydzić, możesz mi wszystko powiedzieć. Jeśli ci niedobrze, wyjdziemy stąd.

- Nie, nie jest mi niedobrze. Ja tylko...

W jego oczach błysnęła panika.

- Luce, ty płaczesz? Boli cię coś?

- Nie, nic mi nie jest. Naprawdę. - Z trudem próbowała przełknąć dławiącą ją gulę w gardle.

Nick rozejrzył się gwałtownie, szukając czegoś, co mogłoby odwrócić jej uwagę.

- Ten wystrój ci się spodobał, prawda? - Wskazał ręką. - Ten w kotki i pieski. Z tym dywanikiem i z tą białą kołyską. Jak tylko na niego spojrzę, wiedziałem, że spadł ci w oko.

Ona też rozpaczliwie chciała zapomnieć o swoich myślach, więc skwapliwie podchwyciła temat.

- Tak, na samym początku zauważyłam ten pokoik.

- Mnie też się podoba. To co? Kupujemy?

- Nie, nic nie kupujemy, zaczekaj! - krzyknęła, bo on już wyciągał kartę kredytową. - Nick, zmiłuj się, na razie nie mam miejsca w domu. Gdzie ja to wszystko postawię? Zresztą nie chcę, żeby tata dowiedział się pierwszy, chcę powiedzieć to obojgu rodzicom, a dotąd nie było kiedy...

- Przecież możemy zawieźć to wszystko do mnie. To i inne rzeczy, które kupimy z myślą o dziecku. Mam w domu wolny pokój.

- Dobrze - powiedziała, za co została obdarzona uśmiechem i pocałunkiem w czoło.

- Grzeczna dziewczynka.

Właśnie. Była dla niego wieczną dziewczynką,

siostrzyczką, pewnie nawet całkiem lubiana, lecz ona chciała być kimś więcej - jego dziewczyną, kochanką... partnerką! Niezależnie jednak od wszystkiego, co się między nimi wydarzyło, jego wiązało z nią wyłącznie poczucie odpowiedzialności. Nawet po wybuchu płomiennej pasji wracali do przyjacielskich stosunków.

Lucy miała szansę przekonać się w ciągu paru krótkich, niezapomnianych chwil, jak wyglądała-by miłość Nicka. Musiała jednak wyrzec się tej śmiesznej mrzonki, że kiedykolwiek zazna jej naprawdę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tego wieczoru Lucy wracała do domu smutna jak nowoorleański jazz. Przynajmniej tak czuła się początkowo, jednak w miarę analizowania całej rozmowy z Nickiem, jej nastrój się zmieniał. Musiała przestać skupiać się na sobie, na swoich potrzebach, na uczuciu do niego. Na litość Boską, przecież świat nie kręcił się dookoła niej!

Nick stawał na głowie, by zrobić dla niej wszystko, co tylko możliwe, lecz im lepiej go poznawała, tym bardziej przekonywała się, że on sam też powinien mieć kogoś, na kogo mógłby liczyć. Nawet nie z powodu swoich obecnych kłopotów z dziadkiem, ale dlatego, że tak naprawdę był dość samotny.

Kiedy skręcała do siebie z trasy szybkiego

ruchu, była już prawie siódma. Zrobił się wieczór, ciepły i przyjemny, dzieciaki grały w piłkę na ulicy, kwiaty kwitły, w powietrzu czuło się już lato i to poprawiło jej nastrój. Zaparkowała pod domem, zabrała z tylnego siedzenia dużą torbę z dwiema parami ciężowych džinsów, które kupiła w drodze powrotnej już po rozstaniu się z Nickiem, wyjęła pocztę ze skrzynki i z ulgą ruszyła w stronę drzwi. To był długi dzień. Pora na odpoczynek z nogami w górze...

Otworzyła drzwi i właśnie miała zawołać: „Tato, już wróciłam!”, kiedy dosłownie szczeka jej opadła ze zdumienia.

Korytarz blokowały dwie walizki, które sprawiały podobne wrażenie, jak porzucone psy. Z jednej wystawał mankiet koszuli, z drugiej smętnie zwisała skarpetka. Za nimi ciągnął się rząd reklamówek, wypchanych licho wie czym. Praktycznie nie dało się wejść do domu.

- Tato?

Z głębi domu dobiegały jakieś odgłosy. Z kuchni? Nie, raczej z łazienki. Zdenerwowana Lucy pospiesznie przełaziła przez kolejne torby.

- Tato, co się dzieje?

Luther wypadł z łazienki, trzymając otwarty neseser, z którego wysypywały się zapasowe ostrza do golarki, plastry, cząki...

- Ach, jesteś! Nie wiedziałem, o której wrócisz i czy się zobaczymy. Wyprowadzam się.

Wyprowadzał się? Nie sądziła, że kiedykolwiek to od niego usłyszy, a jeśli w ogóle, to pewnie dopiero w następnym stuleciu. Zważywszy, że dopiero zaczęło się nowe...

- Ta kobieta! - zagrzmiął dramatycznym tonem Luther, znikł w swojej dotychczasowej sypialni i wynurzył się z niej po chwili, niosąc jedną niebieską skarpetkę, którą cisnął na stos niespakowanych rzeczy, leżących na samym środku korytarza.

- Jaka kobieta?

- Jak to jaka? Greta! - Pobiegł do pokoju dziennego, wrócił z dwoma magazynami, które rzucił na rosnący stos. W ślad za nimi poleciał okrągły blaszany pojemnik z żetonami do pokera. Wieczko otworzyło się i żetony rozsypały się na wszystkie strony. Lucy przyklękła, by je pozbierać. Co za bałagan!

- Tato, stań spokojnie na chwilę i wyjaśnij mi, co się właściwie stało. O co chodzi z Gretą?

O ile jej było wiadomo, siostra Gregera zjawiała się u niej dwukrotnie, za każdym razem w celu przeprowadzenia porządków. Lucy czuła się trochę niezręcznie z tym, że Nick płacił komuś za sprzątanie jej domu, nawet wspomniała mu o tym i mieli na ten temat porozmawiać, lecz w nawale

obowiązków zupełnie o tym zapomniała. Nic nie wiedziała o trzeciej wizycie Grety.

- Wyprowadzam się stąd! - powtórzył Luther, rozglądając się dookoła błędnym wzrokiem.

- Nie zostanę tu ani dnia dłużej.

- Oczywiście możesz robić, co zechcesz, tato, ale czy nie raczyłyś mi najpierw wyjaśnić, w czym rzecz?

- Napaliła się na mnie, w tym rzecz! Ona! I w moim wieku!

Lucy zamrugwała powiekami, przestała zbierać żetony i usiadła na podłodze, opierając się o ścianę, tymczasem ojciec wrócił do swojego pokoju, wynurzył się z niego już bez koszuli, wyszarpnął jakąś z jednej z reklamówek i założył. Ręce mu się trzęsły, gdy zapinał guziki.

- Robiła ci jakieś propozycje? - upewniła się Lucy.

- A jakże! Jeszcze nigdy nic mnie tak nie przeraziło. Powiedziała, że skoro rozstaję się z żoną, to jestem wolny i seks mi dobrze robi, bo mężczyznom seks zawsze dobrze robi, a jeśli chodzi o seks, to ona jest nie do pobicia.

Lucy zagryzła wargi, próbując się nie roześmiać.

- To wcale nie jest śmieszne! - zganił ją Luther. - Nawet nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Przyszła po południu, jakby sprawdzała,

czy utrzymuję porządek. Przyznaję, w kuchni był niewielki bałagan, bo właśnie zrobiłem sobie coś do jedzenia. Wiesz, że staram się sprzątać po sobie i nie sprawiać nikomu kłopotu...

- Wiem, tato.

- Ale jej zdaniem tylko czekam, aż się mnie obsłuży. Też coś! Co ona może o mnie wiedzieć? Przecież wcale mnie nie zna!

- Rozumiem - rzekła z całą powagą Lucy.

- Wyjaśniłem jej, że nic podobnego, że mam poważne problemy i jestem w depresji. No i wtedy się zaczęło! Według niej seks świetnie pomaga na problemy, a depresja przechodzi, jak ręką odjął. Jeśli potrzebuję kopa energii, tak się wyraziła, to ona mi go da. - Chwycił się za głowę. - Ta kobieta przerasta mnie o głowę i ma rozmiary jak krążownik! Nie dam rady się przed nią obronić!

- O - powiedziała tylko.

- Dlatego nie mogę tu zostać. Chwilowo udało mi się jej pozbyć, ale ona wróci. Nigdy nie wiadomo, kiedy się zjawi, kiedy znajdzie jakiś drobny nieporządek, kiedy zacznie gonić człowieka do pracy... Ale przystawianie się do mnie to już stanowczo za dużo!

Otworzył wejściowe drzwi na oścież i zaczął wnosić rzeczy do swojego samochodu. W tym tempie zabrałoby mu to czas do północy, gdyż nosił po jednym żetonie i jednej reklamówce

naraz, bo przecież to zajmowało obie ręce. Lucy westchnęła, wstała i zaczęła mu pomagać.

W którymś momencie odwrócił się do córki, tknięty nagłą myślą.

- A jak tobie minął dzień?

Normalnie wybuchłaby śmiechem, lecz nie chciała urazić uczuć taty, który naprawdę był w dużym stresie. Miał wypieki na policzkach i przejawiał więcej energii, niż Lucy kiedykolwiek u niego widziała. On sam zapewne by się z tym nie zgodził, lecz według Lucy propozycja Greta była najlepszą rzeczą, jaka mu się przydarzyła od długiego czasu.

- Dziękuję, nieźle. Powiedz mi, dokąd zamierzasz jechać?

Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby dotąd w ogóle się nad tym nie zastanawiał.

- Na razie pojedę do twojej matki, a nocować pewnie będę w motelu albo u kogoś z przyjaciół... Jeszcze nie wiem. - Pocałował ją w policzek. - Kocham cię, córeczko, ale moim zdaniem powinnaś zwolnić tę straszną kobietę.

- Wszystko będzie dobrze, tatku. - Poklepała go po ramieniu.

Zajął miejsce za kierownicą.

- Martw się trochę o mnie, dobrze?

- Wiesz, że będę.

Pomachała mu na pożegnanie, jednocześnie

myśląc o tym, że normalnie rodzice proszą dzieci, by te się o nich nie martwiły. Jej rodzice jednak zawsze działali dokładnie na odwrót...

Weszła do domu, po raz pierwszy od miesiący zupełnie cichego. Cichego i czystego. Niewiarygodne! Znowu była u siebie. Nalała do szklanki mrożonej herbaty i stanęła na werandzie, wdychając zapach wiosennej nocy i zastanawiając się, czy to aby nie Nick ukartował rzekome napastowanie taty przez Gretę. To byłoby bardzo w jego stylu - znaleźć wyjście, które w sumie jest dobre dla wszystkich.

Ona sama nie zdołała zmusić taty do tego, by wreszcie wykonał jakiś ruch i zrobił coś ze swoim życiem, a Nickowi się udało. Widziała coś podobnego wielokrotnie w firmie - nigdy nie unikał problemów, każdy musiał rozwiązać, i to tak, by wynikało z tego coś pozytywnego. W rezultacie jego twórczego podejścia problemy zmieniały się w... szanse.

Pomyślała o tym, jak od początku podchodził do kwestii ciąży.

O ich pocałunku porannym. I popołudniowym.

O tapecie w kotki i szczenięta.

O wyrazie twarzy, z jakim jej się przyglądał, gdy mówił, że przecież nie muszą brać ślubu.

Westchnęła, spojrzała na zegarek i uprzytomniła

sobie, że minęła już godzina od wyjazdu taty. Czym prędzej zadzwoniła do mamy.

- I co u ciebie, kochanie? - spytała Eva.
- Wszystko w porządku. Dzwonię, bo muszę ci coś powiedzieć.
- Jakież ciekawe wieści?
- Tata niedługo będzie u ciebie.
- Co?!
- Niedługo do ciebie przyjedzie. Dlatego skorzystam z okazji i umówię się z wami obojgiem na ten weekend, bo trzeba koniecznie porozmawiać. Co powiesz na wspólny lunch w tę niedzielę o trzynastej w lokalu „U Millikera”?

- Skarbie, wiem, że jesteś ogromnie przejęta naszym rozwodem...

- Wcale nie chodzi o wasz rozwód, słowo. Po prostu muszę z wami obojgiem coś przedyskutować.

- Przecież cię znam, kochanie! Oczywiście swoim zwyczajem chcesz się włączyć i pogodzić nas. Ja to rozumiem. To musi być niezmiernie stresujące słuchać, jak rozmawiamy o rozwodzie po tylu latach małżeństwa, ale uwierz mi...

- Mamuś, niedziela, trzynasta, „U Millikera” - powtórzyła z naciskiem Lucy. - Bądźcie koniecznie oboje. Pa.

Delikatnie odłożyła słuchawkę, gdyż inaczej ta rozmowa trwałaby w nieskończoność, a każda

z nich mówiłaby swoje. Mama, podobnie jak ojciec, zakładała, że Lucy nieustannie myśli o ich problemach, gryzie się nimi i w kółko je przeżywa. Tymczasem ona miała własne życie i własne sprawy, lecz żadnemu z rodziców nie przyszło to do głowy.

Wrzuciła brudne rzeczy do pralki, wytarła blaty w kuchni, choć po wizycie Grety i tak lśniły czystością. W sumie to aż idiotyczne, że dotąd nie powiedziała rodzinie o dziecku - ale naprawdę nie miała szansy. Nie chciała tego rzucić w rozmowie, ot tak. Czekała na spokojniejszą chwilę, by usiąść razem z rodzicami i przekazać im tę ważną wiadomość. Niestety, do tej pory przez cały czas coś się działo, problemy mnożyły się jak króliki...

Nagle przyłapała się na tym, że stoi w pokoju dziennym, wpatrując się w reprodukcję obrazu z samotnym orłem. Nawiedziła ją zdumiewająca myśl - w tym obrazie zawierała się odpowiedź na wszystko. Na to, kim była. Kim chciałaby być. Co ją powstrzymywało. Czemu popełniała błędy.

Wystarczyło tylko tę odpowiedź zrozumieć...

W wybranym przez nią lokalu panował tłok. Lucy na śmierć zapomniała, że w niedzielę okoliczni mieszkańcy przychodzą tam tłumnie po wyjściu z kościoła. Cóż, trudno. Ponieważ

zjawiła się przed rodzicami, stanęła w kolejce osób czekających na to, aż kelner zaprowadzi ich do stolika.

Poprawiła nieco żółty sweterek i dyskretnie sprawdziła, jak wygląda w nowych spodniach. Gdy je kupowała, aż się skrzywiła na widok brzydkich elastycznych wstawek w talii, szybko jednak doceniła ich przydatność. Nareszcie nic jej nie uciskało! Chociaż czuła się gruba, nikt jeszcze się nie zorientował, jeden Nick zauważył rosnący brzuszek Lucy, gdy nocowała u niego.

Naraz za oknem mignęła jej sylwetka mamy. W tym samym momencie samochód taty zatrzymał się na parkingu, przybyli więc oddzielnie. Oboje byli ubrani tak, jak zwykle ubierali się, idąc do kościoła, każde miało na twarzy sztuczny uśmiech.

Eva weszła pierwsza, znalazła Lucy już prawie na samym początku kolejki, rozejrzała się.

- Skoro chciałaś porozmawiać, należało wybrać trochę spokojniejsze miejsce - mruknęła i pocałowała córkę w policzek.

Wszedł Luther, również ucałował Lucy, lecz na żonę nawet nie spojrzął, ona na niego zresztą też nie. Wymienili jedynie krótkie: „Cześć”.

Kiedy usiedli przy stoliku, mama zamówiła kawę, tata sok pomarańczowy i tosty z serem, zaś Lucy omlet z trzech jaj z podwójną porcją sera, do

tego naleśniki z jagodami i bitą śmietaną, szklankę mleka oraz dwie babeczki z nadzieniem pomarańczowym. Rodzice spojrzeli na nią z ukosa.

- Jestem głodna - wyjaśniła.

- Ludzie nie mają co jeść, a ty sobie dogadzasz... Taką ilością jedzenia mogłabyś nakarmić rzeszę biedaków z jakiegoś kraju Trzeciego Świata - zauważyła Eva.

- Mamo, mnie też martwi problem głodu, ale chwilowo wyjątkowo potrzebuję zadbać o samą siebie - odparła nieco cierpko Lucy.

- Dobrze, przejdźmy do rzeczy - rzekła twarzą do Eva. - Przed dwoma tygodniami ja i twój ojciec widzieliśmy się z prawnikiem. Teraz musimy ustalić, jak się dzielimy majątkiem, dlatego każde z nas powinno dostarczyć listę rzeczy, które należą do niego.

- Zdaniem twojej matki powinniśmy mieć te listy gotowe przed następnym spotkaniem z prawnikiem, bo rozwód taniej nas wyniesie, jeśli załatwimy to maksymalnie ugodowo - dopowiedział Luther.

- Jednak twój ojciec do tej pory nie spisał swojej listy.

- Bo wcale nie chcę żadnego rozwodu. Cały czas nie pojmuję, jak to możliwe, by sprawy zaszły aż tak daleko! Nawet nie raczysz ze mną porozmawiać!

- Próbowałam to robić przez ostatnich trzydzieści lat. Mówienie do ciebie niczego nie zmienia.

- To może spróbuj tłumaczyć mi swój punkt widzenia inaczej niż dotychczas, bo mimo najszerszych wysiłków naprawdę nie rozumiem, czemu jesteś tak nieszczęśliwa.

- Nie uda ci się powstrzymać mnie od rozwodu, Luther. Jedyne, co aktualnie możesz zrobić, to przez twój brak odpowiedzialności powiększyć koszty rozwodu i uczynić go jeszcze trudniejszym niż...

- Jestem w ciąży - oznajmiła Lucy i rzuciła się na przyniesione właśnie jedzenie, gdyż zaczęła jej się już robić słabo z głodu.

Oboje rodzice zamilkli jednocześnie, co za jej pamięci jeszcze się nie zdarzyło. Cisza nie trwała jednak długo.

- Z kim? - spytał Luther.

- Przecież to zupełnie nieistotne! - zganiła go natychmiast Eva. - Nieważne, z kim. Ważne, jak się czuje i czy jest zdrowa. - Odwróciła się do córki. - Nie umiałaś się zabezpieczyć? W twoim wieku? To o czym ty myślałaś?

- Daj jej spokój - wtrącił Luther. - Lucy, nic się nie martw, pomożemy ci i jesteśmy po twojej stronie. Ale czy ten człowiek zamierza się z tobą ożenić? I co się stanie z twoją pracą?

- Oczywiście dla ciebie liczy się tylko praca! - fuknęła Eva. - Są w życiu ważniejsze rzeczy. Kto jest ojcem?

- Jak ja ją o to spytałem, to na mnie naskoczyłaś - wytknął Luther.

Lucy właśnie skończyła jeść omlet, więc skoro zaspokoili pierwszy głód, mogła odpowiedzieć na część pytań.

- Rzeczywiście nie planowałam tego, co faktycznie w moim wieku nie przynosi chluby. Ale miałam czas do namysłu i doszłam do wniosku, że naprawdę chcę mieć to dziecko, chcę zostać matką, i to dobrą, a nie...

Rodzice nie dali jej dokończyć, ponieważ ochłonęli z pierwszego szoku i mieli jej całą masę rzeczy do powiedzenia. Nie wiedzieli, że Lucy ma kogoś. Czy wróciła do Eugene'a? Jeśli to nie on, to kto? Przecież ojciec mieszkał u niej przez tyle czasu i nie zauważył, by się z kimś regularnie widywała. Czy jej ubezpieczenie obejmuje również poród, czy będzie musiała sama opłacić cały pobyt w klinice? Kto jest jej lekarzem?

To ostatnie pytanie okazało się katastrofalne w skutkach. W każdej rodzinie istnieje pewien szczególny temat, który momentalnie zagrzewa wszystkich jej członków do najbardziej żywiołowej dyskusji, o ile wręcz nie do kłótni. W rodzinie Fitzhenrych takim tematem byli lekarze. Luther

z miejsca wyrecytował listę ginekologów cieszących się największym poważaniem w jego środowisku, na co Eva tylko parsknęła i rzuciła nazwiskami ginekologów, których uznawały za najlepszych żony lekarzy, czyli pacjentki szczególnie wymagające.

Doktor Jargowski nie znajdował się na żadnej z list, więc nie mieściło im się w głowie, jak ich córka może do niego chodzić.

Lucy spokojnie zjadła naleśniki i jedną z babeczek. Pomyślała nawet, że już się najadła, ale akurat kelnerka przyniosła do sąsiedniego stolika tort bezowy, na widok którego dosłownie pociekła jej ślinka.

- Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? - W oczach jej matki weszły łzy. - Aż nie mogę w to uwierzyć...

- Czemu nie przyszedł do mnie? - poskarżył się Luther. - Przecież byłem przez cały czas na miejscu! Wiesz, że bym cię nie osądzał, ani nic. Zrobiłbym wszystko, żeby ci pomóc.

- Co ludzie sobie pomyślą? - zatroskała się nagle Eva. - Ginger już wie? Albo ktoś inny z rodziny?

- Jakie to ma znaczenie, czy ktoś wie i co sobie pomyśli? Tu nie chodzi o innych, tu chodzi o Lucy!

- Czekaj, daj mi się skupić! Na strychu mam

jeszcze rzeczy po Ginger i Lucy, na pewno zostało wysokie krzeselko...

Lucy skończyła drugą babeczkę, więc mogła znowu włączyć się do rozmowy.

- Nikt jeszcze o niczym nie wie, najpierw postanowiłam poinformować was, dlatego prosiłam o to spotkanie, bo nie chciałam urazić uczuć żadnego z was, mówiąc najpierw temu drugiemu. Dziecko ma się urodzić w okolicy Święta Dziękczynienia. Aha, czuję się dobrze.

- Ubrania! - wykrzyknęła Eva. - Koniecznie musimy jechać na zakupy, bo przecież potrzebujesz ubrań ciążowych. Teraz są produkowane w najróżniejszych stylach, jest w czym wybierać. Nie to, co wtedy, gdy ja byłam w ciąży...

- Cały czas nie powiedziałaś nam, kto jest ojcem.

- Czy w twojej pracy już wiedzą?

Lucy zdążyła w tym czasie zamówić ciastko z wiśniami - zmieniła zdanie w kwestii tortu bezowego - i właśnie niosła na widelczyku kawałek do ust, gdy nagle zamarła, ponieważ poczuła coś dziwnego w brzuchu. To nie był żaden ból ani skurcz. To nie było łaskotanie. Nigdy w życiu nie odczuła nic podobnego.

To coś powtórzyło się po raz drugi. Jakby od środka bardzo delikatnie pogładziły ją motyle skrzydełka.

Dziecko.

Poczuła, jak poruszyło się dziecko.

- Coś nie tak? - spytała Eva.

- Nie, mam. Po prostu muszę iść do łazienki.

Nie pobiegła jednak do łazienki, chociaż faktycznie potrzebowała, ale wyskoczyła na zalaną słońcem ulicę, wyciągnęła komórkę i wybrała numer Nicka tak szybko, jak tylko się dało.

Nie odbierał. Kiedy włączyła się poczta i głos Nicka poprosił o zostawienie wiadomości, Lucy wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Nick, poczułam je! Naprawdę. Poczułam, jak dziecko się rusza. To tyle. Chciałam tylko, żebyś wiedział.

Idiotka, pomyślała w następnej sekundzie, żałując gorąco, że nie może tego cofnąć. Po co w ogóle mu się nagrywała? Owszem, to było ich dziecko, lecz poza tym nic ich nie łączyło. Nicka nie interesowały takie intymne szczegóły. Nic dla niego nie znaczyły.

Nie kochał jej. Musiała to sobie wreszcie wbić do głowy i pogodzić się z tym.

W drodze powrotnej wstąpiła do centrum ogrodniczego i kupiła kwitnące niecierpki. W domu przebrała się szybko, wzięła szpadek, stary ręcznik, by mieć na czym klęczeć i wyszła do frontowego ogródka, gdzie wzięła się za sadzenie

kwiatów. Zajął jej to godzinę, słońce miło grzało ją w plecy, a kiedy skończyła, po obu stronach wejścia widniały barwne klomby.

Weszła do domu, zmęczona i zadowolona. Kątem oka zauważyła migającą kontrolkę automatycznej sekretarki.

- Przykro mi, że nie mogłem odebrać telefonu - rozległ się nagrany głos Nicka. - I jakie to było uczucie? Podobno dziecko kopie, tak? Myślisz, że to chłopiec czy dziewczynka?

1 znowu zrobiło jej się jakoś dziwnie gdzieś w środku, ale tym razem nie z powodu dziecka. Umyła zabrudzone ziemią ręce, wypita całą szklankę mrożonej cytrynowej herbaty, a potem nie wytrzymała i wybrała numer Nicka. Znowu włączyła się poczta głosowa. Lucy nie miała ochoty ponownie mu się nagrywać, już po tym pierwszym razie było jej wystarczająco głupio, ale jeśli rozłączy się, nic nie mówiąc, to skąd Nick będzie wiedział, że odsłuchiwała wiadomość od niego?

- Dziecko kopnęło bardzo delikatnie. Niesamowicie dziwne uczucie. Jakbym poczuła... życie. Myślę, że to chłopiec. Czy płęć dziecka ma dla ciebie jakieś znaczenie?

Chwilę potem zadzwonił jej telefon komórkowy, lecz nie był to Nick, tylko Merry z pytaniem, czy Lucy nie zechciałaby iść do kina. Lucy

chętnie przystała na tę propozycję, gdyż od jakiegoś czasu było jej przykro, że tak zaniedbuje przyjaciółkę. Owszem, rozmawiały często przez telefon, lecz prawdziwe spotkanie i rozmowa w cztery oczy to zupełnie co innego.

Umówiły się na obiad w lokalu znajdującym się w połowie drogi między nimi, zamierzając potem iść na jakąś niemądrą komedię romantyczną, ale gdy tylko zaczęły gadać, kino wyleciało im z głowy. Merry opowiedziała, jak chodzi po lekarzach i próbuje ostatecznie ustalić, czy jest bipolarna, czy nie. Ponieważ przyjaciółka zwierzała się z osobistych spraw, Lucy zrobiła to samo i powiedziała o ciąży. Chciała zrobić to dużo wcześniej, lecz dotąd nie było okazji, gdyż takiej informacji nie zamierzała przekazywać przez telefon. Poczowała ulgę, gdy zwierzyła się przyjaciółce, której wsparcia mogła być pewna. I nie zawiodła się. Merry z całego serca opowiedziała się za decyzją Lucy, by dziecko urodzić i wychować, dodała jednak też coś od siebie.

- Twoim zdaniem tamta noc była błędem, a ciąża to wpadka. Ja uważam inaczej. Tak musiało być.

- Przestałam wierzyć w przeznaczenie, gdy miałam szesnaście lat - oświadczyła Lucy.

- Przecież ja nie mówię o jakiejś bajce czy czymś takim! Nie sądzisz, że natura potrafi

zadbać o to, by podobali nam się właściwi ludzie? Może Nick jest najlepszym ojcem dla twojego dziecka i dlatego ona tak to wszystko urządziła?

- Mogła mnie jakoś uprzedzić... - mruknęła cierpko Lucy. - Nie przywykłam do tracenia głowy. Gdybym wiedziała, co się święci, przynajmniej bym się zabezpieczyła.

- No właśnie! - zawołała triumfalnie Merry. - Zawsze musisz wszystko najpierw przemyśleć, zawsze musisz się o wszystko zatroszczyć, przewidzieć każdą możliwość. Matka natura o tym wiedziała, dlatego pozbawiła cię kontroli nad emocjami, gdy znalazłaś się w towarzystwie idealnego mężczyzny.

Lucy odłożyła widelczyk, chociaż właśnie postawiono przed nią dwa najpyszniejsze ciastka z całego menu.

- Po pierwsze, idealni mężczyźni w ogóle nie istnieją. Po drugie, Nick i ja idealnie do siebie... nie pasujemy. Prawda jest taka, że potwornie namieszałam i w jego życiu, i w swoim, a wszystko przez bezmyślność i brak odpowiedzialności, co mnie przeraża, nie ukrywam, bo to nie są cechy dobrej matki.

- Głupia jesteś - poinformowała ją spokojnie Merry. - Będiesz najcudowniejszą matką na świecie.

- Mówisz tak, bo jako przyjaciółka masz

klapki na oczach! W dodatku bierzesz te nie-szczęśne prochy. - Lucy przyjrzała jej się bacznie. - Mam nadzieję, że już się nie widzisz z tym facetem, który ci wmówił chorobę?

- Muszę się z nim widywać, bo pracujemy razem.

- Ale przynajmniej się z nim nie umawiasz po pracy, co?

Reszta rozmowy upłynęła na zwierzeniach Merry, o ciąży Lucy nie było już mowy. Kiedy wreszcie wyszły z restauracji, na dworze zdażyło zrobić się ciemno. Dopiero po pożegnaniu z przyjaciółką Lucy zorientowała się, że ktoś dzwonił na jej komórkę i zostawił wiadomość. Wsiadła do samochodu i odsłuchiwała ją.

- Wszystko mi jedno, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka, chociaż w mojej rodzinie jest już sporo chłopców, a z dziewczynek tylko Gretchen. Ucieszyłbym się, gdyby przybyła jeszcze jedna. A dla ciebie płęć dziecka ma jakieś znaczenie?

Po chwili wahania oddzwoniła, lecz tego dnia prześladował ją pech, gdyż Nick znowu nie odebrał i po raz trzeci usłyszała znaną na pamięć prośbę o nagranie wiadomości. Miała się rozłączyć, nic nie mówiąc, gdyż czuła się trochę tak, jakby bawili się w ciuciubabkę, lecz ośmieliła ją panująca w samochodzie intymna ciemność. Lu-

cy odchyliła głowę na oparcie, przymknęła oczy i wyznała do słuchawki:

- Nie, płęć dziecka nie ma dla mnie znaczenia. Ale czasami... nie, nawet nie czasami, całkiem często... wpadam w panikę. Nie mam dość charakteru, dość siły, ani nie jestem wystarczająco dojrzała, żeby być dobrą matką. Nie jestem pewna... czy mi się uda.

Głupszą wiadomość trudno byłoby mu zostawić! Miała ochotę sama siebie kopnąć. Spędziła pół dnia wśród bliskich osób, którym teoretycznie mogła się zwierzyć ze swoich lęków i niepokojów. Próbowwała to zrobić, lecz rodzice w ogóle nie starali się jej wysłuchać, zaś Merry wierzyła w nią ślepo i z góry uznała ją za wspaniałą matkę. Rzecz w tym, że Lucy potrzebowała nie pociechy i zapewnień, że wszystko będzie dobrze, tylko kogoś, z kim mogła być absolutnie szczerą. Potrzebowała osoby, przy której można wszystko powiedzieć. Tylko tyle. I aż tyle.

W drodze do domu jej nastrój jeszcze się pogorszył. Przypominała sobie wszystkie swoje potknięcia i błędy. Martwiła się o przyszłość. Wyrzucała sobie te osobiste wyznania, jakie poczyniła tego dnia przez telefon - biedny Nick wcale nie był nimi zainteresowany! Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że od Nocy Czekolady wszystko robiła nie tak, jak trzeba.

Lucy nigdy nie była beksą, lecz tym razem doprowadziła się podobnymi myślami do takiego stanu, że aż zaczęła siąkać nosem i rozpaczliwie mrugać powiekami, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Ale nie to okazało się najgorsze.

Gdy zaparkowała pod domem, rozpoznała czarny wóz, obok którego stanęła. Spojrzała w stronę wejścia.

Na frontowej werandzie siedział Nick i czekał na nią.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nick właściwie nie umiałby wyjaśnić, co kazało mu wskoczyć do samochodu i przyjechać do Lucy po odsłuchaniu jej ostatniej wiadomości.

Przez cały dzień przebywał poza domem. Najpierw pojechał na koncert w szkole Gretchen, ponieważ bratanica grała na flecie, w dodatku jako solistka. Później musiał odsiedzieć swoje na proszonym obiedzie u jednej z ciotek. Najpierw trochę go bawiło to zostawianie sobie wiadomości na przemian, dopiero na samym końcu zdał sobie sprawę z tego, jak głos Lucy zmieniał się za każdym razem. Pierwsza wiadomość to było jedno wielkie podekscytowanie, następna okazała się znacznie bardziej stonowana, a trzecią ledwo zrozumiał, tak cicho ją wyszeptała. I właśnie wtedy zaczął się poważnie denerwować.

Patrzył, jak ona wysiada z tego swojego starego gruchota i nawet w ciemności widział, że coś jest nie tak. Serce zaczęło mu bić szybciej z niepokoju. Nie znał energiczniejszej i pogodniejszej osoby niż Lucy, która nigdy się nie załamywała, zawsze tryskała optymizmem i dodawała ducha innym. Jednak w tym momencie jej oczy lśniły podejrzanie, w dodatku zamiast jak zwykle prawie biec przed siebie, szła powoli, obejmując się ramionami. Nick usłyszał stłumione łkanie.

Skoczył ku niej, gotów gołymi rękami zabić tego, kto ją doprowadził do takiego stanu.

- Co się stało? - spytał gwałtownie, gdyż teraz już wyraźnie widział, jak łzy spływają jej po twarzy.

- Wielkie nieba, Nick, co ty tu robisz?

- Nieważne, mów, co z tobą! O Boże, Lucy, nie płacz! Żle się czujesz? Co się dzieje?

- Nic, zupełnie nic. Nie martw się o mnie. Po prostu jestem w fatalnym nastroju i muszę trochę pobeczeć. - Schyliła głowę i zaczęła grzebać w torebce, szukając klucza i nie mogąc go znaleźć.

- Nie masz złego nastroju bez powodu, coś musiało go spowodować. Czy ktoś wyrządził ci przykrość? Zranił cię?

- To naprawdę nic takiego, zwyczajnie się rozkleiłam. Kobiety w ciąży mają huśtawkę emocjonalną, tak piszą we wszystkich książkach na ten temat. Zaraz dojdę do siebie.

Nadal nie mogła znaleźć kluczy. Nick usłyszał dwa rozpaczliwe chlipnięcia.

- Luce, nie płacz, bo serce mi się kraje!

Odebrał jej torebkę, w ciągu sekundy znalazł klucz, otworzył drzwi i wziął Lucy za ramię.

- Chodź, opowiedz mi wszystko. Albo przynajmniej część. Nie wyjdę, dopóki nie porozmawiamy.

- Nick, ty chyba myślisz, że ja przechodzę jakiś kryzys, ale nic podobnego nie ma miejsca, zapewniam cię. Po prostu chwilowo mam kiepski nastrój. Zaczęłam myśleć o tym całym zamieszaniu, jakiego narobiłam i...

- Nie narobiłaś żadnego zamieszania.

- Owszem, narobiłam. Zawsze byłeś blisko z dziadkiem, a teraz się poróżniliście. Z mojej winy! Do tego masz przeze mnie całą masę innych kłopotów, poświęcasz mi czas i będziesz musiał na razie trzymać u siebie meble do pokoju dziecięcego, co może wywołać jakieś nieporozumienia, gdy zechcesz się z kimś spotykać. To ja do tego doprowadziłam! A miałam się za porządną osobę...

- Bo jesteś porządną osobą. - Nick rozejrzył się, co niewiele dało, gdyż Lucy nie zapaliła światła. W ciemności czuł zapach bżów i czegoś jeszcze... Może żonkili? Wszystko jedno. Ważne, by on zdołał wpaść na to, jak pomóc Lucy. - Słuchaj, twój nastrój nie wziął się znikąd, coś albo ktoś musiało go spowodować.

- Owszem i nawet wiem, kto go spowodował. Ja sama. Wszystko zaczęło się od tego, że rzuciłam się na ciebie tamtej nocy. Wcale nie miałam takiego zamiaru, przysięgam! Pamiętasz, jak przypisałam winę Niebiańskiej Rozkoszy? Ale ona nie miała z tym nic wspólnego! To ja jestem winna, mój charakter... Jestem nieodpowiedzialna, egoistyczna, bezmyślna... - Lucy miotała się w ciemności od jednych drzwi do drugich, desperacko starając się stłumić łkanie, lecz i tak co chwilę wyrwał jej się z piersi rozdzierający szloch.

Nick gorączkowo poszukał kontaktu, znalazł, zapalił światło, pobiegł do łazienki, chwycił rolkę papieru toaletowego, oddał chyba z połowę, wrócił do Lucy, podał jej.

- Wydmuchaj nos - zażądał.

Posłusznie zrobiła, co kazał, i wydmuchała nos z taką siłą, że z miejsca przyjęto by ją do orkiestry dętej.

- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Jest mi strasznie przykro.

- Czy możesz wreszcie przestać tak gadać?

- Nie, nie mogę, bo to naprawdę wszystko moja wina! Nie tylko ciąża i narobienie zamętu we własnym życiu, twoim i twojego dziadka. Popełniłam znacznie więcej błędów, dopiero teraz to widzę. Zawsze mi się wydawało, że to ja nie umiem uwolnić się od moich rodziców, odciąć

pępowiny, dorosnąć. To nieprawda. To oni nie chcą się ode mnie uwolnić, to oni nie odcinają pępowiny, a ja im na to przez cały czas pozwalałam. Przyzwyczaiałam też kuzyna do tego, że wiecznie się nim opiekuję, że można do mnie przylecieć z każdym problemem. Ale takie ciągłe chuchanie na niego wcale mu nie pomaga! Moi przyjaciele też cały czas liczą na moją pomoc, na niesienie im otuchy, na przejmowanie się ich sprawami. Uależnili się więc jakoś ode mnie, co wcale nie jest dobre. Rozumiesz, na dłuższą metę szkodzę ludziom, zamiast im pomagać.

- To nieprawda.

- Jako matka będę taka sama, a to mnie przeraża. Zrobię krzywdę własnemu dziecku! I co z tego, że będę chciała dobrze, skoro wszystko zepsuje?

Znowu wydmuchała nos, a potem... Potem znów wyrwało jej się rozdzierające chlipnięcie, Nick więc zrozumiał z przeraźliwą jasnością, że ona za moment ponownie zaleje się łzami. Chwycił ją mocno za ramiona. Nie, nie zamierzał całować Lucy, chciał tylko wreszcie przebić się przez ten jej monolog, dotrzeć do niej jakoś. W jakikolwiek sposób, byleby skuteczny.

- Bierzesz na siebie całą winę. A nie pomyślałaś, że ja też chciałem się z tobą kochać? Że też mi się podobałaś? Że to wcale nie było takie jednostronne?

- Co?

Porwał ją w objęcia i pocałował, bo nie mógł znieść widoku płaczącej kobiety, a płacząca Lucy... Och, to było tysiąc razy gorsze, ponieważ ona nigdy się nie rozklejała i zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, by zaoszczędzić Nickowi takiego stresu. Skoro nie zdołała, musiała być naprawdę nieszczęśliwa, a ta myśl napełniała go zgrozą.

Pocałunek wystarczył, by Lucy zapomniała o swoich smutkach. Uspokoiła się momentalnie, czego nie dałoby się powiedzieć o Nicku, któremu serce zaczęło bić jak na alarm, a puls przyspieszył do niewiarygodnego wręcz tempa.

Wtulił ją w siebie, pocałował łagodniej, za to bardziej zmysłowo, bo teraz jego celem już nie było zamknięcie jej ust. Poczuł, jak całe jego ciało dostraja się do Lucy, jakby był stradivariusem, a ona wyjątkową skrzypaczką, przy czym jej zdumiewające mistrzostwo nie wynikało ze znakomitej znajomości techniki, gdyż na tej Lucy nie znała się zupełnie.

Do tej pory Nick nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo przeceniał znaczenie zdolności „łóżkowych”. Doświadczenie i wyrafinowanie, tak do niedawna przez niego faworyzowane, nigdy nie otworzyły przed nim ogromnego obszaru doznań, w których brały udział nie tylko jego ciało i zmysły, lecz cała osoba.

Lucy wprowadzała go w ten nowy świat właśnie przez to, że sama oddawała się cała Nickowi. Z każdym pocałunkiem zdawała się otwierać przed nim coraz bardziej i bardziej, a on odnajdywał w niej absolutną szczerość, hojność, czystość. Co więcej, pod wpływem jej pocałunków on też stawał się coraz bardziej otwarty, coraz bardziej... nagi. To odkrycie nim wstrząsnęło. Przywykł do tego, że ma kontrolę nad tym, co się dzieje, lecz przerażało go, jak chętnie Lucy oddawała mu wszystko, ale to naprawdę wszystko. W życiu nie spotkał kobiety, która nie zostawiałaby pewnej części siebie w tajemnicy, lecz Lucy nawet nie przyszło to do głowy, jej szczodrość była porażająca.

Czuł jej delikatną skórę, cudowne usta, gładzące jego włosy palce, nabrzmiałe, gorące piersi... Czuł jej podniecenie. I swoje własne.

Na moment uchylił powieki, by w ogóle przypomnieć sobie, gdzie się znajdowali. Aha, na korytarzu w jej domu.

- Lucy?
- Mmm?
- Idziemy do twojej sypialni.
- Mmm...

Uznał to za zgodę, więc zaczął niespiesznie przemieszczać się w stronę jej pokoju, nie przerywając przy tym pocałunku. W pewnym momencie Nick pochwycił kątem oka reprodukcję

znajomego obrazu nad kominkiem, na orła szybu-
jącego samotnie nad wodami padało akurat świat-
ło księżycy. Zadzwonił telefon, lecz Lucy nie
oderwała się od Nicka, tylko jeszcze mocniej
splotła ręce na jego karku. Minęli łazienkę,
skręcili w korytarzyk prowadzący do jej sypialni
i wreszcie przekroczyli próg.

Nick zawahał się, ponieważ poczuł się tak,
jakby wkroczał do tajemniczego sanktuarium.
Nawet w ciemności wyczuwał zapach kwiatów,
pamiętał też te wszystkie fiołkowe falbanki i ko-
ronki - takie dziewczęce, takie delikatne i takie
zmysłowe. Wystrój tego pokoju, tak odmiennego
od jego surowej sypialni, odzwierciedlał ten aspekt
Lucy, którego nikt nie znał. Postrzegano ją jako
praktyczną aż do bólu, ciężko pracującą kobietę,
której nic nie mogło złamać. I rzeczywiście taka
była, lecz pod tym kryło się coś jeszcze - cudowna,
krucha, najbardziej seksowna kobieta na świecie...

Pocałował ją tak, jakby tęsknił za nią przez
całe życie. Jakby do tej pory miał za towarzyszkę
jedynie samotność. I chyba jedno i drugie było
prawdą, gdyż Lucy w odpowiedzi pocałowała go
tak, jak może to uczynić tylko kobieta, która
właśnie rozpoznała swoją drugą połowę.

Rozebrali się wzajemnie, upadli na łóżko,
niemal walcząc ze sobą, gdyż żadne nie chciało
brać, tylko dawać temu drugiemu maksimum

przyjemności, a jednocześnie chcieli brać, bo
każde chciało wziąć to drugie niemal natychmiast.

Nick nie nazwałby tego szalonym, gorącym
seksem, bo doskonale wiedział, czym jest szalo-
ny, gorący seks. To było coś więcej. To była...
czysta magia, bo do szalonego, gorącego seksu
doszedł dodatkowy składnik, który wszystko
zmieniał - Lucy.

Opadli na poduszki, cali mokrzy od potu,
z trudem łapiący oddech, roześmiani. Lucy do-
tknęła policzka Nicka, zaczęła coś mówić i nagle
przestała, nim zorientował się, co to było. Chwilę
potem zrozumiał, że zasnęła głębokim, spokoj-
nym snem. Przytulił ją, zaczął delikatnie głaskać,
potem przykrył, by się nie przeziębila i znów
zaczął gładzić jej drobne ciało.

Powoli dochodził do siebie po tych ekstatycz-
nych fajerwerkach. Przez kołdrę czuł powiększone
piersi Lucy i wypukły brzusek, wyraźne oznaki
ciąży. Ogarnęło go ogromne poczucie odpowie-
dzialności, ale też i równie silne poczucie winy.

Nie miał prawa znowu się z nią kochać, bo przez
to i tak wystarczająco trudna sytuacja komplikowa-
ła się coraz bardziej. Miał się nią opiekować
i robić tylko to, co będzie dla niej dobre. Może jego
kodeks honorowy różnił się trochę od kodeksu
dziadka, niemniej nakazywał on jasno, by chronić
kogoś, kto jest słabszy i znajduje się w potrzebie.

Nie powinien był więc kochać się nią. Darzyła go uczuciem, wiedział o tym od samego początku i wiedział też, że seks nie pomaga wyprostować zawiąanych relacji, wręcz przeciwnie. Nick nie miał być dla Lucy kochankiem, tylko oparciem, ponieważ wszyscy inni wiecznie czegoś od niej oczekiwali. Dobrze, by miała choć jedną osobę, która nie będzie od niej niczego brać, za to będzie dawać.

Owszem, chciała się z nim kochać, ale to w niczym nie umniejszało jego odpowiedzialności. Nie potrafił się powstrzymać, dlatego pomnożył ich problemy. Tak bardzo się starał, a tymczasem znowu stracił głowę w ramionach Lucy.

I serce.

Dwa tygodnie później Lucy siedziała w swoim biurze, przeklinając papierkową robotę, której zrobiło się trzy razy więcej, niż się spodziewała, gdy nagle rozległ się brzęczyk alarmowy i zaczęła migać jedna z lampek na wiszącej na ścianie tablicy. Lucy poderwała głowę i zobaczyła, że coś musiało się stać w nowej szklarni. Zerwała się zza biurka i popędziła korytarzem, po drodze wzywając głośno Reiko, czyli osobę, na którą najbardziej mogła liczyć.

Reiko wyjrzała z kuchni i wystarczył jej rzut oka na twarz Lucy, by pobiec za nią. Po drodze gorączkowo wystukiwały kody, które pozwalały

im przejść przez kolejne zabezpieczenia, wreszcie dostały się do nowej oranżerii. Było dość ciemno, gdyż całe niebo zasnuwały nisko wiszące ołowiane chmury, a o szklany dach i szyby bębnił zaciekle deszcz, lecz nawet w panującym półmroku natychmiast zobaczyły płynące strugi wody.

- Musiał pójść któryś z węży do nawadniania!
- Lucy krzyknęła do Reiko, oczywiście najzupełniej niepotrzebnie, gdyż ta z pewnością oceniła sytuację równie szybko jak ona.

Młode sadzonki potrzebowały ściśle określonej ilości wody, co zapewniał system nawadniania kropelkowego, ale ponieważ nic na tym świecie nie jest doskonałe, któryś z węży pękł. Należało jak najszybciej zlokalizować miejsce katastrofy, zatamować wodę i wypompować tę, która już zdążyła wypłynąć. W szklarni Lucy nie miały prawa znajdować się żadne kałuże.

Greger wpadł do szklarni chwilę po nich i też w mig zrozumiał, co się dzieje.

- Ty tu zostań i nigdzie nie biegaj - przykazał Lucy. - Ja to znajdę.

- Nie! Ty zakręć wodę. Całą wodę w całej szklarni.

- Nie, ty zakręć, a ja się zajmę cięższą robotą...

- Rób, co ci mówię! - wrzasnęła na potężnego potomka wikingów, za którym naprawdę przepadała, ale któremu nie mogła ufać jak samej sobie.

Nie miała żadnej gwarancji, że Greger potrafi naprawić wąż nawadniający, a nawet jeśli umiał, to zrobiłby to na swój sposób, nie na jej, a przecież jej sposób był najlepszy i jedynie słuszny, w związku z czym zakasała rękawy i na czworakach wpełzła pomiędzy sadzonki, szukając tego nieszczęsnego miejsca. Wystarczyło jej kilka minut.

- Reiko, znalazłam!

- Co ci potrzebne? Zapasowy wąż? Taśma izolacyjna? - spytała bez tchu Reiko, po czym na wszelki wypadek przyniosła wszystko, co mogło się nadać przy naprawie.

Obie bez namysłu uklęknęły w kałuży błota i starały się opanować katastrofę, zaś Greger na ten widok po raz pierwszy wyszedł z nerwów i zaczął na nie wrzeszczeć, ale przecież nie robiły sobie żadnej krzywdy, chociaż wystarczyła minuta, by ich ubrania stały się kompletnie mokre i zabłocone. Trudno, taka praca.

Jakby mało mieli atrakcji, odezwał się interkom.

- Lucy, Wielki Dom cię wzywa - odezwał się głos Fritza. - Jest tam jakieś spotkanie, potrzebują cię. Ale migiem!

- Teraz nie mogę - zawołała.

- Nie wygłupiaj się, szef cię wzywa.

Szef! Prawie parsknęła z irytacją. Nie zapomniała poranka, kiedy obudziła się po tym, jak Nick u niej nocował. Ojciec jej dziecka okazywał Lucy

daleko idącą grzeczność i sympatię. Skakał koło niej, jakby była wiekową ciocią, która sama nie potrafi nic przy sobie zrobić. Widać wyciągnął zbyt daleko idące wnioski z chwilowego załamania i starał się zdmuchiwać pyłki sprzed jej stóp.

Niestety, nie zrobił żadnej z tych rzeczy, na których naprawę jej zależało. Nie pocałował jej, nawet nie wspomniał o tym, co między nimi zaszło poprzedniego wieczoru. Najwyraźniej nie życzył sobie żadnych więcej intymnych sytuacji. To ją zabolalo i bolało nadal, choć od tamtego ranka minęło już sporo czasu.

W ciągu tych dwóch tygodni widzieli się kilkakrotnie i za każdym razem ich spotkanie przebiegało podobnie - Nick był przemiły, przeuroczy i absolutnie kochany, przy czym bardzo starannie unikał jakiegokolwiek fizycznego kontaktu. Uważał, by nie dotknąć jej nawet przypadkiem. Lucy miała tego dość, podobnie jak miała serdecznie dość ciągłego snucia marzeń na jego temat i łudzenia się, że on ją kiedyś pokocha.

Koniec z mrzonkami, postanowiła. Po prostu zostaną dobrymi przyjaciółmi, a potem dobrymi rodzicami, to wszystko. Dlatego też nie będzie gdzieś biegała tylko dlatego, że Nick na nią czeka. Może przecież zadzwonić i powiedzieć, o co chodzi.

Dziesięć minut później ponownie usłyszeli głos przez interkom, tym razem mówił Nick:

- Greger, masz ją tu natychmiast przywieźć!
 - Jeszcze czego - mruknęła buntowniczo, ale właściwie nie miała wymówki, gdyż właśnie udało się naprawić uszkodzony wąż i woda przestała cieknąć. Reiko na wszelki wypadek przeszła się jeszcze wzdłuż pozostałych alejek, by sprawdzić, czy na pewno wszystko w porządku.

Kiedy Lucy wynurzyła się spomiędzy sadzonek, Greger wymownym gestem zakrył oczy dłonią. Pewnie wyglądała tak, że nawet padlinożerny sęp odwróciłby się od niej ze wstrętem.

- Słuchaj, ty jedź do nich, dowiedz się, czego chcą i przekaz mi to - zaproponowała.

- Taa? Panowie Bernard proszą ciebie, nie mnie. Czekam na parking. Masz pięć minut.

W ciągu pięciu minut zdołała zmienić zabłoczone sandały na czyste, umyć ręce i twarz, oraz pociągnąć usta błyszczkiem. Do licha, nikt nie mógł oczekiwać od niej niczego więcej, przecież to był jej normalny dzień pracy, a nie dzień, kiedy powinna wyglądać schludnie i ładnie.

- Teraz lepiej - skomentował Greger, gdy zajęła miejsce obok niego w firmowym dżipie.

- I tak pewnie mnie nie wpuszczą do domu w tych mokrych lachach. Nawet tylnymi drzwiami.

- Wpuszczą, zobaczysz.

Wysadził ją przy frontowych drzwiach, gdzie powitały ją Baby i Bubu, oczywiście tak entuzjas-

tycznie, jakby nie widziały jej dobrych dziesięć lat. Obśliniły ją natychmiast, co nie poprawiło wyglądu Lucy. Podobnie jak nie poprawiał go widoczny już brzuszeczek. To niewiarygodne, lecz w ciągu dziesięciu dni zaczęła wyglądać... nie, nie jak kobieta w ciąży, tylko jak leniwy, zaniedbany piwosz ze sterzącym brzuchem! Zaplamione dżinsy i koszulka z napisem: „Wszystko za czekoladę” też nie przyczyniały się do wykreowania wizerunku osoby poważnej i kompetentnej.

A przecież była nią! Zatrudniła nowych pracowników - niektórych mniej wykwalifikowanych, potrzebnych do czysto fizycznej pracy, ale poza tym dwóch doświadczonych botaników, przyjęła też na praktyki studenta biologii. Wszystkie szklarnie były już ukończone, dwie zostały obsadzone kakaowcami, pod koniec przyszłego miesiąca miała przybyć kolejna partia zamówionych drzew, a w najstarszej oranżerii szykowały się kolejne zbiory ziarna do produkcji Niebiańskiej Rozkoszy.

Ta szalona ilość pracy bardzo jej odpowiadała i Lucy tłumaczyła sobie, że nawet gdyby chciała, to i tak nie znalazłaby czasu na jakieś poważniejsze rozmowy z Nickiem. Ale i tak nie chciała! Miała dość usychania z tęsknoty za nim.

Idąc korytarzem, usłyszała głos Orsona dobiegający z biblioteki, więc zapukała i weszła przez prawie dwuipółmetrowe podwójne drzwi, nad

którymi widniało okno. Znalazła się w wysokim na dwa piętra pomieszczeniu obstawionym regałami pełnymi książek. Stylowa drabina na kółkach zapewniała dostęp do wyżej stojących tomów. W długie zimowe wieczory bibliotekę ogrzewał kominek. Prawdziwy raj dla miłośnika książek!

Mężczyźni siedzieli wokół wielkiego dębowego stołu, oczywiście wszyscy w garniturach i pod krawatem, w odróżnieniu od niej nienagannie czysti i eleganccy. Od razu napotkała spojrzenie siedzącego między bratem a dziadkiem Nicka, chociaż wcale nie chciała na niego patrzeć. Po prostu przyciągnął jej wzrok, jak magnes przyciąga opiłki żelaza. W granatowym garniturze prezentował się, jakby zstąpił z okładki magazynu „Gentleman's Quarterly” lecz dzięki odrobinie niesfornym włosom nie wyglądał na zbyt wymuskanego. Śnieżnobiała koszula wyraźnie odcinała się od śniadej skóry. Wyglądał fantastycznie, lecz sprawiał przy tym wrażenie zmęczonego, nawet ogromnie zmęczonego. Lucy musiała jednak oderwać od niego wzrok, gdyż Orson właśnie wstał na jej widok.

Przywitał Lucy i przedstawił tym spośród zebranych, których nie znała. Kiedy zajęła miejsce przy stole, siadając na wolnym krześle obitym czerwoną skórą, Orson, nie tracąc czasu, przeszedł do rzeczy.

- Był przeciek, prasa dowiedziała się, że coś planujemy - poinformował Lucy.

Podano jej wycinek z gazety; szybko przebiegła go oczami. Autor tekstu spekulował na temat przewidywanych zmian cen na giełdzie i chociaż Lucy nie rozumiała fachowych terminów, z łatwością wyłowiła radę eksperta, by zwrócić uwagę na firmę Bernard Chocolate, która w tajemnicy szykuje się do poważnej ekspansji.

- Jak on mógł się tego dowiedzieć? - spytała.

- Pewnych rzeczy nie da się długo ukrywać - odparł Nick.

Orson skinął głową.

- W błyskawicznym tempie wznieśliśmy sześć ogromnych oranżerii, pomyśl, ilu ludzi było w to zaangażowanych. Zamówiliśmy sprzęt do nowych laboratoriów. Jakiś przeciek do prasy musiał pójść prędzej czy później.

- Ale przecież nie jesteśmy gotowi... - rzekła ze zgrozą.

- I długo jeszcze nie będziemy - skwitował Nick. - Skoro jednak i tak sprawa częściowo się wydała, spróbujemy obrócić to na naszą korzyść.

- Postanowiliśmy uchylić rąbka naszego sekretu, oczywiście w przyciągający uwagę sposób - podjął Orson. - Wypuścimy próbną partię Niebiańskiej Rozkoszy, kierując ją tylko do wybranych sieci sklepów. W ten sposób wzbudzimy

zainteresowanie klientów i damy im przedsmak kolejnych produktów, dzięki czemu będą na nie czekać, my zaś zachowamy pełną kontrolę nad sytuacją.

Lucy zauważyła, że Clint nie odzywa się ani słowem, za to spieszenie coś notuje.

- Naszym celem jest więc wypuszczenie czegoś w rodzaju prototypu - Nick kontynuował myśl dziadka. - Produkt powinien pojawić się na rynku w okolicy Święta Dziękczynienia, w najgorętszym okresie zakupów przedświątecznych. Przed Bożym Narodzeniem jest największy popyt na czekoladę.

- Chodziłoby więc o trufkę lub coś w tym stylu? - upewniła się.

- Tak. Trzeba będzie zaprojektować jakieś unikalne opakowanie, w którym znajdą się dwie, góra trzy trufle, nie więcej. Samych opakowań też nie wypuścimy dużo, ostateczną ilość ustali się później. Zdecydowaliśmy się co do ceny. Sto dolarów za opakowanie.

- Ile?!

- Są dwie strategie marketingowe promowania nowego produktu. Jedna każe udostępnić go jak największej liczbie potencjalnych klientów i rozdawać darmowe próbki, druga z kolei każe wywindować cenę, utrudnić dostęp do produktu przez wypuszczenie ściśle limitowanej serii, a wszystko po to, by uczynić go bardziej pożąda-

nym. W przypadku naszej nowej czekolady lepiej sprawdzi się to drugie podejście.

Lucy skinęła głową, chociaż potrzebowała chwili, by przejść do porządku dziennego nad faktem, że można zapłacić sto dolców za trzy czekoladowe trufle. Z drugiej strony warto było tyle dać za coś tak wspaniałego. Inne czekolady miały się do Niebiańskiej Rozkoszy tak, jak zwykły seks do seksu z kimś cudownym. Pomyślała o intymnych chwilach spędzonych z Nickiem. Nie wyobrażała sobie, by po nim mogła kiedykolwiek mieć ochotę na innego mężczyznę... Jej rozważania przerwało pytanie Orsona:

- Pytanie brzmi, ile do tej pory uda się zebrać ziarna, żebyśmy mogli wypuścić nowy produkt. Nie możemy podjąć żadnych kroków, dopóki nie będziemy wiedzieli dokładnie, z jaką ilością surowca pracujemy.

- Dobrze, oszacuj to dokładnie.

- Potrzebujemy tej informacji jak najszybciej. Zdażysz do przyszłego piątku?

Potrząsnęła głową.

- Nie potrzebuję tyle czasu. Dostarczę wyliczenie najpóźniej w poniedziałek.

- Wspaniale.

Ponieważ nie mieli już do niej więcej pytań, mogła wyjść i wrócić do szklarni. Przebiegła przez cały hol rezydencji jak na skrzydłach,

potem zeskoczyła ze schodków, czując, jak roz-
piera ją euforia. Świat zobaczy jej dziecko! Jej
marzenie przybierze wreszcie realną postać!

Wskoczyła dziarsko na siedzenie dżipa, w któ-
rym czekał na nią Greger, zatrzasnęła za sobą
drzwi i dopiero w połowie drogi dotarł do niej
pewien drobiazg. Nowy produkt miał ujrzeć
światło dzienne w okolicy Święta Dziękczynienia.

Wtedy, gdy na świat przyjdzie dziecko.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nick stał w pokoju dziennym, wyglądając
przez okno i czekając na Lucy. Wiedział, że stracił
jej względy, wiedział aż za dobrze, choć nie miał
pojęcia, co właściwie takiego zrobił. W ciągu
minionych trzech tygodni oboje mieli ręce pełne
roboty, co mogło tłumaczyć, czemu Lucy nie
znajdowała dla niego czasu, lecz nie tłumaczyło,
czemu uparcie omijała go tak szerokim łukiem,
jakby złapał jakąś ciężką chorobę zakaźną.

O co jej chodziło? Przecież zawsze starał się
być dla niej tak dobry, jak tylko potrafił, mówić
same miłe rzeczy i postępować z wyczuciem.
Niestety, im bardziej się starał, tym zimniej go
traktowała. Najpierw przypisywał to burzy hor-
monalnej i huśtawce nastrojów, lecz stosunek
Lucy do niego nie podlegał żadnym wahaniom,

unikąta go konsekwentnie. Po długich rozważaniach doszedł do wniosku, że zaczęła się boczyć, odkąd spędził u niej noc. Czyżby poczuła się wykorzystana? Właściwie miała prawo. Była wtedy nieszczęśliwa, spłakana, a on zaciągnął ją do łóżka... Czuł się tak winien, że nie odważył się porozmawiać z nią na ten temat.

Nie porozmawiał więc, zamiast tego pomyślał, jak znów ją ściągnąć do siebie.

Wreszcie ujrzał jej wiekową hondę wyłaniającą się zza zakrętu.

- Co to za odgłos? - Clint stanął obok brata i wyrzął.

- Rzęzenie czegoś, co ona uważa za silnik.

Clint aż się skrzywił.

- Przecież ten gruchot nie nadaje się do niczego! Zawory dzwonią, zawieszenie stuka... Nie możesz jej dać kasy na nowy wóz?

Nick westchnął.

- Kiedy ostatni raz próbowałeś przekonać dziadka, że nie ma racji?

- To nie jest śmieszne - obruszył się Clint.

- No to pomóż to sobie przez dziesięć i będziesz miał obraz rozmowy z Lucy. Nikt jej nie zmusi do kupna nowego samochodu, dopóki sama nie nabierze na to ochoty.

Wyskoczyła z samochodu, ujrzała ich stojących w oknie i aż zamruęła ze zdziwienia, bo

wyglądali tak, jakby coś knuli, czekając na jej przyjazd. Nick skorzystał z tego, że znieruchomiła na moment i przyjrzał jej się uważnie. Włosy miała dłuższe i jaśniejsze od przebywania na słońcu, nos i policzki obsypane piegami. Tego dnia nosiła kolorową sukienkę, sandały i dziewczęce kolczyki w kształcie kwiatów słonecznika.

- Świetnie, że mnie zaprosiliście, uwielbiam konspirację! - zawołała od samego progu.

Nick zauważył, jak jego brat z miejsca się rozluźnia. Widać Lucy utrafiła w dobrą nutę.

- To nie jest tak do końca spotkanie konspiracyjne, tylko burza mózgów - wyjaśnił z uśmiechem Clint. - Moim zdaniem właśnie to jest nam teraz najbardziej potrzebne, stąd ten pomysł. Gretchen poszła do kina z koleżanką, więc mam godzinę czy dwie.

- I dziadek się o niczym nie dowie... - rzuciła wesoło Lucy, wyraźnie przekomarzając się z nim.

Nick patrzył, jak jego brat uśmiecha się jeszcze szerzej. Tak, Lucy umiała czarować, umiała postępować z ludźmi - uspokoić zdenerwowanych, dodać odwagi nieśmiałym, wylać oliwę na wzburzone fale.

- Dziadek i ja rzeczywiście nie dogadujemy się najlepiej - przyznał Clint, widząc, że może być z nią zupełnie szczerzy.

- Z rodziną zawsze trudniej się współpracuje

- rzekła ze zrozumieniem, postawiła torebkę na stole i ostrzegawczo podniosła palec. - Widzę, że już jesteście gotowi, żeby zaczynać, ale dajcie mi moment, muszę siusiu. Przepraszam za tę bezpośredniość, chwilowo jednak moje życie wygląda tak, że co dwadzieścia minut muszę latać do toalety.

- Przygotować ci coś do picia? - spytał Nick.
 - Chętnie. Tylko wtedy będę latać co kwadrans.
 - Co chcesz? Lemoniadę? Mrożoną herbatę?
 - Lemoniadę. Dużą. - Pogroziła im palcem.
- Nie ważcie się zaczynać beze mnie!

Znalazła ich pięć minut później na wykładanym kamiennymi płytami ocienionym patio. Było piękne letnie popołudnie, słoneczne i bardzo spokojne. Na stole już czekały notatniki, najróżniejsze przybory do pisania i napoje. Kiedy tylko usiedli, Clint przystąpił do rzeczy:

- Bardzo mi zależy na tym, żeby wziąć udział we wprowadzeniu Niebiańskiej Rozkoszy na rynek. Oczywiście pozostanę za kulisami, ale to nic nie szkodzi. Po prostu chciałbym być częścią tego... Cholera, to naprawdę jest coś!

- Pewnie - zgodził się Nick.

Clint zawahał się.

- Lepiej, żeby dziadek nie wiedział o moim wkładzie. Nie potrzebuję przypisywać sobie żadnych zasług ani nic. Chcę tylko włączyć się do pracy.

Nick spostrzegł, że Lucy też zaczyna się

rozluźniać. Nie miała najmniejszej ochoty do niego przyjeżdżać, zgodziła się dopiero wtedy, gdy wyjaśnił, jak bardzo Clintowi zależy na tej burzy mózgow, a ona może wiele pomóc. Nadal jednak nie bardzo pojmowała, czemu jej udział miałby być taki ważny i dopiero w tym momencie zrozumiała, na czym powinna polegać jej rola - na udzielaniu Clintowi wsparcia. Wysoki i muskularny Clint Bernard, który wyglądał na swoim pięknym harleyu na większego twardziela niż niejeden z Aniołów Piekła, topniał jak wosk w ciepłe serdecznych uśmiechów Lucy.

Rozgrzał się już widać wystarczająco, ponieważ zapalił się do tematu i zaczął perorować ze swadą:

- Jaka jest typowa strategia marketingowa przy wprowadzaniu nowego produktu? Robi się wszystko, by podkreślić jego pozytywne strony. Wiecie, co mam na myśli. Jeśli chodzi o coś, co jest ładne, reklama skupia się na estetyce, jeśli jest bezpieczne, to na bezpieczeństwie, i tak dalej. Nigdy nie wspomina się o aspektach negatywnych. Gdybyśmy jednak w przypadku Niebiańskiej Rozkoszy postąpili dokładnie na odwrót?

Lucy oparła notatnik na kolanie, zdjęła skuwkę z długopisu.

- Co masz na myśli?

- Aż się prosi, by sprzedawać Niebiańską Rozkosz jako najlepszą czekoladę na świecie,

prawda? Zresztą w tym przypadku byłaby to absolutna prawda. Jednak inni już to robili, i to wiele razy, wszystkim już się osłuchały te hasła, które są w sumie wariacjami na jeden temat. Spróbujmy więc zareklamować nasz produkt inaczej.

- To znaczy?

- Dajmy przekaz, że Niebiańska Rozkosz jest niebezpieczna.

Lucy przestała notować i podniosła na niego wzrok.

- Wyobraźcie sobie taką reklamę... Najpierw dzieciak wyskakuje ze spadochronem z samolotu i w czasie swobodnego spadania uprawia akrobację w powietrzu. Potem widzicie parę starszych ludzi na spływie pontonem rwącą górską rzeką. Następny obraz to samotna kobieta wspinająca się na K-2. Rozumiecie, ludzie, którzy z racji swojego wieku i swoich możliwości fizycznych robią coś, co i tak jest niebezpieczne, lecz dla nich w szczególności. A na koniec widać jeden kawałek Niebiańskiej Rozkoszy.

Lucy zaiskrzyły oczy.

- Clint, to jest bombowe!

- Do tego jakieś chwytliwe hasło - ciągnął Clint. - Na przykład: „Nie sięgaj po nią, jeśli nie jesteś gotów na wszystko”. Albo coś w tym stylu.

- „Nie dla ostrożnych” - podpowiedział Nick. - Albo: „Bardziej niebezpieczna, niż marzyłeś”.

- Jesteście fantastyczni! To faktycznie najlepszy sposób na zareklamowanie Niebiańskiej Rozkoszy.

Niekłamanym entuzjazmem Lucy uskrzydlił Clinta. Usta prawie mu się nie zamykały, sypał pomysłami jak z rękawa, zainspirował pozostałych dwoje do zgłaszania własnych, bawili się przy tym wszyscy znakomicie, co i rusz wybuchając śmiechem. Lucy niemal mdlała ręka od pospiesznego notowania. Nick nie pamiętał, kiedy jego brat był tak ożywiony, kiedy śmiał się tak serdecznie.

Gdy po jakimś czasie wreszcie zabrakło im nowych pomysłów, Lucy znów udała się do łazienki, a Nick pozbiierał puste szklanki i zaniósł do kuchni. Specjalnie poczekał na Lucy w korytarzu. Zawahała się, kiedy go zobaczyła, ale po tej całej ożywionej dyskusji nie mogła potraktować go tak sztywno i oficjalnie, jak robiła to przez ostatnie trzy tygodnie. Była zbyt rozluźniona i zadowolona.

- Czemu nie jest taki w obecności waszego dziadka? - spytała, nie musząc dodawać, że chodzi jej o Clinta.

- Przy dziadku zawsze jest spięty, przychodzi na spotkania już uprzedzony. Dziadek zresztą też - dodał.

- Bardzo mu zależy na tym, by pracować dla firmy.

- Wiem, dlatego jestem ci wdzięczny. Bardzo mu pomogłeś.

- Chciałam mu pomóc. - Posłała Nickowi promienny uśmiech, jakim nie obdarzyła go od bardzo wielu dni.

Gdyby mógł jakoś zachować ten uśmiech na zawsze... Gdyby chociaż mógł go ucałować, ucałować jej usta... Poczuł rozdzierającą, bolesną tęsknotę. Nawet nie mógł dotknąć tej niezwyklej kobiety, tak pełnej światła i ciepła, traktującej wszystkich z najszczerzą życzliwością, dbającej o to, by każdy czuł się jak najlepiej. Była cudowna i wyjątkowa, przy czym nie miała o tym najmniejszego pojęcia.

Ponieważ nic nie mówił, skierowała się ku drzwiom, by wrócić na patio, gdzie Clint czekał na ich powrót.

- Wiem, że cię w jakiś sposób zraniłem - powiedział nagle Nick. - Wybacz, naprawdę nie chciałem.

Lucy zeszywniała.

- Nie masz mnie za co przepraszać. Nic się nie stało.

- Jesteś na mnie zła za to, że wtedy zostałem u ciebie na noc.

- Czemu miałabym być zła? Oboje tego chcieliśmy.

- Ale nie powinienem był wykorzystywać sytuacji i zmuszać cię do tego.

- Nie zmusiłeś.

To fakt. On tylko ją pocałował, bo bał się, że ona znowu się rozpłacze, a potem sprawy wyknęły mu się spod kontroli i potoczyły własnym torem... Ponieważ jednak na samo wspomnienie glos Lucy stał się zimny jak lód, nie było sensu kontynuować tematu.

- Ostatnio byliśmy oboje ogromnie zajęci, nawet nie miałem czasu spytać, jak twoja ostatnia wizyta u lekarza.

- W porządku.

Nadal mówiła chłodno i nie patrzyła na niego, lecz nie rezygnował.

- Pewnie niedługo zaczniesz chodzić do szkoły rodzenia? Czytałem, że powinno się wykonywać ćwiczenia, więc będzie ci potrzeb...

Obróciła się ku niemu.

- Nic od ciebie nie potrzebuję - rzekła cicho, lecz dobitnie. - Zrobiłeś już wystarczająco dużo. Nie musisz czuć się zobowiązany do robienia czegoś więcej.

- Wcale nie czuję się zobowiązany...

Przerwała mu ponownie:

- Słuchaj, zachowujesz się wspaniale i bardzo rycersko, ale ja mam przez to wrażenie, jakbym była dla ciebie ciężarem. Przestań więc, proszę. Naprawdę nie potrzebuję opiekuna.

Zostało to powiedziane grzecznym, spokojnym tonem, lecz Nick poczuł się tak, jakby

zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem. Lucy wyszła na patio i wdała się w ożywioną rozmowę z Clintem, zaś Nick zawrócił do kuchni, niby idąc po coś do picia. W rzeczywistości potrzebował paru chwil, by ochłonać.

Stracił ją. Nie tylko jako kochankę, ale również jako przyjaciela. Okazywała mu na wszystkie sposoby, że nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Pozbierał się na tyle, by opanować wyraz twarzy i wrócił do tamtych dwojga. Stali, oboje gotowi do wyjścia, sprawiając wrażenie zaprzyjaźnionych od lat.

- Dobrze, mnie też odpowiada wtorek po południu - powiedział Clint.

- O czym rozmawiacie? - zainteresował się Nick.

- Lucy na samą myśl o kupowaniu nowego samochodu dostaje wysypki, więc pojedzie z nią. Zabiorę też Gretchen, żeby Lucy miała z kim obgadać kolor i wygląd, a sam będę robił za eksperta od spraw technicznych. - Clint zwrócił się do Lucy: - Nic się nie martw, pójdzie nam jak z płatka.

Uśmiechnęła się do niego serdecznie.

- Dzięki. Nie masz pojęcia, jak się bałam za to zabrać.

- Zawsze łatwiej jest zrobić coś w towarzystwie, niż samemu.

Odjechali, Nick został sam. Czuł się tak, jakby ktoś ogłuszył go czymś ciężkim. Lucy nie chciała skorzystać z jego pomocy przy kupnie nowego samochodu, ba, walczyła z nim jak lwica, upierając się przy dalszym jeżdżeniu swoją starą hondą, tymczasem bez cienia oporu umówiła się z Clintem.

Co on takiego zrobił, że go od siebie odpychała? A przede wszystkim, co miał zrobić, by odzyskać kobietę... która na dobrą sprawę nigdy nie była jego kobietą? Oto pytanie!

Najgorsze, że nawet nie wiedział, od czego zacząć.

Zanim wysiadła ze swego nowiutkiego czerwonego volvo, sięgnęła do schowka, który był dwa razy większy niż ten w jej starej hondzie, więc mieścił dwa razy tyle czekoladowych truflí. Owszem, była nieuleczalną czekoladoholiczką, a wiedząc o tym, starała się sobie nie pobłażać, lecz tego dnia naprawdę tego potrzebowała.

Dopiero gdy miała policzki wypchane jak zapobiegliwy chomik, wyszła z samochodu na sierpniowy upał, na którym można było się prawie usmażyć. Co za dzień! Jakby nie miała dość pracy, musiała jeszcze pojechać na wizytę kontrolną, ponieważ doktor Jargowski kazał jej zgłosić się w szóstym miesiącu. Zbadał ją, stwierdził, że dziecko rozwija się prawidłowo, zganił,

że za mało przybrała na wadze, nie chciał uwierzyć, że ona je tyle, co pięciu dorosłych mężczyzn, po czym zadał szereg pytań, które ją dobiły. Czy ojciec dziecka będzie z nią ćwiczył? Może Lucy chce go przysłać na konsultacje, żeby lekarz dokładnie mu wyjaśnił, czego ma się spodziewać podczas porodu i jak może jej wtedy pomóc?

Lucy aż trzasnęła drzwiami, wchodząc do biurowca. Pewnie, że chciała, żeby Nick z nią ćwiczył! I towarzyszył jej przy porodzie. Ale prędzej umrze, niż go o to poprosi. Oczywiście zgodziłyby się na wszystko, powodowany poczuciem odpowiedzialności. A to było ostatnie uczucie, jakie życzyła sobie w nim budzić.

- I co powiedział lekarz? - spytała Reiko, na chwilę zatrzymując się w progu swojego biura, a gdy Lucy uniosła kciuk do góry, ucieszyła się wyraźnie. - Dzieciaki już na ciebie czekają! - krzyknęła i pobiegła dalej do swoich zajęć.

- Wiem, wiem...

Lucy przypomniała sobie, że dla dobra dziecka ma być zadowolona i szczęśliwa, więc przywołała uśmiech na twarz i postarała się zapomnieć o Nicku. Weszła do swojego laboratorium.

- Nancy i Baker, jesteście gotowi?

- Pewnie! - odparli unisono.

- No to zaczynamy... - Odgarnęła włosy z twarzy.

Praca szła pełną parą, w związku z przyspieszeniem prac nad Niebiańską Rozkoszą potrzebni byli nowi ludzie. Lucy zatrudniła dwoje młodych botaników, świeżo po college'u. Nancy miała dobrze ponad metr osiemdziesiąt i była chuda jak patyk, zaś pękaty niczym baryłka Baker przypominał z wyrazu twarzy basseta. Oboje wykazywali ponadprzeciętną inteligencję. Tego dnia Lucy miała udzielić im lekcji prażenia ziaren kakao, bo któż znał się na tym lepiej od niej? Jej sposoby zawsze okazywały się najlepsze! Gdyby jeszcze zechciał to wreszcie zrozumieć Almondo, zawiadujący produkcją, z którym za nic nie mogła się dogadać co do kształtu i składu projektowanego produktu. Lucy doskonale wiedziała, że to musi być trufla, miałąją opracowaną w najdrobniejszych szczegółach, a do tego upartego Almondo wciąż nie docierało, że to Lucy ma rację, nie on!

- Oboje doskonale wiecie, jak otrzymać pełnowartościowy surowiec do wyrobu czekolady - zaczęła. - Musicie też jednak poznać pozostałe etapy całego procesu, jeśli chcecie mieć pełen obraz i rozumieć, jak powstaje naprawdę dobra czekolada.

Stanęła przy swoich podopiecznych i zaczęła wykład. Co jakiś czas sprawdzała, czy patrzą na nią bystro i nie zaczynają myśleć o czym innym, ponieważ wiedziała doskonale, że ma tendencję do rozgadywania się i z wyjątkiem Orsona jest

w stanie zanudzić każdego swoimi dywagacjami na temat czekolady. Co kilka minut w otwartych drzwiach pojawiał się Greger. Za trzecim razem wyraźnie wskazał jej krzesło, więc potulnie usiadła, lecz wstała znowu, ledwie zniknął jej z oczu.

- Ziarno praży się z dwóch bardzo ważnych powodów. Po pierwsze, prażenie wydobywa smak i aromat, po drugie, umożliwia usunięcie łusek...

W drzwiach przystanąła Reiko i władczym gestem nakazała Lucy usiąść. Posłuchała, ale zerwała się znowu, gdy tylko z powrotem została sama z Nancy i Bakerem.

- Odpowiednie prażenie decyduje o jakości kakao. Za mocne zabija aromat i nadaje gorzki posmak, za słabe nie usuwa naturalnej goryczy kakaowca i utrudnia zdjęcie łusek. Każda odmiana wymaga innej temperatury prażenia. W przypadku Niebiańskiej Rozkoszy...

W tym momencie przez interkom odezwał się głos Fritza:

- Lucy, masz gościa. Czeka w twoim biurze.
- Ale kto?
- Twój ojciec.
- Co takiego?

Co się stało, że tata przyjechał do niej do pracy? Pospiesznie wezwała Reiko, by ta kontynuowała w jej imieniu, a sama pobiegła do

biura, podtrzymując brzuch. Luther siedział skulony na krześle, chowając twarz w dłoniach.

- Cześć, tato. - Pochyliła się i uściaskała go.

Uniósł głowę, a wtedy ujrzała jego zaczerwienione oczy.

- Byłem z twoją matką u prawnika.

- I co się stało?

- U... uderzyła mnie - wykrztusił z trudem.

Lucy chciała przykucnąć przy nim, lecz to nie był dobry pomysł, przysunęła więc sobie drugie krzesło i usiadła. Ani przez moment nie wierzyła, że jej matka mogła kogokolwiek uderzyć. Nigdy w życiu nie dała klapsa żadnej z córek, a Bóg świadkiem, że Ginger i Lucy wyprawiały rzeczy, które doprowadziłyby do rozpaczliwego świętego.

- Wiesz, czego nie rozumiem? - Luther wykonał bezradny gest.

- Czego, tato?

- To ona przez cały czas chciała rozwodu. To ona przestała mnie kochać. A tu nagle dzisiaj... Siedzimy u tego prawnika, omawiamy podział majątku i ja mówię, że ona może wziąć wszystko. Wszystko, co tylko chce. Ja jej to chętnie dam. I wtedy dostała furii.

Lucy sięgnęła po szklanę, nalała wody i podała tacie. Wychylił ją duszkiem.

- Ale czemu? - spytała łagodnie.

- Ba, żebym to ja wiedział! Powiedziała, że

wcale nie chce rozwodu i nigdy nie chciała. Ja na to: „Co?” A ona, że mogłem temu wszystkiemu zapobiec, i to już dawno. Zgłupiałem. Mówię jej, że kompletnie nie rozumiem, o co jej właściwie chodzi. No i wtedy się wściekła i przyłożyła mi.

- Przyłożyła ci? - powtórzyła powątpiewająco.
- No... trzepnęła mnie.
- Trzepnęła cię?
- Dobrze, popchnęła. Ale to wystarczy! I wcale nie zmyślam!
- W porządku, tato...

Zaczęła go gładzić po plecach, pocieszać, uspokajać, ale po jakimś czasie uświadomiła sobie, że od samego początku tego kryzysu starała się tatę pocieszać i uspokajać, tylko to w sumie nic nie dało. Była dla niego dobra i łagodna, lecz po raz pierwszy w życiu dotarło do niej, że dobroć i łagodność nie zawsze muszą iść w parze i w pewnych sytuacjach należy powiedzieć komuś szczerą prawdę, choćby miała okazać się gorzka i bolesna.

- Tato, zależy ci na tym małżeństwie dlatego, że w twoim przypadku rozwiązuje to masę problemów. Po prostu jest ci wygodniej mieć żonę. Ale mamie taka rola nie odpowiada, bo ludzie nie pobierają się dla wygody.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.
- Mama potrzebuje, żebyś chciał z nią być dla niej samej. Lubił z nią przebywać. Żeby jej

towarzystwo było dla ciebie najprzyjemniejsze ze wszystkich.

- W jego oczach odbiło się zdumienie.
- W czym problem? Przecież jest!
- W takim razie lepiej znajdź jakiś sposób, żeby jej to okazać. Tylko szybko.
- Aha, mam jej kupić jakiś prezent?
- Nie, tato, nie uda ci się wykpić tak tanim kosztem. Nawet brylanty nie załatwią sprawy.
- To co mam zrobić? - spytał z desperacją, zupełnie zagubiony.

W tym momencie Lucy szóstym zmysłem wyczuła obecność Nicka. Uniosła głowę.

Stał w drzwiach, lecz wykonał gest mówiący, że Lucy ma się nim nie przejmować, bo to, czego od niej chciał, nie jest takie pilne, on już sobie idzie.

- Co mam zrobić? - powtórzył Luther znąkanym głosem. - Jeśli nie prezent, to co?
- Owszem, prezenty są miłe i od czasu do czasu dobrze jest je dawać, ale znacznie ważniejsze jest spędzanie czasu z drugim człowiekiem. Nie masz mamie dawać rzeczy, tylko siebie samego. Musisz z nią być, rozmawiać, słuchać, co ma do powiedzenia, cieszyć się jej towarzystwem.

Luther milczał, starając się zrozumieć, co córka próbuje mu powiedzieć.

- Tylko nie myśl sobie, że wystarczy starać się przez tydzień, a potem wrócić do dawnego trybu

życia. Nie. Nie da się machnąć magiczną różdżką, która załatwi sprawę za ciebie. Albo naprawdę lubisz z nią przebywać i okazujesz jej to, a mama lubi przebywać z tobą i też to okazuje, albo w ogóle nie powinniście byli się pobierać.

- Jak to? To z tego powodu twoja matka wyrzuciła mnie z domu? To wszystko, czego potrzebuję? Tylko tyle?

- Tylko tyle? Tatku, nie można chcieć więcej, bo nie ma nic ważniejszego! Miłość polega na tym, że człowiek znajduje drugą osobę, z którą jest mu dobrze, przy której może być naprawdę sobą, której ufa, z którą dzieli się rzeczami, którymi nie dzieli się z nikim innym, z którą może się razem śmiać. Czy ty i mama potraficie jeszcze razem się śmiać?

- Kiedyś potrafiliśmy - rzekł powoli. - Byle głupstwo mogło rozbawić nas do łez.

- No i to jest właśnie to, o co chodzi. Teraz potrzebujecie to odzyskać. I pielęgnować! Ale musisz się postarać, tato, więc albo kochasz ją naprawdę, albo pozwól jej odejść.

Luther pożegnał się niedługo później, wyraźnie podniesiony na duchu, zaś Lucy poszła poszukać Nicka i dowiedzieć się, czego od niej chciał. Nie było go nigdzie, nikt go nie widział. Na samym końcu spytała Gregera i dopiero on odparł, że widział, jak pan Bernard wsiadł do samochodu i odjechał. Ogarnął ją smutek. A więc

nie przyjechał zobaczyć się z nią, widać zajrzał do niej tylko po drodze.

Wróciła do laboratorium, podziękowała Reiko za pomoc i zaczęła dalej tłumaczyć Nancy i Bakerowi proces prażenia ziaren. W pewnej chwili poczuła pełne wigoru kopnięcie. Lubiła, jak dziecko się ruszało, lecz tym razem przpełniło ją dojmujące uczucie straty. Niezależnie od tego, co się działo i co sobie tłumaczyła, jej serce nie potrafiło rozstać się z nikłą nadzieją, że być może kiedyś ona i Nick...

Umiała być twarda, gdy chodziło o jej pracę, o jej życie, o nią samą. Ba, nawet nauczyła się być twarda, gdy chodziło o jej tatę. Czemu więc tak trudno było przestać kochać Nicka?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nick chwycił instrukcję i przeczytał ją bodaj dziesiąty raz, a potem spojrzął na stojącą na podłodze miskę, do której wyspał wszystkie gwoździe, śrubki, nakrętki i podkłładki. Instrukcja miała się nijak do rzeczywistości, albo więc ktoś nie wiedział, o czym pisze, albo producent nie dołączył kilku części. Nic do niczego nie pasowało. To, co udało mu się do tej pory poskładać w jakąś całość, wyglądało koślawo i rozpadłoby się pod wpływem byle powiewu. Co gorsza Nick pracował nad tym już od kilku godzin...

W ogóle poświęcał całej tej pracy każdą chwilę, jaką tylko udało mu się wygospodarować. Trwało to już parę tygodni, powoli jednak zbliżał się ku końcowi, właściwie musiał jeszcze tylko uporać się z tą ostatnią rzeczą. Istniała pewna

szansa, że jak będzie uparcie próbować, to wreszcie mu się uda.

Istniała też pewna szansa, że Lucy będzie zadowolona. Maleńka szansa, ale zawsze jakaś. Oby się udało! Miał przecież coraz mniej czasu...

Dzień był gorący, promienie słońca padały przez okno prosto na Nicka, który co chwilę musiał ocierać pot z czoła. Nie pamiętał równie gorącego września.

Między nim a Lucy nie układało się ani trochę lepiej. W związku z przyspieszeniem prac nad Niebiańską Rozkoszą i planem wypuszczenia na rynek nowego produktu widywał ją praktycznie codziennie, z wyjątkiem jednego tygodnia, kiedy służbowo poleciał do Tokio. Znakomicie im się razem pracowało. Była bardzo miła. I on był bardzo miły. I przekonany, że zwariuje, jeśli zrobi się jeszcze milej i sympatyczniej. Kto by pomyślał, że w przeszłości byli kochankami? Sprawiali raczej wrażenie ludzi, którzy zawzięli się, by wygrać ogólnoświatowy konkurs na Idealnego Współpracownika. Lucy chyba już nawet nie pamiętała, że kiedykolwiek pragnęła Nicka, tymczasem on z każdym dniem czuł się coraz bardziej samotny i prawie chorował z tęsknoty za nią.

Sięgnął po młotek i kolejną część, ponuro próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz się śmiał. Niestety, wspomnienie tamtej chwili wcale

mu nie pomogło, bo oczywiście łączyło się z Lucy.

Przyjechał do dziadka, akurat gdy przywieziono wspaniałego doga niemieckiego dla Baby, ta jednak dała susa przez ogrodzenie, porzucając niedoszłego partnera i nadzieję na rasowe potomstwo. Właściciel doga, Orson, Nick, Madris i cała służba Bernardów rzucili się w pogoń za Baby, która - choć zazwyczaj w miarę posłuszna - tym razem nie chciała posłuchać niczyich nawoływań. Okazało się, że popędziła... do swego ukochanego. Wszyscy załamali ręce, gdy ujrzeli bezpańskiego kundla, zaniedbanego i brzydkiego jak ostatnie nieszczęście. Wrzeszczeli jak najęci i biegali, machając rękami i próbując odgonić psy od siebie. Dołączyła od nich Lucy, gdyż Orson posłał po nią w nadziei, że Baby posłucha jej, ale nic podobnego nie nastąpiło.

Wreszcie suka uciekła gdzieś za krzaki, Nick przeskoczył przez nie, tracąc przy tym jeden elegancki pantofel, i złapał Baby. Tej nagle przypomniało się, jak bardzo kocha swego pana, zwała go z nóg, położyła się na nim, przyniatając całym ciężarem do ziemi i czule oblizwała mu całą twarz. Lucy pokładała się ze śmiechu, gdy wił się na ziemi w swoim szarym włoskim garniturze, z jedną stopą w samej tylko skarpetce...

Wciąż słyszał ten śmiech, melodyjny, radosny jak ona sama, cudownie zaraźliwy, działający jak balsam na wszystkie smutki. Tęsknił za tym śmiechem, za poczuciem humoru Lucy, za jej pogodą.

Kiedy już odpędzono kundla, zamknięto Baby w bezpiecznym miejscu i wszyscy się rozeszli, Orson popatrzył na wnuka z uśmiechem, a potem nagle spoważniał.

- Brakuje mi ciebie, Nick - powiedział cicho.
- Cały czas jestem tam. gdzie zawsze.
- Brakuje mi naszej bliskości. Rozmów.

Nick nie wiedział, co powiedzieć.

- Rozumiem, że jesteś na mnie zły. Sam też mam do siebie żal.

- Byłem zły - skorygował Orson i skinął w kierunku zagajnika, w którym znikła Lucy, wracając do laboratorium. - Ale ile razy widzę was razem, uświadamiam sobie, że powinienem być w ogóle się nie wtrącać, a nade wszystko nie powinienem być wątpić w twój charakter i honor, synu. Źle postąpiłem.

Nickowi aż odjęło mowę, ponieważ nie przypominał sobie, by dziadek kiedykolwiek kogokolwiek za cokolwiek przeprosił. Wyciągnął rękę, a Orson natychmiast podszedł i uściskali się serdecznie. Dziadek odsunął się po chwili, ponieważ chciał jeszcze coś powiedzieć.

- Ona cię kocha, co do tego nie ma dwóch zdań. Nie ma się też jej co dziwić. Gdybym tylko umiał coś zrobić, żebyście się dogadali...

Nick wciąż pamiętał tamten moment, ogromną ulgę, jaką poczuł, gdy pogodzili się z dziadkiem, ale też równie ogromne zdumienie, jakie wywołała ostatnia uwaga Orsona. Lucy miałyby go kochać? Nick w ogóle wykluczał taką możliwość, ale w głosie dziadka brzmiała tak absolutna pewność, jakby dostrzegł w zachowaniu dziewczyny coś, czego Nick nie widział.

A skoro dało się coś dostrzec, to znaczyło, że Nick miał wciąż o co walczyć. Zaczął więc przemyślać, jak zdobyć Lucy, tym razem nie zniechęcając jej do siebie i w końcu ułożył pewien plan, właściwie niezbyt wyrafinowany, lecz gdy tylko na niego wpadł, zaczął nad nim pracować, poświęcając mu każdą wolną chwilę. Tego dnia powinien skończyć.

O drugiej w nocy wszystko było gotowe. Nick rozejrzał się dookoła, oceniając swoje dzieło. Miał pokaleczone ręce, kolana go bolały od klęczenia i ledwo widział na oczy, ale całą pracę fizyczną miał już za sobą. Pozostawało tylko zaryzykować swoim sercem.

Następnego dnia odwołał wszystkie spotkania, ponieważ potrzebował przygotować jeszcze coś. Wyłączył telefon stacjonarny i komórkę, żeby nic

go nie rozpraszało. O czwartej po południu pojechał poszukać Lucy. Miał cichą nadzieję zastać ją w biurze, lecz nie było jej tam, nie znalazł też Lucy w głównym laboratorium, gdzie akurat kręcili się chyba wszyscy inni pracownicy, tylko nie ona. Znając ją, pewnie babrała się w ziemi... Przeszukał trzy szklarnie, coraz bardziej zdenerwowany. Bez skutku. Wreszcie zupełnym przypadkiem natknął się na nią, gdy wyskoczyła z łazienki i prawie wpadła na niego, bo jak zwykle biegła, zamiast iść.

- Nick! - zawołała ze zdumieniem, rumieniąc się natychmiast. - Nie spodziewałam się zobaczyć cię tu dzisiaj. Co się stało?

Miał ochotę odpowiedzieć: „Wszystko”, lecz najej widok odebrało mu mowę. Włosy związała kolorową apaszką, miała niebieskie spodnie i luźną czerwoną tunikę, pod którą rysował się brzuch wielkości piłki do koszykówki. Jeszcze żadna kobieta nie wydawała mu się równie seksowna i ponętna. Nic a nic mu nie przeszkadzało, że widział ją trochę potarganą, z połamanymi paznokciami i przegiętą do tyłu z racji ciąży. Miał ochotę porwać ją i zabrać gdzieś, gdzie już żaden mężczyzna nie będzie jej oglądał. Tylko on.

- Nick?

Ocknął się z zapatrzenia.

- Lucy, wiem, że jeszcze nie skończyłaś na

dzisiaj, ale czy mogłabyś wyjść ze mną? Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia, coś, co jest związane z Niebiańską Rozkoszą. Nie chcę jednak rozmawiać tutaj.

Zaniepokoiła się, lecz bez wahania przystała na jej prośbę.

- Oczywiście. Daj mi tylko chwilę, uprzedzę Reiko i Gregera, że wychodzę.

Skinął głową.

- Będę czekał na ciebie w samochodzie.

Zwabienie jej do wozu poszło mu tak łatwo, że prawie poczuł wyrzuty sumienia. Wystarczyło wspomnieć o Niebiańskiej Rozkoszy, a Lucy była gotowa na każde wyrzeczenie. Cała ona, pomyślał. Kiedy jest za coś odpowiedzialna, w tym przypadku za nowy produkt, zgodzi się na wszystko, choćby musiała przy tym znosić towarzystwo człowieka, który ją głęboko zranił, ponieważ nie umiał z nią postępować. Nawet go nie spytała, dokąd jada, gdy parę minut później ruszyli z parkingu.

Niedługo potem zorientowała się, dokąd Nick ją zabiera, i obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

- U mnie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Chciałem ci też coś pokazać.

Gdy wysiedli i weszli do domu, Nick zaprowadził ją do dotychczas nieużywanego pokoju od zachodniej strony, a na jego twarzy przez cały

czas malowały się powaga i skupienie. Stanęli przed drzwiami. Lucy zawahała się, wyraźnie nie rozumiejąc, co się dzieje, lecz gdy Nick wykonał zapraszający gest, nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i zamarła w progu. Zapadło milczenie.

Bardzo, bardzo długie milczenie. Przez kilka ładnych minut nie działo się zupełnie nic.

Kiedy wreszcie Lucy odezwała się, jej głos przypominał przerażony szept:

- Mówiłeś, że to ma związek z Niebiańską Rozkoszą.

Obróciła się ku niemu, blada, z wargami drżącymi tak bardzo, że aż musiała je zacisnąć.

- Bo to prawda.

Ponieważ zazwyczaj buzia jej się nie zamykała, milczenie Lucy mogło być dobrym znakiem. Nick miał nadzieję, że zatkało ją z wrażenia. Nieźle się namęczył i napocił nad swoim dziełem, z którego słusznie mógł być dumny, więc teraz potrzebował, by doceniła to ważna dla niego osoba.

Rozejrzał się. Nigdy więcej nie będzie niczego tapetował, tego był pewien. Ta cholerna tapeta w szczeniaki dała mu do wiwatu tak, że byłby się poddał, gdyby nie to, że mężczyźni nie przystoi poddawać się nawet wtedy, gdy coś jest po prostu niewykonalne. Na ścianie od północy wzór biegł trochę krzywo, ale co to komu szkodziło?

Kołyskę zbił tak mocno, że teraz już i bardzo silny wiatr by jej nie zaszkodził, nie tylko powiew. Udało mu się nawet złożyć upiornie skomplikowany mobil, zawieszony nad kołyską. Obok stał stół do przewijania, Nick składał go trzy razy, zanim wreszcie mebel wyglądał tak, jak trzeba. Szuflady niemal pękały od pieluch, które do nich włożył, bo w sklepie okazało się, że pieluchy występują bodaj w stu rozmiarach i wariantach, a on nie był pewien, jakie okażą się potrzebne, więc kupił wszystkie.

Na szczęście biały bujany fotel mógł nabyć w całości i po prostu postawić, rzucając na niego wygodną poduszkę. Nie zapomniał też o dywaniku z bassetem, który leżał przy kołysce. Miał nadzieję, wielką nadzieję, że nic więcej nie było już potrzebne.

- Nick... - Lucy tylko tyle zdołała powiedzieć i znowu zamilkła.

- Wejdz, usiądź. Na podłodze - zaprosił i żeby ją zachęcić, zdjął buty, wszedł i usiadł na dywanie w kolorze słonecznej żółci.

Nick nie wiedział, czy to dobry kolor do dzieciennego pokoju, chciał, by dywan był jak najbardziej miękki i puszysty i ten okazał się najlepszy. Na środku dywanu rozłożył granatowy obrus, bo tylko taki miał. Na obrusie stał wielki kosz piknikowy, w nim zaś znajdowały się kre-

wetki i szparagi, i marchewki, i migdały, i krokietki, i tłuczone ziemniaki, i żeberka, i kurczak, i herbata malinowa, i mały podgrzewacz. Zestaw cokolwiek dziwny, ponieważ Nick wiedział doskonale, że Lucy będzie głodna, nie mógł jednak przewidzieć, na co ją najdzie apetyt. Nie miał za to najmniejszych problemów z obmyśleniem deseru.

W siedmiu schłodzonych miseczkach znajdowały się pyszności, których obowiązkowy składnik stanowiła czekolada. Czereśnie w czekoladzie. Magdalenki z czekoladą i cynamonem. Tiramisu. Markizy z nadzieniem pomarańczowym aż w dwóch miseczkach, gdyż były wyjątkowo delikatne, dosłownie rozplływały się w ustach i Nick nie miał wątpliwości, że przypadną Lucy do gustu. W szóstej miseczce znajdowało się wykwintne ciastko, z którym zetknął się podczas ostatniej wizyty w Brukseli, zwane ciastkiem Królowej Szeby, ozdobione bitą śmietaną i prażonymi migdałami, zawierające trochę likieru, ale w ilości, która nie powinna zaszkodzić kobiecie w ciąży, przynajmniej Nick miał taką nadzieję. Najlepsze oczywiście zachował na koniec - ostatnia miseczka zawierała oczywiście Niebiańską Rozkosz.

Zdał sobie nagle sprawę, że wyobrażał to sobie zupełnie inaczej. Lucy miała być zaskoczona,

zachwycona, miała nie posiadać się z radości. Tymczasem ona uklękła przy koszu, bez słowa przejrzała jego zawartość, szczególną uwagę poświęcając deserom, przyglądając się każdemu z nich oddzielnie. Wreszcie podniosła wzrok na Nicka.

Wpadł w panikę, gdyż w jej oczach ujrzął łzy.

- Nie przejmuj się aż tak, przecież nie ma czym, pomyślałem tylko, że pewnie będziesz głodna, więc zanim zaczniemy rozmawiać, powinienem cię najpierw nakarmić...

- Nick - powiedziała po raz drugi i znowu na tym skończyła, jakby ją zamurowało.

- Posłuchaj - zaczął, mówiąc tak szybko, jak tylko mógł, by zapobiec katastrofie. Wszystkiego mógł się spodziewać, lecz nie łez. - Pamiętasz, jak parę tygodni temu twój tata przyjechał do ciebie do pracy i jak rozmawialiście w twoim biurze?

Skinęła głową.

- Tłumaczyłaś mu wtedy, czemu twoja mama chciała od niego odejść, czym wobec niej zawiniła. On był gotów obsypać ją prezentami, ale jej nie zależało na rzeczach, choćby to miały być i brylanty. I ja go rozumiem, bo wtedy myślałem tak samo jak on. I dopiero ty mu wyjaśniłaś, że chodzi o coś zupełnie innego, że on ma spędzać z twoją mamą więcej czasu, cieszyć się jej towarzyst-

wem, rozmawiać z nią, słuchać, co ona ma do powiedzenia, bo ona potrzebuje, żeby byli razem i żeby było im ze sobą naprawdę dobrze. Usłyszałem to i od tej pory nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

Wzięła długi, głęboki oddech.

- Ale co to ma wspólnego... - zatoczyła krąg ręką - ...z tym?

- Już ci mówię. Zacząłem się zastanawiać i uświadomiłem sobie, co robiłem przez ten czas. Starałem się dawać ci różnego rodzaju prezenty, bo wydawało mi się, że właśnie tego oczekujesz i że to pokazuje, jak mi zależy. A zależy mi bardzo. Dobra, to nie zabrzmia szczególnie romantycznie, ale lubię z tobą rozmawiać, dowiadywać się, co myślisz, słuchać, jak gadasz, choćbyś miała mnie zagadać na śmierć... Bo widzisz, masz w sobie tyle radości życia, że mnie to też uskrzydla, więc cieszę się zawsze, kiedy mam cię zobaczyć. Nawet kiedy wiem, że będziemy się o coś spierać.

Otworzyła usta, lecz Nick nie zamierzał dopuścić jej do głosu, dopóki nie powie wszystkiego.

- Nie chcesz za mnie wychodzić, wiem - rzekł z trudem. - Nie zależy ci na mnie. I zraniłem twoje uczucia tamtej nocy, kiedy kochaliśmy się u ciebie.

- Wcale nie zra...

- Owszem, zraniłem, ponieważ potem zaczęłaś mnie unikać, odzywałaś się do mnie tylko wtedy, gdy było to konieczne. - Machnął ręką, jakby to w tej chwili było nieistotne, choć Bóg jeden wiedział, ile bólu mu to sprawiło swego czasu. Nie chciał wdawać się w niepotrzebne szczegóły, ponieważ w oczach Lucy wciąż lśniły łzy, musiał więc działać szybko. Gdyby tylko miał pewność, co podziała najlepiej... - Tak się jednak złożyło, że kiedy ty postanowiłaś skończyć z nami, ja wpadłem po same uszy. To znaczy, wpadłem wcześniej, ale dopiero wtedy do mnie dotarło.

- Wpadłeś? - powtórzyła.

- Tak. Zakochałem się. W tobie, jeśli chcesz wiedzieć - rzucił nonszalancko, by nie zorientowała się, w jakim stanie naprawdę się znajdował. Jedno ostre słowo z jej strony chyba by go zabiło. - Nie rozumiałem jednak, co się właściwie dzieje, dopóki przypadkiem nie usłyszałem twojej rozmowy z tatą. Nagle wszystko stało się jasne i wiedziałem już, czemu cię kocham. Lucy, jesteśmy dla siebie stworzeni.

Ponownie otworzyła usta, lecz uciszył ją gestem dłoni.

- Wysłuchaj mnie do końca, dobrze? Do tamtego dnia nie rozumiałem, że to, co najważniejsze, czasami jest najprostsze. Tak proste jak

bicie serca i jak wschód słońca. Po prostu wolę być z tobą niż z kimkolwiek innym. Rozmawiać z tobą. Kłócić się. Pracować. Nawet nudzić się. Byle z tobą.

Spojrzał za okno, ponieważ to się stawało coraz trudniejsze dla niego i nie czuł się na siłach, by patrzeć jej w oczy. Po raz pierwszy w życiu obnażał swoje serce i ryzykował absolutnie wszystkim.

- Nie chcę żadnej innej kobiety - wyznał zmienionym głosem. - Wcale nie ze względu na dziecko. Tu chodzi o ciebie i o mnie. Tylko z tobą chcę mieć piknik na dywanie. Mogę nawet chodzić z tobą na zakupy, dla ciebie jakoś to przecierpię. Jeśli mam zobaczyć Fudzijamę czy Tahiti, to tylko z tobą. Jeśli masz kiedyś być chora, to ja będę się tobą opiekował. Jeśli będę musiał omówić jakiś problem, to z tobą. Jesteś dla mnie na pierwszym miejscu. Zawsze. No i dochodzi jeszcze seks...

Uniósł dłoń, prosząc ją gestem, by dała mu jeszcze chwilę.

- Kiedyś myślałem, że seks to po prostu seks.

- A nie?

- Nie. Nie z tobą. Z tobą to jest czysta magia. Dlatego wcale nie kłamałem, mówiąc, że chcę porozmawiać o czymś bardzo ważnym, dotyczącym Niebiańskiej Rozkoszy. Dla mnie niebiańską rozkoszą jesteś ty.

Zdobył się na odwagę i spojrział na nią, wstrzymując oddech. Odrzuci go, zabijając tym na miejscu? Przemyśli, co usłyszała, zastanowi się jeszcze?

Lucy patrzyła na niego przez moment, po czym... rzuciła się na niego.

Kopnęła przy tym kosz z jedzeniem, który pojechał aż pod ścianę, sandał zleciał jej z nogi. Jej brzuch był już tak duży, że mogłaby znokautować wieloryba, nawet gdyby starała się być delikatna, a w tym momencie wcale się nie starała.

Nagle coś do niego dotarło.

- Ty w ogóle nie jesz! Nie jesteś głodna?

- Och, umieram z głodu, uwierz mi. Ale wcale nie chodzi o jedzenie.

Ujęła szczupłymi dłońmi twarz Nicka i wycisnęła na jego ustach mocny, gorący pocałunek, tak długi, jakby nie zamierzała mu pozwolić na zaczerpnięcie powietrza w najbliższej przyszłości. A może nie tylko w najbliższej, ale w ogóle.

W końcu jednak uniosła głowę.

- Czemu nigdy nie okazałeś, że mnie kochasz? Dlaczego?

- Myślałem, że cały czas to robię.

- Nie, głuptasie! Byłeś miły, uważny, odpowiedzialny. Właśnie to mnie dobiło po ostatniej nocy u mnie. Obudziłam się rano i nie

znalazłam już mojego cudownego, seksownego kochanka, tylko opiekuna, który karmiłby mnie łyżeczką, gdybym tylko mu na to pozwoliła.

- Starałem się być tak miły, jak to możliwe - jęknął.

- No i byłeś, tylko nieustannie wychodziło na to, że powoduje tobą poczucie odpowiedzialności. Czułam się, jakbym była ciężarem, który ty szlachetnie dźwigasz. W tej sytuacji nie mogłam ci się narzucać i powiedzieć, jak bardzo za tobą szaleję. Już i tak narobiłam kłopotu, uwodząc cię.

- Może w następnym życiu będę umiał się z tego śmiać. Czy wiesz, że ja z tego samego powodu bałem się powiedzieć ci o moich uczuciach? Przecież ty czułaś się odpowiedzialna za to, co się wydarzyło i robiłaś wszystko, by ułatwić mi całą sprawę. Nic ode mnie nie chciałaś. Tak samo jak ja, starałaś się być bardzo miła, ale nic więcej.

- Nick, przecież rzuciłam się na ciebie, uwiodłam cię, kochałam się z tobą. Myślisz, że zrobiłam to z poczucia odpowiedzialności?

- Kochałem się tobą i uwiodłem cię dwa razy. Uwierz mi, nawet wtedy nie pamiętałem o istnieniu takiego słowa jak odpowiedzialność.

Leżała na nim, przygniatając go brzuchem, niemal do ostatka wyciskając powietrze z płuc. Nie było mu najwygodniej, lecz Nickowi wcale to

nie przeszkadzało. Mógłby tak spędzić resztę życia. Po raz pierwszy od długiego czasu mógł wreszcie dotykać Lucy, gładzić jej skórę, wdychać zapach jej włosów, patrzeć w orzechowe oczy, w których widniała miłość.

- Kocham cię, Nick. Jeśli chcesz wiedzieć, to właściwie nie mam pojęcia, czemu uwiodłam cię tamtej nocy. Ogromnie mnie pociągałeś. Tak bardzo, że aż nie mogłam tego znieść... I do tej pory mi to nie przeszło - wyszeptwała. - Ale wtedy za mało cię znałam, żeby cię naprawdę kochać.

- Nie musisz mi nic tłumaczyć.

- Wiem, teraz szkoda czasu na gadanie, mamy na to całe lata. Chcę jednak, żebyś zrozumiał jedną rzecz. Przedtem durzyłam się w tobie, ale jakby nieprawdziwym, bo wymarzoną przeze mnie, a teraz kocham mężczyznę z krwi i kości, bo już wiem, jaki naprawdę jesteś. Jesteś równie samotny jak ja. I tak samo jak ja troszczysz się o innych. Twoje poczucie odpowiedzialności nie pozwala ci odprężyć się ani przez chwilę, ale mam nadzieję, że przy mnie nauczysz się tego. Pomogę ci, Nick. Zawsze.

Zamknęła oczy i pocałowała go, jak ona jedna umiała - zmysłowo, dziko, aż niemoralnie. Wszyscy mieli Lucy za miłą, porządną dziewczynę i tylko Nick wiedział doskonale, że ta miła, porządna dziewczyna potrafi rozpalić mężczyznę

do białości i rzucić na niego czar, spod którego nie sposób się uwolnić.

Trzeci pocałunek rozwiązał resztki jego wątpliwości co do uczuć Lucy i ich siły. Odetchnął z najgłębszą ulgą. Zrozumiał, że zdobył ukochaną kobietę i ona zostanie przy nim. Na dobre.

Byli w domu. Byli razem. Cała trójka.
Sama rozkosz...

EPILOG

Lucy położyła dłoń na brzuchu, lecz kiedy podchwyciła spojrzenie męża, który stał na podestacie schodów, natychmiast opuściła rękę i uśmiechnęła się promiennie. Uśmiech był najzupełniej szczery, chociaż znowu chwyciły ją bóle.

Skoro dziecko czekało tak długo, to na pewno okaże się kochane i grzeczne, i poczeka jeszcze ze dwie godzinki.

Był to dzień po Święcie Dziękczynienia, dzień, w którym rozesłano pocztą kurierską pierwsze opakowania Niebiańskiej Rozkoszy do specjalnie wybranych osób na całym świecie. W związku z tym Bernardowie zwołali konferencję prasową, która odbywała się na rozległym trawniku przed rezydencją.

W powietrzu zawirowało kilka płatków śnie-

gu. Orson i jego obaj wnukowie stali na schodach prowadzących do rezydencji - po raz pierwszy od wielu lat we trzech reprezentując firmę. Ciepło okutana Lucy siedziała nieco z boku na krześle, ponieważ miała brzuch niczym mors i po trzech sekundach stania zaczynało jej być naprawdę ciężko. Obok niej ulokowała się Gretchen, a u stóp dziewczynki rozwaliły się obie dożyce. Baby była szczenna.

Orson otworzył konferencję, przedstawił się dziennikarzom i reporterom - jakby to było potrzebne - po czym szybko przekazał pałeczkę Nickowi. Lucy słuchała z upodobaniem, jak jej mąż mówi coś szalenie błyskotliwego, ale chwilę potem zdołał ją zirytować, ponieważ wskazał na nią i powiedział, że firma zawdzięcza sukces jej. Lucy wcale tak nie uważała, jej zdaniem cała zasługa przypadała Orsonowi i jego wizjonerskim ideom. Nick zawstydził ją jeszcze bardziej, mówiąc, że żona postanowiła zrobić zebrany niespodziankę.

Wstała z trudem, na szczęście jeszcze tym razem obyło się bez dźwigu, i stanęła obok nich trzech. Przykazała sobie trzymać język na wodzy i nie zagadać wszystkich na śmierć.

- Dzisiejszy dzień jest największą rewolucją w historii produkcji czekolady, która liczy sobie aż trzy tysiące lat i sięga starożytnego państwa

Olmeków. Tak, Olmekowie byli pierwsi, a nie Aztekowie, jak się powszechnie sądzi. To jedna z najstarszych kultur w Ameryce Środkowej, wiemy o tym dzięki językoznawcom. Udało im się ustalić, że jednym z olmeckich słów było właśnie... cacao! Jednak to, co odkryła tamta dawna kultura, jest niczym w porównaniu z Niebiańską Rozkoszą, stworzoną przez Bernard Chocolate.

Kiedy skończyła, natychmiast odezwała się jedna z dziennikarek stojących w pierwszym rzędzie:

- To brzmi bardzo chwytnie, ale ta nowa czekolada, nawet jeśli jest tak znakomita, nie może się wiele różnić od innych dobrych czekolad obecnych na rynku.

Lucy uśmiechnęła się. Kręgosłup pękał jej z bólu i ledwo mogła się poruszać, chociaż podparła go sobie dłonią. Od miesiąca nie widziała swoich stóp. Od szóstej rano miała bóle. Jednak żadna siła na świecie nie powstrzymałaby jej od zejścia z tacą po schodach i poczęstowania przybyłych na konferencję maleńkimi czekoladowymi truflami. Lucy wiedziała, że taka ilość wystarczy w zupełności...

Chyba po raz pierwszy w historii dziennikarstwa wszyscy reporterzy zamilkli na konferencji prasowej, gdy był czas na zadawanie pytań. Lucy

zerknęła na Nicka, który mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Możesz iść, mała - przekazał jej bezgłośnie samym ruchem warg.

Nie mogła jednak wrócić do domu i odpocząć - nie w takim momencie! Panująca dookoła niej pełna podziwu cisza stanowiła nagrodę za te miesiące i lata ciężkiej pracy. Bernardowie wygrali. W przyszłości rynek czekolady będzie należał do nich. Lucy od początku nie miała wątpliwości, że tak się stanie.

W tym momencie chwycił ją silny ból, omal nie zwinęła się w kłębek. Od spodziewanego terminu porodu upłynęły już cztery doby i ewidentnie dziecko wybrało sobie ten właśnie dzień na przyjście na świat. Ponieważ Lucy przeczytała, że pierwszy poród zazwyczaj trwa długo, postanowiła wziąć udział w konferencji, licząc na to, że pierwsze skurcze potrwają jeszcze przez kilka godzin. Sprawa zaczynała jednak wyglądać poważnie.

Nick natychmiast zauważył, że coś jest nie tak. Zbiegł po schodach takim pędem, że konie na derby nie ścigały się szybciej.

- Nic mi nie jest - zapewniła. - Nie ma co spieszyć się do szpitala, to pewnie będzie ciągnąć się w nieskończoność... Popatrz na nich. Są w siódmym niebie, zakochali się w Niebiańskiej Rozkoszy, przepadli, już po nich...

Naraz przeszył ją kolejny paroksyzm bólu, przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje. Clint momentalnie zakończył konferencję i pozbył się reporterów, Nick pognał po samochód, a Lucy znalazła się w ciepłym holu pod opieką Orsona. Po następnym silnym skurczu stała się drażliwa i zaczęła narzekać.

- Właściwie nie wiem, po co się pobraliśmy z Nickiem, skoro po ślubie nie kochaliśmy się ani razu.

- Kochanie, mogłem się doskonale obejść bez tej informacji - zauważył łagodnie Orson.

- Nie masz pojęcia, jaki ten twój wnuk jest nieznośny, dziadku! Tosty musi mieć równiutko posmarowane masłem od brzegu do brzegu!

- Coś takiego! Wyobraź sobie, że on to samo mówi o tobie.

- Rano budzi się kompletnie przytomny, wyskakuje z łóżka i nie pozwala mi poleżeć nawet ze dwie minutki dłużej.

- No proszę... A mnie wspominał, że zrywasz się o świcie nawet w niedzielę.

- Podobno to ja jestem pedantką. To nieprawda! On jest gorszy!

- Ajajaj! - Wstał, podszedł do okna, wyjrzał z troską, wrócił do niej.

- Chyba się o nas nie martwisz, prawda? Kocham go ponad życie, on mnie też. I nie myśl

już nigdy, że ta cięża to z jego winy. Nieprawda, to ja jestem za wszystko odpowiedzialna. On jest cudowny... Nigdy nie sądziłam, że można być tak szczęśliwym i że małżeństwo to coś tak wspaniałego. Chociaż w tym momencie trochę trudno mi dostrzec pozytywne aspekty... - przyznała i chwilę później znów zwinęła się z bólu.

Orson w ogóle nie zwrócił uwagi na to, co mówiła.

- Psiakrew! Może jednak trzeba było wezwać karetkę.

Dobry dowcip, pomyślała. Już widziała, jak Nick zaufałyby jakimś obcym ludziom i wsadził ją do karetki. Na szczęście właśnie wpadł do domu, porwał Lucy na ręce, co było nie lada wyczynem, ponieważ ważyła chyba z tonę, a przynajmniej tak się czuła, i zaniósł ją do samochodu.

Wtuliła się w jego ramiona, spojrzała w niebieskie oczy, poczuła znajome drapanie zarostu, gdy szybko pocałował ją w czoło, nim posadził ostrożnie na przednim siedzeniu. Pocałunek raczej nie przypomina człowiekowi o orłach, lecz jej przypominał.

Ten orzeł szybujący nad wodami, którego oboje pokochali i mieli na obrazie - to był właśnie Nick, jej Nick. Jego samotność przemówiła do jej serca, tak samo jak jej samotność przemówiła do

jego serca. Ona i jej ukochany byli do siebie tak bardzo podobni...

Ale żadne z nich nie było już dłużej samotne.

Godzinę i szesnaście minut później urodził im się prześliczny ciemnowłosa chłopczyk o orzechowych oczach. Ich pierwszy syn.

Ale nie ostatni.